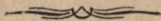


NA KRESACH.

WYBÓR PISM
JANA ZACHARYASIEWICZA.



NA KRESACH.

TOM II.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.
—
1887.

NA KRESACH.



POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH TOMACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARYASIEWICZ.

TOM DRUGI.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.

NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.

—
1887.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, дня 30 Апрѣля 1887 года.

I.

Już było dobrze po północy, gdy Jerzy do swego mieszkania powrócił; nie rozbiérając się wcale, usiadł na sofie, aby wśród ciszy, której tak pragnął, uporządkować swoje myśli i uczucia, oraz przed samym sobą zdać sprawę z wrażeń, których był doznał dzisiejszego wieczora. Lecz jakże trudne takie sprawozdanie, gdy serce w piersi się miota, gdy ręka drży, którą skroń chcemy ochłodzić, a przed oczyma staje nam postać w bieli eterycznej i zasłania nam drogę naszego życia...

Ludzie, którzy w chwili zapału i natchnienia ślubowali poświęcić się jakiejś wyższej, szlachetniejszej myśli, podobni są do napowietrznych żeglarzy, szukających w obłocznej wysokości owej bożkiej iskry, która ich ma zapalić i jasnym meteorem rzucić na ziemię. Ale podróż ta jest smutna i długa. W przestworzach mgły i chmur zimno i nudno. Oderwani od życia rzeczywistego, które mimo swych trudów i znużeń ma jednak oazy do wypoczynku, ma chłodniki dla spragnionych pielgrzymów, brodzą po bezkresnym oceanie wymarzonego swego świata, którego cudowne obrazy roz-

Ly Ly
Ly
pływają się za ich zbliżeniem, jak złudne fata morgana. Po każdym takim rozczarowaniu opadają na siłach, w sercach budzi się żal potem, czego w chwili natchnienia byli się wyrzekli, a wzgardzone rozkosze życia przybiérają w ich oczach t~~em~~ świetniejsze kolory. Żal ten, zrazu smutny i rzewny, jak łza sióroty po stracie matki, przechodzi w gorące pragnienie, a w końcu staje się silną namiętnością.

Li
Na tych kresach uczuć ludzkich stanął dzisiaj nasz bohater. Idąc do dnia wczorajszego drogą poświęceń, uczuł piérwszy cierń rozczarowania, gdy lud biédny nie przyjął jego szczérych chęci, i właśnie w chwili, gdy chciał dla niego pracować i poświęcić się, odwrócił się od swego nauczyciela i dobroczyńcy; wierząc niezłomnie w swoje fatalne, nieubłagane przeznaczenie, w swoją tragedya na ziemi, biédny marzyciel ujrzał się zawiedzionym w swojej gorącej miłości, a myśl gorzka i ciérpka przebiegła mu przez serce: czy życie jego nie poszło krzywo, czy wszystkie jego pragnienia, do których szedł tyle lat pracą i poświęceniem się, nie były fałszywe i wymarzone?...

W téj chwili zwątpienia i bolesnego pasowania się z sobą stanęła mu przed oczyma dziewica, a jój białe dłonie pchnęły samotną łódkę błądzącego marzyciela do cichéj, zielonéj przystani. Orzézwiająca woń drzew i kwiatów napełniła chorą pierś jego, spoczął pod cienistym liściem cyprysu, a słodkie, rozkoszne sny zstąpiły do jego duszy spragnionéj...

Ly
Lecz dosyć tych poetycznych barw życia, które dzisiaj z każdym dniem idą w poniewierkę. Dzisiaj nie radzi patrzymy okiem wyjątkow~~em~~, nie radzi przypatrujemy się anatomii serca i duszy, i chcemy rzeczy

widzieć tak, jak je wszyscy widzą. Nieszczęsny ten sposób zapatrywania się na świat powstał niezawodnie ze zwyczajów parlamentarnych, gdzie każda myśl wtedy dopiero jest dobrą i potrzebną, jeżeli większość głosów ma za sobą. Dawniej jakoś inaczej przychodziła prawda na świat. Wypowiedział ją jakiś biedny, nieznanymi apostoł i miał cały świat przeciw sobie. Patrycyusze, gmin, wszyscy zakrzyczeli go, zabili, a przecież prawda została prawdą. Ale to były wieki ciemnoty i barbarzyństwa... Dziś nasze życie ujęte w karby przyzwoitości i trzeźwego wyrachowania, a wyjść po za nie, choćby w chęciach najszlachetniejszych, choćby w marzeniach tylko, jest śmieszne, nienaturalne... Dziś trzeba mieć koniecznie większość za sobą, trzeba iść razem z ludźmi, którzy nie lubią przewodników.

A że ludzie najzwyczajniejsi mogą siedzieć na sofie i według swego widzimisię układać myśli i uczucia, które ich nachodzą po takiej katastrofie, jaką właśnie odbył nasz bohater w zielonym pawilonie, toż i Jerzy siedział na sofie i w myśli odczytywał dość zawile hieroglify, które na jego piersi wypisało mu serce Janniny w przyspieszonym takcie. Poraz setny liczył te uderzenia serca, które był zasłyszał, i składał je w sens upragniony, jak niegdyś więzień Bastylli składał pojedyncze znaki niewidzialnego sąsiada w upragnione słowa swojej wolności! A jeśli przypadkiem jaki inny sens z tych hieroglifów złożył się, serce jego burzyło się i protestowało przeciw temu, opierając się na znanej formułce, że serce tylko sercem zrozumieć można.

I jak każdy najzwyczajniejszy człowiek byłby w takiej chwili uwierzył swemu sercu i chętnie przyjemnemu poddał się marzeniu, tak też i nasz biedny ma-

ly
rzyciel uwierzył zapamiętałe w swoją miłość, a co większa, uwierzył, że ta jego miłość nie jest bez wzajemności. A uwierzył tem snadniej w tej chwili, gdy jego rozczarowane serce pragnęło miłości, gdy bez tej miłości stałby się zwiędłą, wątłą rośliną, której nagle podporeę odjęto. Przypominając sobie boleść wczorajszą, zdawało mu się, że Bóg zesłał anioła na ciemną ścieżkę jego żywota, który ją rozjaśni i dalej na nią poprowadzi...

Tak myślał sobie biedny marzyciel, przysłuchując się sercu, które po owęj katastrofie w pawilonie dotąd jeszcze uspokoić się nie mogło, gdy nagle myśl chłodniejsza owionęła mu skronie. Janina dała mu zlecenie, aby przeszkodził pojedynkowi między młodym Warnerem a panem Von der Mark, który za Dąbczynem posiadał obszerne majątności. Janina jest powodem tego pojedynku. W jakimże stosunku może być Janina do tych dwóch ludzi, którzy w tak stanowczej chwili weszli nagle w dramat jego życia?... Jerzy już kochał Janinę, a z pierwszym promieniem tego ogrzewającego uczucia wcisnął się chłodny cień zazdrości... Hrabia Leon przyjeżdża starać się o rękę tej, którą on właśnie dzisiaj całą duszą ukochał!...

ly
Sytuacja, w jakiej się nagle Jerzy obaczył, jest zwyczajnym losem wszystkich ludzi niepraktycznych i marzycieli. Nie mając względu na rzeczywiste stosunki świata, toną w uczuciu, które ich duszę ogarnęło, a gdy po długiej walce i miotaniu się wreszcie zdecydują się do przyjęcia go za godło życia, obaczają nagle groźnych, a może już szczęśliwszych współzawodników, których pierwój bynajmniej nie widzieli!

Ten los spotkał biednego Jerzego. Od dawna czuł, że piękna, namiętna Janina, jak ognista kometa wchodzi w koło jego życia, a gdy ją już za swoje słońce przyjął, obaczył nagle, że to słońce i innym przyświeca, i że ci bliżsi są jego promieniom ożywczym!... Może Janina posługuje się nim, aby od osób droższych jej sercu odwrócić grożące niebezpieczeństwo?...

Myśl ta ukłuła go boleśnie, jak żądło gadziny. Wstał szybko i począł przechadzać się po pokoju. Na twarz jego, na której przed chwilą malowało się jakieś błogie szczęście, wystąpił znowu nieodstępny mu uśmiech ironiczny i rozpoczął żwawą walkę z podszeptami serca, które na żaden sposób zapomnieć nie mogło owych tajemniczych znaków, wypukanych do niego przez drugie serce w zielonym pawilonie. Do tej bolesnej, a jednak bezskutecznej walki serca z ironią wniósł się chłodniejszy nieco rozjemca. Był to rozsądek, który stronom walczącym nakazał milczenie, a sam zasiadł do pokojowej konferencji.

Należało naprzód zbadać osoby, o które ten nieszczęsny spór był się rozpoczął. Pan Von der Mark był to szlachcic niemiecki, tak zwany „junker“, który na samej granicy ziemi polskiej miał wielkie majątności, jeszcze większe stada koni i największe psy w całej okolicy. Przy tej swojej niezaprzeczonej wielkości miał długie nogi, długą szyję, a jeszcze dłuższy język, którego w każdym razie nie szczędził, gdy szło o potwarz polskiego imienia, polskiego gospodarstwa i polskich kobiet, które w najpospolitszej rozmowie mają odwagę wyjść po za sferę knedli z kapustą i szyneli wiedeńskich. Wyraz „Polska“ był u niego jednym i tem

Ly samem co Galimatias, Babilonia, słowem jakiś bigos hultajski, jakiś chwast, okrywający mapę Wielanda od Bałtyku aż gdzieś po Czarne morze, który ekstyrpato-rem kultury germańskiej z gruntu wypłenić potrzeba. A co najwięcej téj nieszczęśliwój Polsce miał do zarzucenia, to była ta barbarzyńska ciemnota, że wierzy w dzwony, ornaty i kadzidła, że wierzy w ludzi namaszczonych od Boga, i im z grzechów swoich się spowiada, słowem, że niezrozumiałym dla niego sposobem wyznaje wiarę katolicką. Z tego powodu czuł wściekłą odrazę do katolickich swoich sąsiadów, a wywodząc ród swój od jakiegoś komtura z czasów krzyżackich, poczuwał się do misyi walczenia przeciw poganom w interesie oczyszczonej, racjonalnej swojej religii. Ale na jego nieszczęście założył Cobden towarzystwo wiecznego pokoju, a chciwy krwi pogańskiej Pomorzanie ograniczył się na walce języcznej, którą w klubach, szynkach i piwnicach przy szklance wina lub piwa prowadził, jak przystało na potomka krzyżackiego.

Ly Rzecz jasna, że ta misya granicznego junkra miała swoje niedogodności. Potrzeba było nieraz oberwać guza, usłyszeć kulę przelatującą o ćwierć cala od ucha; ale na pochwałę tego bohatera kresowego musimy wyznać, że się nie lękał ani guza, ani kuli, i zawsze śmiało dotrzymywał placu. Ta jednak jego awantur-niczność czyniła go zbyt niemiłym sąsiadem, a szlach-lic polski stronił od niego, jak od powietrza. Wprawdzie razu jednego, gdy właśnie świeżą zaciągnął po-życzkę, wyrozumował sobie margrabia na Dąbczynie, że arystokracja właściwie nie należy do żadnego na-rodu i tylko między sobą na całym bożym świecie tworzy jeden pułk elity ludzkiej, a wszedłszy tym sposo-

ly
ly
ly
ly
ly

bem w Berlinie do domów najróżnorodniejszych nacyj i kondycyj, zaprosił był także i granicznego junkra do zamku, który poczciwy Jarost niegdyś „*ad tuendum populum*“ był wystawił; ale potomek komtura, dzisiaj lejtnant w pułku huzarów, przyszedł do sali marmurów w ogromnych butach z ostrogami, w towarzystwie wyźła, i przyniósł z sobą całą atmosferę stajni. W konwersacyi salonowej był także *piramidalnie* dowcipnym; wszystko to, co polskie, było u niego tak *piramidalnie* niedorzecznem i głupim, że damy wyszły z salonu, a nieszczęśliwy margrabia, obróciwszy tysiąc razy palec koło palca, dał mu tą manipulacją widocznie do poznania, że się serdecznie nudzi i czempredziej gościa za próg wyprasza. Junkier wziął szpicrutę i wyźła, a zadowolony z roli, jaką w zamku polskiego grafa odegrał, wyjechał rozwaloną bramą z Dąbczyna. W klubie końskim opowiadał potem dziwy o „polskim zamku“ i jego mieszkańcach, a jako potomek krzyżowego rycerza chełpił się, że uctował na ziemi nieprzyjacielskiej. Po tem wszystkim nastąpiła wielka nieprzyjaźń między dwoma granicznymi panami, a skutki ztąd były takie, że co kilka miesięcy ubito sobie wzajemnie parę wyźłów, które się po za kopce graniczne zapędziły.

W takim stanie rzeczy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pan Von der Mark nie mógł wcale Jerzemu stać w drodze. A najprawdopodobniej było, że jakąś obelgę rzucił na dom Dąbczyńskich i z młodym Warnerem o to się przemówił.

Sprawiwszy się tym sposobem z jednym swoim współzawodnikiem, który się mu ani groźnym, ani szkodziwym nie wydawał, przystąpił Jerzy do zdmuchnięcia

drugiego widziadła, które mu upornie stało przed oczyma.

Był niem młody Warner, syn bogatego kapitalisty i bankiera z pogranicznej prowincyi niemieckiej, będącego z polską szlachtą w licznych stosunkach. Ten współzawodnik był już nieco zagadkowej natury, bo jak ze wszystkiego widać, stanął w obronie Janiny, a przynajmniej domu Dąbczyńskich. Trudniejsza była z nim sprawa.

Ale po chwili namysłu zagadka wyjaśniła się w sposób nader uspakajający. Otton Warner był to człowiek młody, mający lat dwadzieścia kilka; nosił bródkę à l'*Henri Quatre* i złotą lornetkę na czarnym jedwabnym sznurku. Ojciec kupił mu Mogiły od Górnickiego, aby się zaprawił do gospodarstwa i ze szlachtą w bliższe wszedł stosunki, czego wymagały interesa starego bankiera, najcierpliwszego wierzyciela margrabiego. Ale damy nie poczuwały się wcale do tój co margrabia grzeczności, a młody Warner spędzał najczęściej cały czas swojej wizyty na pogadance z margrabią w jego własnym, cygarowym gabineciku. Tym sposobem mógł młody Otton poczuć się do obowiązku bronienia domu, do którego w istocie miał przystęp; a to mogło się stać tём łatwiej, że z panem Von der Mark był w nienajlepszym porozumieniu, gdyż ten ostatni nieustannie chepił się swoim szlachectwem komturów, nazywając wszystkich dorobkowiczów kra-marzami.

Więc i osoba Warnera nie wydała się tak groźną. Został jednak najtwardszy orzech do zgryzienia, a tym był nie kto inny, tylko hrabia Leon, ów śmiały towarzysz Żuawów, który własną ręką dziesięciu zabił Ka-

był, przeszedł wszystkie pustynie świata i wszystkim na świecie kobietom się podobał. Do tego był młody, przystojny i bogaty.

Tutaj zadrżało Jerzemu serce wobec wielkiego niebezpieczeństwa, a gdy z podwojoną uwagą począł to niebezpieczeństwo rozbiierać, ~~z~~poza ciemnej zamkowej wieży wystrzelił pierwszy promień wschodzącego słońca. Biedny marzyciel ocknął się jakby ze snu, potarł ręką czoło i przekonał się, że całą noc jakoś dziwnie przedumał. Prędko zrzucił z siebie ubiór, w którym był w zamku na wieczorze i zawołał na słuchającego, aby mu podał wody do umycia się.

Ale im więcej rozpalone skronie zimną wodą nacięrał, t~~e~~m groźniej stawał mu przed oczy szczęśliwszy współzawodnik, z owym zimnym, dyplomatycznym uśmiechem, który na jego pięknych ustach zawisł jako trofeum jednego zwycięstwa. Na szyi miał dziesięć głów pobitych Kabyłów, a przy złotym łańcuszku od zegarka wisiał pęk bryloków, składający się z samych serc kobylicy, między którymi — Jerzy t~~e~~m mocniej nacięrał skronie zimną wodą — między którymi, o dziwo! widział także piękne, pełne, okrągłutkie serduszko panny Janiny!...

Jerzy zanurzał całą głowę w miednicę, aby się tego widma pozbyć, a przecierając oczy, dziękował Bogu, że nieznośne lby Kabyłów i nieznośniejsze jeszcze bryloki gdzieś w wodzie splukał.

Wt~~e~~m nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł hrabia Leon.

Przeprosiwszy najprzód gospodarza za tak ranną wizytę i uwolniwszy z góry od wszelkich form grzeczności, prosił go hrabia, aby dalej swoją tualetę tak kończył, jakby nikogo z obcych przy nim nie było. Sam rzucił się na fotel, stojący przy biurku, a otworzywszy małą kasetkę, wyjął z niej cygaro i z tak dobrą miną puszczał dym między książki gospodarza, jakby najdawniejszym był jego znajomym.

Jerzy patrzył z pod oka na tego szczególnego człowieka, a zawiązując chustkę, przypatrywał się w zwierciadło, wszystkim jego ruchom. Dziwiło go to nie mało, że na jego szyi nie było łańców Kabyłów, nie miał nawet złotego łańcuszka, ani bryloków, tylko kawałek czarnej wstążki, wychylający się z kieszeni od kamizelki, okazywał, że tam gdzieś w głębi schowany jest zegarek. A ten zimny uśmiech dyplomatyczny, który niedawno tak go przeraził, był to jakiś szczéry, serdeczny uśmiech, który ~~z~~ pod rzadkich, rozrzuconych wąsów dobywał się śmiało i otwarcie. Wszystko to nie mogło jednak uspokoić go, a serce jego drżało ustawicznie jak strwożona gołębica, która przeczuwa zbliżającego się jastrzębia.

Ale mniemany jastrząb z takim komfortem rozparł się w fotelu, tak szczérze i otwarcie, chociaż trochę pod wąsem uśmiechał się do zatrwożonego kochanka, z tak dziwną wprawą puszczał kółka siniego dymku, które jak nieszkodliwy arkan wpadały w rozszerzonych kręgach na głowę gospodarza, iż Jerzy powoli zaczął się ośmielać i coraz swobodniej poglądał na nieprzyjaciela, który widocznie nie miał żadnych złych zamiarów.

Hrabia był ubrany po podróżnemu. Miał na sobie jakąś szarą, myśliwską kurtkę z zielonemi wyłogami, czarny szal na białej, wpół odsłonionej szyi i małą angielską czapeczkę. Na rękę trzymał wielką, szkocką chustkę, którą był wziął od chłodnej mgły porannej.

Jerzy wziął także na siebie szare, podróżne palto, a ukończywszy jak mógł najprędzej tualetę, wyszedł do służącego, dając mu zlecenie, aby mu natychmiast konie gdzie zamówiono. Wróciwszy do gościa, przysunął sobie krzesło do biurka i zapalił cygaro.

L
L
Hrabia Leon nie myślał wcale usprawiedliwiać czemś wyjątkowem swojej tak rannej wizyty, czego właśnie oczekiwał od niego ciekawy gospodarz. Obejrzawszy się z uwagą po całym mieszkaniu, rzekł do niego:

— Ubiérając się, zostawiłeś mi pan czas do namysłu, który właściwie najszkodliwszą jest rzeczą w towarzystwie ludzkim!

— Jakto?—zapytał Jerzy.

L
— Oto zamiast zająć mnie jaką żywą konwersacyą, dałeś mi pan sposobność badać pański charakter i usposobienie z tego, co pana tutaj otacza.

— Byłbym ciekaw...

— Ach, pańska ciekawość miałaby może złe skutki, czego bym wcale sobie nie życzył.

— Nie pojmuję...

— Oto, mówiąc krótko, pragnąłbym pańskiej — jeżeli nie można od razu, przyjaźni — to przynajmniej bliższej znajomości.

Jerzy wpatrzył się w mówiącego, który o wschodzie słońca przychodzi po przyjaźń. A skłoniwszy się

Ly nisko, z uśmiechem, z którego mimo najlepszych chęci nie mógł zetrzeć ironii, odparł:

— Wielce mi to pochlebia, panie hrabio...

— Znajomość bliższa zaczyna się naprzód od opuszczenia wszelkich tytułów—przerwał hrabia.

Jerzy skłonił się powtórnie.

— A więc teraz możesz pan śmiało mówić o moim charakterze i usposobieniu — rzekł Jerzy, zapłoniwszy się mimowoli.

Ly — Ale wypowiedziana prawda nie przyczynia się właśnie do zawiązania stosunków przyjacielskich — podjął hrabia.— Wiem o tem z doświadczenia, że przez prawdę traćłem zawsze przyjaciół.

X Jerzy zamyślił się, widząc, że rozmowa hrabiego do czegoś ważnego zdąża. Dziwnym wydał mu się w tej chwili ten człowiek, jeszcze dziwniejszy niż przed chwilą, gdy miał na szyi dziesięć łbów Kabyłów i dwa funty serc kobiecych w miniaturach bryłkowych. A nawet jego szczery i otwarty uśmiech schłodził jakoś po tej przemowie i był podobny do uśmiechu Mazaryna, gdy z potentatami traktował.

— Zależy to wszystko od wypowiedzenia prawdy—rzekł po chwili Jerzy.

Hrabia Leon wydmuchnął kilka kłębów dymu, rozśmiał się *à la Mazarin* i rzekł:

Ly — Może się panu dziwném wydaje moje natręctwo, ale ja właśnie chcę z niego korzystać dlatego, że mnie zbyt rzadko nachodzi. Rzadko kiedy zastanawiam się nad tem, aby pojedynczych ludzi zbadać. Wiem tyle z doświadczenia, że wszyscy mniej więcej do siebie są podobni, i można nawet mieć na nich pewną algebraiczną formułkę, jak do reguły trzech. Nie

lubię się zastanawiać, bo lubię ruch i różnaitość życia. Mimo to muszę panu wyznać, że w starym kasztelańskim zamku przysły mi dzisiejszej bezsennój nocy dziwne myśli do głowy. Zdawało mi się, że po tem wszystkim, cośmy wczoraj między sobą mówili, nastąpić musi bliższa nasza znajomość.

Jerzy skłonił się i rzekł z uśmiechem:

— Czekam owoców pańskich rozmyślań.

— Patrząc pilnie na to, co pana tutaj otacza — mówił hrabia spokojnie, — patrząc na książki rzucone w nieładzie, i czytając ich tytuły, tak różniące się od siebie, patrząc na tych kilka obrazów, na ten zegar, na te ryciny na pół zwinięte, zdaje mi się, żeś pan nie znalazł jeszcze w życiu swoim owego punktu, do którego wszystko cięży i wokoło którego wszystko zwolna się układa.

Jerzy wpatrzył się dziwnie w swego gościa, który tak szczególnem badaniem rozpoczyna znajomość. Hrabia zaś odłożył z największą flegmą ogarek cygara na bok i mówił dalej:

— Dziwi pana moje spostrzeżenie, ale mimo to musisz pan przyznać, że jest prawdziwe. Co większa, opierając się na mojej formułce algebraicznej, powiem panu, że jak teraz nie widać u pana punktu, do któregoby ciążyło całe życie, tak i na przyszłość nie znajdziesz go pan nigdy.

Zdawało się Jerzemu, że te słowa hrabiego były wymówione z wyrachowanym podstępem. Miały one mimowoli zmusić go do jakiegoś wyznania, w którymby oczywiście wymienić potrzeba było Janinę. Ale szczęśliwy kochanek spostrzegł się zawczasu, i z wielką dy-

plomacyą ukrył tajemnicę swego serca wesołym, niby szczerym uśmiechem.

— Pan mnie wielce zasmucasz—odrzekł po chwili—odbiérajac mi na zawsze ów niezbędny punkt ciężkości, który przecież w astronomii piérwsze trzyma miejsce.

— To wcale nie przeszkadza panu być kometą, którój, jak mówią, do porządnego biegu jeszcze czegoś brakuje,— odpowiedział hrabia z wesołym uśmiechem.

Jerzy zmarszczył brwi.

— Pańska obawa była słuszną co do skutków wypowiedzenia téj prawdy—rzekł po chwili.

— Chciałem tylko powiedzieć, żeś pan poeta.

— Jakże pan pojmujesz poezją?

— Po swojemu. Będac raz chłopcem jeszcze, na wyścigach konnych widziałem, jak niektórym dżokejom przywiązywano różne wagi. Pomyślałem sobie: Tych wszystkich ciągnie coś do ziemi, to są realiści, ludzie porządni; gdy spadną, nie odleczą od ziemi. A ci, którzy żadnych wag nie mają i lada chwila przez łeb konia spadną, to są poeci.

— Prawda, że oryginalny obraz poezyi — odparł Jerzy ze szczerym uśmiechem.

— Ale przyznasz pan, że prosty i zrozumiały. Profesor z Berlina inaczejby to powiedział, lecz czy wszyscy go rozumieją?... Muszę jednak pana ostrzedz, że mój obraz tycze się tylko poezyi romantycznój, bo klasycy byli to ludzie porządni, mieli jak każdy porządny dżokej swoje wagi. Oni wiedzieli jasno, czego im do poezyi potrzeba:—trzynastu zgłosek i rymu na końcu. Przy tak małych potrzebach mieli dobry i zdrowy żołądek, wyglądali czérstwo i rumiano, gdy dzisiejsza

Lj poezya każe mieć twarz bladą, cienkie nogi, a w dodatku suchoty.

To powiedziawszy, hrabia Leon rozśmiał się szczerym, serdecznym uśmiechem, w którym jednak zabrzmiał lekki dysonans ironii. Jerzy wpatrzył się z uwagą w jego zimną, spokojną twarz, i rzekł:

44j — Szczególne dajesz pan definicje poezyi; widać, żeś się pan nad nią zastanawiał.

Lj — Nie, panie, zastanawiać się nie lubię. Nie lubię poetów z piórem w ręku. Szukałem poezyi w życiu, szukałem po całym świecie, jeździłem po niej na ostatnie krańce świata.

— I nigdzie jój pan nie znalazłeś?

— Nigdzie. Dzisiaj szukam jój u pana.

Ls Lj Jerzy wpatrzył się znowu w swego gościa. Jego słowa widocznie zmięrzały do czegoś, co bardzo blisko było tak świeżej tajemnicy jego serca. Nie rozumiałże on pod poezją miłości jego do Janiny? Nie chciałże mu przez to powiedzieć, że ta miłość jest bez celu?

Lj Lj — Pańskie życie — mówił dalej hrabia Leon — wnosząc z tego, cośmy wczoraj między sobą mówili, zdaje się być najkompletniejszym zbiorem poezyi. Burza wypędza cię z domu rodzinnego, wychodzisz z pieśnią w duszy, kochasz... co? przywidzenie, lud, dla niego stajesz się cyrulikiem... i cóż dalej?... poezya rozplynęła się jak mgła.

Jerzy westchnął i zamyślił się. Hrabia Leon poruszył strunę zbyt dotkliwą.

Lj Ly — W życiu naszym przebywamy wiele złudzeń — rzekł po chwili Jerzy; — ale zasługa nasza na tem zależy, że wytrwamy do końca.

— Ach, to mówmy o obowiązkach, ale nie o poezyi! o dotrzymaniu danego słowa etc. Według mnie, poezya i kobieta jedną chodzą drogą.

— Poezya i kobieta?—podchwycił Jerzy, widząc, że gość jego coraz więcej do jakiegoś ukrytego celu dąży.

— Poezya i kobieta są to dwa główne temata naszego życia. Każdy był kilka chwil w życiu poetą, każdy kochał. Oba te temata są niczem innym, tylko czemś niewyraźnym, nieokreślonym. Ta niewyraźność zarysów, która dozwala naszej wyobraźni śnić rzeczy najcudniejsze, wabi nas i zachwyca. Dopóki życia nie znamy, dopóki niewyraźnie z dala nam się ukazuje, póty jesteśmy poetami. Dopóki kobieta jest od nas oddalona baryerą towarzyską lub społeczną, póty widzimy w niej bóstwo, wdychamy do niej. Ale gdy się do niej zbliżymy, a ona zbyt szczerze nam się wyświada, nasza miłość, którąśmy chcieli wziąć za grób, ulata jak dymek z cygara. A trudnoż, aby każdy z nas miał taki rozum jak Owidyusz, który prosi swojej Korynny, aby mu nigdy nie o sobie nie mówiła, gdy jego przy niej niema!

— Aż tak pan poniżasz kobiety! — zawołał Jerzy.

Hrabia Leon wstał z fotelu, a uśmiechając się jakby do własnych swoich myśli, przeszedł się kilka razy po pokoju. Uśmiech jego nie wyrażał żadnej boleści, jaką zazwyczaj czujemy przy lepszych wspomnieniach naszych: był to spokojny uśmiech męża, który ogląda się na lata młodzieńcze, gdy igrał kolorowym balonem. Jerzy patrzył na niego z wyrazem nieufności.

Po chwili wrócił hrabia Leon znowu do swego fotelu, a usiadłszy wygodnie, z uśmiechem sybaryty rzekł do Jerzego:

— Mówisz pan, że ja kobietę poniżam. Bynajmniej, bom jęj nigdy wysoko nie cenił.

— Przecież pan przyznasz, jak wysoko może się wzniesić kobięta uczuciem!

— Do pewnego punktu, ale nad ten punkt nigdy. Gdybyś pan był bogaty, inaczęj sądziłbyś o kobietach.

Jerzy westchnął. Smutna, zimna myśl przebiegła mu przez serce.

— Mógłbym panu nie jedno zdarzenie z mego życia opowiedzieć. Ale pomijam to wszystko, co mnie w Europie spotkało. Powiesz pan, że to zepsucie dzisiejszych wyobrażeń i obyczajów. Opowiem panu przygodę z puszcz afrykańskich, gdzie kobięta nieskalana żadną wykrzywioną cywilizacją, wychodzi z rąk natury. Lj

Jerzy przysunął krzeselko, a hrabia Leon zapaliwszy świeże cygaro, tak mówił:

— Brodząc przez kilka dni w piaskach afrykańskich, przyszliśmy przed wieczorem do pięknej, chłodnej oazy. Zastaliśmy tam karawanę Arabów. Był między nimi śliczny staruszek o siwych włosach, obok którego siedziała młoda, przecudnej urody Arabka. Nie mogłem od nięj oczu oderwać. Zdawało się po tych pieszczotach, jakiemi starca osypywała, że to była jego córka. Gdy mnie spostrzegła, utkwiła we mnie czarne oczy; a gdym się do nięj zbliżył i zapytał, czy poznaje we mnie jakiego znajomego?—rzekła do mnie:

— Podobałeś mi się, bo jesteś jak ten, o którym zawsze marzę.

— O kimże marzysz?—zapytałem.

— O kochanku—odpowiedziała, nie spuszczać ze mnie ognistych oczu.

Jerzy uśmiechnął się, słysząc hrabiego improwizującego jakąś powieść z tysiąca i jednej nocy.

— Nazajutrz ruszyliśmy dalej, a za mną czarne oczy Arabki. Gdziekolwiek spojrziałem, wszędzie były przedemną jak dwie nocne gwiazdy. Za kilka dni rzekłem do towarzyszków, że muszę wrócić do oazy. Uśmiechnęły się, a jeden starszy Arab spojrzął na mnie i rzekł do drugiego: „On zginie.“ W oazie koczowała jeszcze karawana. Arabka ujrawszy mnie, rzuciła mi się na szyję i rzekła głosem pieściwym: „Wiedziałam, że wrócisz, bo ja cię kocham.“ Dwa dni zabawiliśmy w tej oazie. Były to dwie chwile szczęścia mego. Przy końcu drugiego dnia zbliżył się do mnie stary Arab i rzekł: „Ukradłeś mi serce mego dziecka, idź precz, niech ona i ja nie widzimy ciebie.“ Ale córka rzuciła się na ziemię i poprzysięgła, że mnie nie opuści. Starzec zbladł i zachwiał się. Tymczasem gotowała się nasza karawana do podróży. Dżela uchwyciła się mego płaszcza, i zalévając się łzami, szła przy mnie. „Zostań,“ wołał stary Arab, „twój ojciec cię woła.“ Dżela drżała cała, ale szła przy mnie dalej. „Chcesz mojej śmierci, córko wyrodna?“ jęknął starzec, a szeroki nóż błysnął w promieniach zachodzącego słońca. Dżela zalała się łzami, kurczowo schwyciła mnie za rękę, a biedny starzec utopił tymczasem nóż w swoich piersiach. „Widzisz, jak ja cię kocham!“ rzekła do mnie Dżela i padła zemdlona w moje objęcia.

Lj — Spodziéwałem się innego zwrotu — przerwał Jerzy z uśmiechem, który był oznaką, że improwizacji hrabiego słucha z grzeczności — spodziéwałem się najmniej, że ten szeroki nóż przeznaczony był...

Li Lj — Był to dzień święteczny, a Koran zabrania w dniu takim przeléwać krew nieprzyjaciela — odparł hrabia patrząc spokojnie na zegarek...—Kilka dni, kilka tygodni minęło błyskawicą — mówił dalej hrabia Leon—a ja zamyślałem na seryo zapuścić brode, wziąć biały burnus i zostać najwierniejszym muzułmanem. Cywilizacya europejska nie dała mi żadnego szczęścia, mogłem się z nią rozstać bez bólu.

— Nie czułeś pan przywiązania do kraju?—przerwał szybko Jerzy.

— Ach, kraj jest to coś, jak idealna kochanka poety: można ją nosić z sobą po wszystkich krańcach świata.

— A przecież niektóre obowiązki...

— Urodziłem się na kresach. Dziad mój włożył na nas obowiązek bronienia ojczyzny od hajdamaków. Dzisiaj ze zniknięciem hajdamaków ustał nasz obowiązek. Na inne nie ma miejsca. X

A widząc, że Jerzy jakimś morałem zamierza przerwać mu dalsze opowiadanie, mówił dalej: D

— Kilka tygodni ubiegło błyskawicą, a jam był szczęśliwy. Gwiazdziste niebo nocy zwrotnikowej było świadkiem mojego szczęścia. Koczowaliśmy w pięknej oazie wśród piasków gorących. Pewnego ranka przybyła do nas liczna karawana. Widziałem, że wszystkich oczy zwrócone były na moją Dzełę, która leżała na perskim kobiercu, oparłszy głowę o moje kolana. Byłem dumny jak król. Koło wieczora spostrzegłem

jakiś ruch w obecj karawanie. Dwóch młodych Arabów zbliżyło się do nas. Trzymali w ręku krótkie, obnażone noże. „Czarodziejko, rzecze jeden do mojej Dżeli, oto dwaj pokochaliśmy twoje czarne, aksamitne oczy, twoje zęby jak perły białe, twoją smukłą kibić, jak kibić gazeli. Pozwolisz, że na dowód tego stoczymy tu walkę w twoich oczach, bo dwóch nas nie może żyć na świecie.

— Powieść pańska zaczyna być ciekawą—wtrącił Jerzy.

— Spojrzałem z obawą na Dżelę, ale ona tuląc się do mojej piersi, rzekła do mnie: „Pozwól im zmierzyć się z sobą. Jest to hołd oddany zwyczajem narodowym twojej Dżeli.“ Dwaj Arabowie rozpoczęli walkę, a za kilka minut leżał jeden trupem u nóg mojej czarodziejki. Dżela zawiesiła się na mojej szyi i rzekła: „Jestem godna twojej miłości.“ Ale wnet z pomiędzy Arabów wystąpił drugi i z taką samą przemową rozpoczął bój na cześć mojej kochanki. Szczególny ten hołd powtórzył się jeszcze kilka razy, a przed nami leżało już pięć trupów.

— Pięć trupów!—zawołał Jerzy.

— A każdy z nich starał się o względy mojej Dżeli i śmiercią dawał świadectwo swoich gorących uczuć. Dżela jednak pozostała stałą pierwszą miłości. Za każdym krwawym hołdem tuliła się tém więcej do mnie, okazując mi swoją gorącą miłość.

— I jakż ję koniec?

— Gdy piąty trup legł u jej nóg, zamysliła się trochę, uściśnęła mnie już zimniej, a gdym po północy, po pięknym, rozkosznym śnie oczy otworzył, ujrzałem ją siedzącą na kobiercu i zamysloną. „Cóż ci to, Dżelo?“

zapytałem z pieszczotą. „Myślę o tém, że ciebie opuszczę,“ odpowiedziała spokojnie. „Ty mnie opuścisz!“ krzyknąłem z boleścią. — „Porzucę cię, mój drogi—rzekła czarodziejka.—Widzisz, pięć trupów leży tam pod palmami.—„I cóż ztąd?“—zapytałem.—„Ztąd to, że jestem więcej wartą od ciebie, — odpowiedziała spokojnie córka natury.— Pójdę do plemienia Ben-Izmen, które ztąd niedaleko koczuje, a pewnie upodoba mnie sobie emir, którego biały, złotem i srebrem wyszywany burnus pewnie znany ci jest z opowiadań naszych.“—Te były ostatnie słowa wypieszczonj córki natury, która porzuciła mnie dla emira w białym, srebrem i złotem haftowanym burnusie. Otóż kobieta... A teraz widzę, że pański służyący niecierpliwie zagląda. Rozkaż mu pan bez ceregieli przynieść kawy z kożuszkim, do której już wzdychasz. Będzie ona zapewne lepszą od mojej powieści, a może od wszystkiego, co ta powieść w sobie zawiera. Jesteśmy szczęśliwi, że przywiązujemy się do takich rzeczy, jak kawa z kożuszkim, herbata ze śmietanką, bifszyk lub cygaro amerykańskie.

— Więc pan nie wierzysz w stałe, szczere przywiązanie kobiety? — zapytał Jerzy, który dotąd nie mógł pojąć, do czego właściwie ta powieść dąży. — Czyż miałyby to być napomnienie, a może podstęp jaki?—myślał sobie w duchu.

— Czuję zapach kawy — odparł hrabia Leon, śmiejąc się szczerze i serdecznie—a nie chcę panu psuć apetytu, gdybym powiedział, że nie wierzę. Wierzę w interes.

— Ach, toś pan nieszczęśliwy!

— Nie poeta!

— Mógłbym panu zaraz kilka przykładów przytoczyć.

— Na przykład.

— Najbliższy. Pani majorowa.

— Pani majorowa? — powtórzył hrabia Leon, strzepując cygaro.

— Piękna, młoda dziewczica. Wychowana przez starego Dębicza, który w jej młodziuchne serce zaszczerpił miłość do cnoty, do kraju i nauczył ją kochać tych, którzy się dla jakiej wyższej myśli poświęcali. Przychodzi stary żołnierz, o siwych włosach, a stéranych siłach—dziadek wskazuje na niego i wylicza młodej wnuczce jego zasługi, a posłuszna wnuczka oddaje weteranowi w nagrodę za poczciwe życie rękę i serce: kocha go dotąd z prawdziwým poświęceniem.

Oczy hrabiego zaiskrzyły się przelotnie, a dziwny uśmiech przebiegł po jego zimnej, spokojnej twarzy. Wstał szybko z krzesła, a kładąc poufnie rękę na ramieniu Jerzego, rzekł żartobliwie:

— Już widzę w drugim pokoju kawę na stole i śmietankę z kożuszkim. Nie wątpię, że będzie smaczna, choć jej nigdy nie pijam. A co do pani majorowej, muszę panu jeszcze przed kawą powiedzieć, że gdybym chciał być niedyskretnym, mógłbym panu za kilka tygodni okazać mały, słodki liścik, w którym by zapewnie więcej było sentymentów, niżeli ortografii i gramatyki!...

Zamiast odpowiedzi, zerwał się Jerzy z krzesła i pobiegł do zachwalonej kawy z kożuszkim. Ale na żaden sposób nie mógł w niej dopić się smaku. Zamiast kożuszka pływał po kawie hrabia Leon, potrząsając dziesięciu głowami Kabyłów i pękiem breloków

z serc kobięcych... Pływał po wierzchu, chodził po dnie szklanki, drapał się po ścianach, słowem, stał mu wszędzie przed oczyma. A tymczasem rzeczywisty hrabia chodził odmierzonym krokiem po pokoju, motając sobie coś na wąsy z największą swobodą. Tylko gdy przechodził próg drugiego pokoju, zdawało się Jerzemu, że patrząc na niego, uśmiecha się sarkastycznie jak ów mniemany nieprzyjaciel Wojny. I pomyślał sobie:

— Ten śmiały, przedsiębiorczy człowiek staje mi widocznie w drodze. Trudna będzie z nim walka.

Mimo téj tak smutnej myśli, wyszedł z odwagą do pierwszego pokoju i tak śmiało mniemanemu przeciwnikowi w oczy zajrzał, że się hrabia aż zdumiał, przypisując tak wielki skutek kawie narkotycznej. Jerzy tymczasem wyjrzał oknem, szukając na ulicy zamówionych koni. Mimo wszelkiej jego odwagi, jaką był wyniósł z drugiego pokoju, markotno mu jednak było wobec człowieka, który coś strasznie *à la Mazarin* zaczął się uśmiechać. Pocieszał się, że za chwilę z nim się rozstanie.

I właśnie nadeszła ta błoga chwila. Turkot powozu rozległ się po bruku ulicy. Jerzy wyjrzał z rozjaśnionym obliczem przez okno i już gotował się do przeproszenia hrabiego, że w pilnym interesie odjechać musi, gdy nagle przed oknem ukazały się dwa najpiękniejsze konie ze stajni zamkowej, a na koźle pysznego faetonu, obok galonowego stangreta, siedział zgarbiony stary Soroka i z dziwnym wyrazem wpatrywał się w okna Jerzego.

— Jeżeli się nie mylę — ozwał się Jerzy z wyrazem zadziwienia na twarzy, — to pański służący.

Ly — Aha!— odrzekł hrabia Leon, rzuciwszy okiem na ulicę.— Zapomniałem powiedzieć, z cz^{em} właściwie przyszedłem. Chciałem panu zaproponować, abys był moim towarzyszem podróży.

— Ja właśnie wybieram się w pilnym interesie do miasta...

Li — To samo miejsce jest celem mojej podróży, a jeśli interes pański jest pilny, to lepiej wyjdiesz na mo^{je} towarzystwie, gdyż nie lubię jechać powoli.

Jerzy nie miał na to gotowej odpowiedzi. Nie umiał sobie wytłumaczyć tego szczególnego zachowania się hrabiego i począł obawiać się go na^o prawdę.

Widząc gospodarza nieco w kłopotcie, rzekł hrabia Leon z wyrazem spokoju i obojętności na twarzy:

Li — Zapewne znany jest panu dom negocyanta Warnera?

— Warnera?— powtórzył Jerzy, a mniemana odwaga opuściła go do szczytu.

— Mam kilka weksli na ten dom — odpowiedział hrabia Leon, zarzucając szkocki szal na ramię.

Li Jerzy przyszedł do siebie. Podejrzenia jego poczęły upadać. Mimo to nie mógł się pozbyć pewnej obawy, jaką czuł przed tym człowiekiem, a nie miał dosyć siły, aby się od niego oderwać. Kilka słów konwencyonalnej grzeczności i podziękowania nie uwolniło go bynajmniej od tego zagadkowego demona, który z każdą chwilą zdawał się brać górę nad nieszczęśliwym marzycielem.

Li Rad nie rad musiał przystać na propozycją hrabiego, począł jednak w głowie układać plany, jakimi drogami oddali się w mieście od swego towarzysza,

aby w zupełnej tajemnicy wykonać zlecenie panny Janiny.

W téj chwili ktoś odkrzaknął za drzwiami. W progu ukazała się mała, czarna fajeczka, a za nią uśmiechająca się twarz pocziwego majora.

— Al pan major! — krzyknął uradowany Jerzy widząc w przybyłym sprzymierzeńca.

Ujrzawszy hrabiego Leona, zmieszał się trochę pocziwy weteran i dosyć niezgrabnie ukrył jakieś opieczętowane pismo za szerokie kresy białego kapelusza.

Ly Po wzajemnym przywitaniu, rzekł major, ukrywając starannie pismo za kapeluszem:

— Mając rano interesik do miasta, wstąpiłem do pana, aby mu najprzód dzień dobry powiedzieć, a potem po wczorajszym zebraniu zapytać coś *de politicis*. Pan hrabia zapewne wiele nowości przywiózł z sobą?

— Polityka według mnie — odparł hrabia — jest to najniewdzięczniejsza zabawka. Przy końcu gry okazuje się, żeśmy nic a nic nie wiedzieli!

— A przecież z dzisiejszych słów ministra angielskiego można wnosić o bliżkiej jakiejś zmianie...

— To są frazesa, panie majorze, i nic więcej.

— Pan, jak widzę, masz dziwną misję odbierania wszelkich złudzeń — wtrącił Jerzy, zbliżając się do sprzymierzeńca.

— Ach, złudzenia! złudzenia są naszą chorobą narodową — odparł krótko hrabia Leon.

— Zdaje mi się, że dzisiejszy stosunek Francji z Hiszpanią nie jest bynajmniej złudzeniem, z którego można sobie wróżyć korzystną zmianę... — wtrącił nieśmiało major.

ljlilj — To pewnie mówi jakaś gazeta w interesie akcyjnarjuszów przedsiębiorstwa, którego akcje dostała od niego *al pari*—odparł hrabia Leon.

— Czy i tu interes? — zapytał z uśmiechem Jerzy.

ly — Jeżeli kto zechce się przekonać o wartości dzienników politycznych — mówił dalej hrabia Leon — niech tylko weźmie jeden z ubiegłych roczników do ręki i naraz go przeczyta. Z ostatnią kartką przyjdzie do przekonania, że wszystko, co przeczytał, było nieprawdą, przypuszczeniem, czczeniem gadulstwem, niedorzecznością, wyjąwszy drobne anegdotki i opisy uroczystości dworskich, które urządzają się dla oka publiki.

ly Poczciwy major zamilkł, patrząc ukradkiem na pismo pod kapeluszem. Stary napoleoński żołnierz, przyzwyczajony był do tego, że wobec dzisiejszego położenia często mu milcząc przychodziło. Jego poczciwe serce nie mogło sobie odmówić niewinnych złudzeń, które od dawna stały się potrzebą jego życia. A może miały przytem inny jeszcze grunt. Ludzie przygniecení niepowodzeniem, którym urywa się w ręku wszystko, za cokolwiek chwycą, ratując się radzi wierzą w najśmielsze przypuszczenia, zarzucając w nie ostatnią swoją kotwicę.

Idąc w pomoc sprzymierzeńcowi, rzekł Jerzy:

ly — Złudzenia podobne i wyczekiwania z dnia na dzień jakichś zmian pożądaných, mają wprawdzie szkodliwą stronę. Znamionują ludzi słabych i bezczynnych, którzy od zmiłowania bożego wszystkiego wyglądają. Przy tём *dolce far niente* tracą powoli grunt, na którym stoją, zaniedbują obowiązków, a gdy przez

to upadają, narzekają na złe czasy i fatalność nieubłaganą. Ale z drugiej strony wyzuć się ze wszelkiego uczucia... zakręślić w koło siebie małe kółko, dokąd sięgają promienie wpływającego z nas egoizmu...

Hrabia Leon przerwał głośnym śmiechem mówiacemu, a podając majorowi rękę, rzekł szczerze i otwarcie:

— W panu Jerzym widzę talent kaznodziejski i wszechnicę niemiecką. Poddaję się na łaskę i niełaskę. Za przyjazdem moim będę się starał zasłużyć sobie na łaskę u pana majora, chociaż teraz w niełasce odjeżdżam. Przywiozę z sobą wszystkie dzienniki niemieckie i będziemy politykowali.

Major był jeszcze pod dziwnie smutnym wrażeniem, jakie na nim wywarła obrona Jerzego. To „*dolce far niente*“ dotknęło go w jakąś utajoną ranę, choć w całej okolicy uchodził za najpracowitszego gospodarza. Wesoła przemowa hrabiego nie mogła go rozweselić. Szczerze jednak i serdecznie ścisnął podaną rękę i wynurzył radość, jaką mieć będą Czarnowody z odwiedzin hrabiego Leona. Ly

Jerzy przypatrywał się temu serdecznemu rozstaniu z wyrazem cierpkiej ironii.

Gdy hrabia Leou szkockim szalem szyję sobie okręcał, dla ochrony się od wilgotnej mgły porannej, tymczasem major przystąpił do Jerzego i wzięwszy go za rękę, zaprowadził do okna.

— Prosiłbym łaski pana... — rzekł nieśmiałym i wzruszonym głosem, wyjmując z pod kapelusza opieczętowany pakiecik.

Jerzy rzucił okiem na pakiet i przeczytał napis:

„Do kaszy wdów“. Był to instytut, w którym dawniej zaciągała pożyczki szlachta wielkopolska.

— Ten pakiecik zechcesz pan oddać Warnerowi —mówił dalej major, a na twarz jego wystąpił rumieniec.

— „Do kaszy wdów“—przeczytał Jerzy.

— Nie jest to mój dług — pochwycił prędko major;—to coś z dawniejszych czasów — dodał nieśmiało, spuściwszy oczy w ziemię.

Jerzy schował szybko pakiet, aby przerwać majorowi dalsze tłumaczenie się, a zbliżywszy się do biurka, wyjął futeralik z pistoletami, który przed hrabią starał się ukryć.

Ale szczególnie ten człowiek musiał spostrzedz zamiary Jerzego, bo zwróciwszy się nagle do niego, wziął mu z rąk futeralik, a obéjrzawszy pistolety, rzekł z największą obojętnością:

— Nie obciążaj pan t~~ę~~m niezgrabn~~ę~~m żelaziwem faetonu. Mam z sobą dwie pary angielskich pistoletów, które panu w każdej chwili ofiaruję, jeśli tego potrzeba będzie.

Jerzy nie mógł już sobie wytłumaczyć tego dziwnego człowieka, który w oka mgnieniu za pasma wszystkich jego myśli zdawał się chwytać. Mimo wszelkiej obawy, jaką miał przed nim, nie miał siły oprzeć się niewidzialnemu arkanowi, który razem z kółkami dymu na jego szyję był zarzucił.

Z dziwn~~ę~~m przeczuciem, lecz oraz z rezygnacją największego nieszczęścia, jakiego spotkać go mogło, wsiadł do faetonu, jak w błędną łódkę, którą fale morza gdzieś unoszą!

Major smutny i zamyślony, szedł ulicą Podzam-
cza, trzymając machinalnie w ustach fajeczkę, która
mu dawno już zagasła. x

Jeszcze turkot faetonu, uwożącego dwóch naszych
bohaterów do pogranicznej niemieckiej prowincyi, roz-
legał się między starými domami ulicy Podzamczej,
gdy stary Mietlica z koszem w ręku wyszedł zadysza-
ny z pobocznej ulicy i ociérając pot z czoła x rzekł do
siebie:

— Tam do kata. Gdybym był o kilka minut
wcześniej przyszedł, tobym go jeszcze był zastał!
O! widziałem go dobrze z daleka. Siedział na koźle
i uśmiechał się. Pewnieby mi co powiedział o so-
bie i o swoim panu. A byłoby czego słuchać, mój Boże!
Cały świat zjechali, mówi pan major. A pani majo-
rowa aż drży z ciekawości, gdy o nim kto mówi. Tam
do kata! Kilka minut wcześniej, a daję gardło, że po-
jutrze byłby już na folwarku i gwarzyłoby się...

Tak mówił do siebie stary wachmistrz, wracając
drogą, którą przyszedł. Na ulicy powoli otwierały się
sklepy, tu i owdzie wychyliła się z okna głowa, obser-
wująca dzisiejszą pogodę, a stary ekonom uważał pil-
nie, czy na téj głowie nie było białej szlafmicy. W ta-
kim razie uchylał czapki, mówiąc: „Pochwalony“, i tak
jakoś szczęśliwie mu się powodziło, że zawsze trafił
na swego i na katolika.

Wreszcie przeszedł koło sklepu z złotą wystawą.
Kupiec stał właśnie we drzwiach, w okrągłej, aksami-
tnej czapeczce, uśmiechał się do niego i gładził rękę
po tłustym brzuchu. Ekonom przeszedł koło uiego, nie

nychyliwszy czapki. A uczynił to z afektu dla przyjaciela, który tego człowieka znieść nie mógł.

L^s Naprzeciwno stał mały domek zegarmistrza. Smutno jakoś wyglądał, a nawet zdawało się, że czuwająca nade drzwiami Opatrzność bożka zmrużyła tym razem wielką swoją źrenicę. Zapykał do drzwi — nikt się nie ozwał. Przyłożył do szpary usta i zawołał: „Grzanku!” — ale Grzanka nic nie odpowiedział. Tylko stuk zegarów dochodził do jego ucha, między L^y którymi wyraźnie słyszał Burmistrza i Paliwodę.

Nie mogąc się nikogo dowołać, obszedł dom naokoło i tylną furtką wlaź ostrożnie do sieni. W komorze na pół ciemnej, między trzaskami, siedział Grzanka i strugał jakąś żabkę.

— To wy, *miłościwy panje!* — zawołał z radością Kaszub — ja bo myślał, że znowu ten człowiek, o którym tak nie dobrze mówił pan Wojna.

Ekonom postawił na ziemi koszyk z wiktuałami, które był dla Grzanki przyniósł, a rozejrzawszy się po komorze, zapytał:

— Albo on tutaj był? I czegoż chciał?

Grzanka odłożył na bok narzędzia, a wzięwszy Mietlicę za rękę, wyprowadził go do sieni z wielką ostrożnością. Tu ukazał mu we drzwiach mały otwór, przez który można było wyjrzieć na ulicę, i opowiedział mu w krótkości, jakim sposobem ten otwór powstał. Mówił mu, że przyszedłszy do tego domu myślał ciągle o złym sąsiedzie, przed którym ostrzegał go zegarmistrz. Pół dnia siedział cicho i nawet ani zakaszał, aby nikt go nie usłyszał. Ale potem pomyślał, że dya- i
beł dla tego straszny, iż nikt go nie widzi, i zaczął przemyśliwać, jakimby sposobem mógł widzieć tego

złego sąsiada. Zresztą nudziło się mu trochę, i tak częścią z ciekawości, częścią z nudoty wydłubał tę dziurkę. Ale otoż nowa przybyła pokusa. Sąsiad wprawdzie wyglądał na jakiegoś złego człowieka, a nawet tak samo uśmiechał się i po brzuchu gładził, jak to Wojna mówił, ale w sklepie jego było tyle ładnych rzeczy, że oczu od nich oderwać nie mógł. Był tam Fryc stary w trójgraniastym kapeluszu, był jakiś opasły Niemiec, który zawsze język wystawiał, gdy go kto ruszył; było kilku huzarów, z trupiami głowami na kołpakach, chociaż ich do nogi wycięto w wojnie napoleońskiej. Widział tam także ptaki, barany, woły i krowy!..

— Otoż pomyślałem sobie—mówił dalej Grzanka—wyjdę na miasto tylną furtką, kupię klocek drzewa, a przypatrzwszy się w sklepie tym ładnym rzeczom będę próbował, może i ja takie zrobię. L u

— Tam do kata!—mruknął ekonom, który zaczął już wierzyć w przeczucie przyjaciela—tam do kata! nie trzeba było wychodzić.

— *Miłościwy panje*, bięda nie chodzi po lasach, ale po ludziach. Otoż wyszedłem, kupiłem klocek drzewa, a wracając, długo przypatrywałem się Frycowi i huzarom. Na szczęście nawet nie było kupca, a ja myślałem, że wszystko dobrze pójdzie.

— A tymczasem niedowiarek był ukryty.

— Już tego nie wiem. Ale zaledwie do domu przyszedłem i klocek rozłupać chciałem, słyszę, że ktoś puka do drzwi. Wyjrzałem ostrożnie tą dziurką i obaczyłem, że kilku panów stało pode drzwiami. Nie ozwałem się, choć oni kilka razy zapukali. Z tego, co mówili, poznałem, że między nimi był burmistrz, a przy

nim stał ten kupiec. Strach mnie wziął, lecz się nie ozwałem słowem.

— Tam do kata! — zawołał ekonom i potargał węża.

— Oni tymczasem obeszlą dom dookoła, popukali po ścianach, pozagłądali do okien i słyszałem, jak burmistrz mówił, że ten dom trzeba rozwalić.

— Rozwalić! — krzyknął Mietlica i ugryzł kawałek węża.

— Tak, *miłościwy panje*, rozwalić. Powiedział burmistrz, że ta stara klatka tylko szpeci ulicę. A kupiec na to, że Wojna nie ma pieniędzy, aby nowy wymurował, tylko ma długi. Więc niech burmistrz każe to pruchno oszacować, a on zakupi ten plac i wystawi kamienicę.

Ekonom postawił węża do góry, jak odynieć kły do napastnika, i zawołał:

— Ho, ho, mospaniel! już to domu nikomu wziąć nie mogą, choćby był najbiédniejszy! Do kata!...

Grzanka przypisał sobie całe nieszczęście i zasmucił się jeszcze bardziej, gdy Mietlica nie pożegnawszy się z nim, jak to zawsze zwykł był czynić, wziął próżny kosz i mocno zamyślony wyszedł przez fórtkę. Będąc na ulicy, spojrział raz jeszcze na ów dobrze mu znajomy ganek, na którym niejednym wieczór w dniu świątecznym przegawędził z przyjacielem, spojrział na wiszącą u góry Opatrzność bożą, i zdawało mu się, że to opiekuńcze oko zalało się dzisiaj łzami nad losem biédnego zégarmistrza. A to tylko z jego oczu wypłynęły dwie łzy i zawisły na siwych wężach. Widu zawył przeraźliwie, a stary ekonom obrócił się i przyspieszył kroku.

Na końcu ulicy, przy małym wózku, czekał już na niego major.

Lj — Proszę pana majora — rzekł Mietlica z należytą subordynacją, — czy mogą komu wziąć jego majątek?

— Jeżeli jest jego własny, to nie mogą — odpowiedział major, patrząc dziwnie na ekonoma.

— Nawet choćby miał długi? — dodał Mietlica nieco ciszej.

— Wtedy mogą — rzekł major, a na pocziwą twarz jego wystąpił rumieniec.

Z jakimś dziwnym uczuciem wpatrzył się w ekonoma. W oczach jego malowała się trwoga i przerażenie, ale Mietlica już nic nie widział. Odkąsiwszy kawałek wąsa, potracił babę, która na targ spieszyła i wskoczył na kozieł z takim zamachem, że omal go nie przesadził.

Smutno potoczył się wózek drogą do Czarnowód.

II.

Wchwili gdy mniemany mieszczanina nieprzyjaciel opukiwał dom jego, jak spróchniałą trumnę nieboszczyka, i w duchu układał koszta nowój, muryrowanej kamienicy, ten szedł prostą drogą do miasta pogranicznej niemieckiej prowincyi, nie myśląc wcale o tém, że tam ktoś nastaje na jego ubogi domek, poruczony opiece Kaszuba i jedynój biednych orędownicze: Opatrzności bożkiej. Własne jego mienie nie wiele go obchodziło w téj chwili. Biedny zégar-mistrz może po raz piérwszy w życiu oderwał się od arcydzieła swego praojca, nad które nie było mu nic miłszego na świecie.

Utrata powierzonój mu szkatułki, o którój treści najrozmaitsze czynił domysły, oraz święty obowiązek wydarcia jój z rąk cudzych, zmusiły go do tego ważnego kroku. Bez tego wydarzenia nie ruszyłby się poza kopce Dąbczyna, gdzie już dla niego zaczynała się obczyzna.

Z razu postanowił przejść przez tę przestrzeń, która go od miasta prowincyi niemieckiej oddzielała, z zamkniętymi oczyma, aby się nie nabawić jakiego

grzécu. Ale jakoś nie powiodło mu się postanowienie. Gdy wyszedł bowiem pod kopce Dąbczyna, zdawało się zégarmistrzowi, że nagle horyzont jego myśli razem z horyzontem ziemi zaczął się rozszerzać. Przed nim było jakoś dalej i szerzej, a pod trójgraniastą czapką poczęły się dziwne wylęgać myśli. Mieszczanin poczuł się turystą, który podróżując, wszystko obaczyć musi i o wszystkim potem opowiedzieć staremu ekonomowi.

Otóż idąc bitym gościńcem, patrzył przed siebie i wokoło siebie, robiąc sobie w duchu różne uwagi. Zaraz za Dąbczynem miał dziwne zdarzenie. Wstąpiwszy do karczmy, zastał tam chłopów z różnych stron, którzy z jakiegoś targu powracali. Siadł w kącie i począł się przysłuchiwać ich rozmowom. Jedni mówili po polsku, drudzy po niemiecku, a byli znów i tacy, co te dwa języki jak najdziwaczniej mieszały.

Wybrawszy sobie staruszka, którego twarz najlepiej do smaku mu przypadła, zbliżył się do niego, a częstując go swoją szklanką, rzekł z ciekawością turysty:

— Proszę was, co to są za ludzie?

Staruszek obejrzał mieszczanina od stóp do głowy, przeszedł z uwagą wszystkie pętlice na jego granatowej czarmarce, i z nieufnością zatrzymał się na czapce trójgraniastej. Ale w siwych oczach Wojny było tyle poczciwości, że nadpiwszy jego szklanki, odpowiedział:

— To ludzie z moich stron, z nad Noteci.

— Czemuż jedni mówią tak, a inni owak?

— To wszyscy Polacy.

— Polacy!—zawołał z zadziwieniem Wojna.

— Ot tamci, co siedzą przy samym szynkwasiu

i mówią po niemiecku, to są z Wojciechowa. Dawny ich dziedzic sprzedał wieś fabrykantowi ze Szlązka, a odtąd nazywa się ta wieś „Witzehof“, a ludzie przeszli na niemieckie. Ls

Mieszczanin posunął czapkę na głowie i zanotował sobie w duszy:— „Gdybym miał wieś, nigdybym jęj nie sprzedał obcemu.“

— A ci, co tak mieszają różne języki?—zapytał znowu staruszka.

— Ci są z Brodny—odpowiedział stary — którą trzyma w posesyi już dziesięć lat jakiś handlarz z Brandeburskiego. Dziedzic tęg wsi mieszka gdzieś za granicą. Lj

— Jak się to stało, że oni tak mówią?

— Musicie wiedzieć, że u nas każdy obcy pose-sor przyprowadza z sobą swoich parobków, nad-zorców, pisarzy i swoje dziewczki do roboty. Otoż chłopi słyszą ich zawsze szwargoczących innym językiem, a że często tamci nas dobrze nie rozumieją, więc tęg sobie pomagają, że jedno słowo tak, a drugie owak po-wiedzą. I tąd to przyzwyczajają się nasi do tęg miesz-zaniny, że ich potęg pocziwy katolik i zrozumieć nie może. A gdy długo taka posesya potrwa, to zupełnie swego zapomną. Lj

Zégarmistrz posunął się na stołku, rozlał piwo, a mażąc palcem po stole, myślał sobie pod czapką trój-graniastą:— „Gdybym miał wieś, nigdybym jęj nie wy-puszczał obcemu w posesya, bo to herezya i obraza bożka.“ Ls

Pożegnawszy staruszka, wybiegł z karczmy, bo mu tam jakoś było markotno. Przed karczmą stał wóz chłopski, który jakkolwiek był pomalowany na

niebiesko, a nawet okucie na sztelwadze miał karbowane w różne zygzaki, jednak coś strasznie pachniał polskim chłopem, bo na kołach miał błoto z przeszłej Wielkiénocy. Na wozie siedziała blada kobiéta, a chociaż była ubrana w cyc i perkał, wprawne jednak oko mieszczanina odkryło w niej po dużych koralach na szyi, i włosach nieco rozmiérzwionych, że to jakaś polska kobiéta. Tylko mąż jój był już kompletnym Niemcem z Pomorza, w siwym spencerku i okrągłym cylindrowym kapeluszu.

Długo patrzył zégarmistrz na tę zagadkową parę małżeńską, ale nie miał jakoś odwagi zaczepić. Obszedł wóz kilka razy, przemówił coś do dereszowatėj kobyły, która głową wstrzęsła, że go nie rozumie. Ale chłop pomorski zrozumiał go doskonale, przystąpił do niego, a pozdrowiwszy katolickim obyczajem Pana Boga, rzekł do niego:

— Wy z Polski?

— Z Polski, a wy?—zapytał ucieszony turysta.

— Ja z Prus—odpowiedział chłop.

— Z Prus—powtórzył smutno mieszczanin.

— A czy wy katolik?—zapytał po chwili.

— Nie, ewangelik—odpowiedział Pomorzanin.

— Lut... ewangelik—powtórzył Wojna w samo ucho dereszowatėj kobyły.

— A jest tam ksiądz proboszcz w Dąbczynie?—pytał znowu chłop.

— A na co wam księdza proboszcza?—odburknał Wojna żalując w duchu, że się w dał z nieswoim w rozmowę.

— Moja żona od kilku lat chora, to chciałbym zakupić kilka mszy świętych na jój intencją!

— Mszy świętych!—krzyknął Wojna, aż się ko-
była przestraszyła — wszak wam nie trzeba kościoła,
macie bethaus i pastora!

— Pastor u nas niema takiej władzy, jak ksiądz.

— A co wam do księdza! wszak wy ewangelik!

— Ja ewangelik-katolik—odpowiedział spokoj-
nie chłop pruski.

— Ewangelik katolik!—krzyknął zegarmistrz.

— Tak, bo myśmy wszyscy byli pierwój katoli-
kami, a teraz jesteśmy jeszcze do tego ewangelikami.
Tak nam to dawniej wytłumaczył burmistrz z West-
felde.

Mieszczanin przeżegnał się krzyżem świętym od
takiego dziwoląga, który jest ewangelikiem-katoli-
kiem, i drapnął dalej krokiem przyśpieszonym. Uszedł-
szy jednak jakie dwoje staj pola, poczuł z niemałym
zadziwieniem, że pod czapką trójgraniastą rodzi mu
się jakaś myśl szczególna. Nie była ona wcale tak
strasznie mądra jak Minerwa Jowisza, ale była pro-
sta i prawdziwa. I zanotował ją sobie dobrze miesz-
czański turysta w ten sposób: Wiara wiernego katoli-
ka jest to jak marmur: można ją różnie zamalować,
ale tylko draśnij, a obaczysz, że pod spodem kamień,
gdyby nawet stu burmistrzów temu przeczyło. Chłop
z Prus wschodnich jest katolik mimo bethausu, pasto-
ra i burmistrza, za co niech będzie Imię bożkie błogo-
sławione na wieki wieków, Amen...

Zrodziwszy tę myśl pocieszającą, zachwycił się
samym sobą biedny mieszczanin, wyrósł na kilka cali
w górę i z taką dumą stapał po bitym, pruskim gościń-
cu, jakby zwycięzcą wchodził w bramy nieprzyjaciela.
Kilku podróżnych śmiało potracił, furmanowi nie usta-

pił się z drogi, mimo olbrzymiego dzwonka, który nieustannie przy dyszlu dzwonił, i pragnął z całego serca zdybać się z tą piekielną machiną, która bezbożnych ludzi piorunem na różne strony świata rozwozi.

Tymczasem nadeszła pora obiadu i wypoczynku. Mieszczanin usiadł pod drzewem, wyjął z torby chleba i spory kawał szynki, który mu ekonom na drogę do kieszeni wtrącił, a przeżegnawszy te dary boże, spożywał je z takim apetytem, z jakim niegdyś rycerz krzyżacki odbywał ucztę na ziemi nieprzyjacielskiej.

Posiliwszy tym sposobem ciało i ducha, po krótkim odpoczynku wstał zégarmistrz, a poczuwszy się zdolnym do wyrobienia jakiejś myśli niepospolitej, zaczął się znowu w koło siebie oglądać. Był to już kraj wcale inny. Białe, schludne domki białowały na zielonym kobiercu, jak grudki rozsypanego sera. Ziemia dobrze uprawna wyglądała jak ogród, drzewa owocowe ocieniały każdą zagrodę. I wspomniawszy sobie na biédne chatki polskiego ludu, na stare, na pół rozwalone dwory szlachty, na nędzne budynki gospodarskie, i rzekł w duchu: Lud to pracowity i zamożny. Gdyby tylko mówił po polsku i był katolickim, wcale by nie źle wyglądał. I tak idąc przez wioskę, wstąpił do jednego białego domku i prosił o wodę. Pызata gospodyni z tłustymi, czerwonymi rękoma, wykrzywiła do niego twarz bez zębów i groźnym gestem wskazała na karczmę. Mieszczanin wyszedł za bramę, otrzepał proch z butów i zanotowaną w pamięci sentencją odmienił w ten sposób: „Lud pracowity i zamożny, ale nie mówi po polsku i nie jest katolickim. Niéma serca i nie zna, co gościnność. Nie dziw, że ma białe

domy. Żyje tylko dla brzucha i grosza. Kobięty są brzydkie i bez zębów.“

l3
Dalej na lewo ujrzał ładne folwarki. To „hubiarze“, mający zazwyczaj podwójny grunt chłopski. Jest tam porządek i dobre gospodarstwo. Pracują wszyscy, żona i dzieci, nie tak jak u szlachty polskiej, gdzie pani musi mieć zaraz ekwipaż i fraucymer. Te i tym podobne myśli przelatowały przez głowę zégarmistrza dąbczyńskiego, ale gdy bliżej w te „huby“ zajrzał, zanotował sobie pod czapką trójgraniastą następującą sentencją: „Hubiarz jest stworzony na podobieństwo bołkie. Ma nos i dwoje oczu, parę nóg i dziesięć palców. Ale ma kurzą ślepotę, jak każdy kolonista: poza kopce swojej „huby“ dalej świata nie widzi. Nie go tam nie obchodzi; a gdy się go zapytasz: czy pójdzie na wojnę, aby kraju bronić? to ci odpowie, że płaci regularnie podatek. Wątpię nawet, aby miał duszę, chociaż nawet, gdyby ją miał, byłaby skazana do piekła, jak dusza każdego niedowiarka.“

Takie i tym podobne notatki układał sobie mieszczanin pod czapką trójgraniastą, aby mieć je gotowe, gdy się zejdzie ze starym ekonomem. Nie przeczuwał biedny, że właśnie w tej chwili mniemany jego nieprzyjaciel pukał do starych ścian jego domku, namawiając burmistrza, aby je rozwalić kazał. Takie to dziwne figle nieraz los nam płata.

l4
Obaczywszy wcześniej przed sobą miasto niemieckie, przeżegnał się polski mieszczanin na intencją rychłego wyszukania Linka i odebrania z rąk jego ukradzionej szkatułki. Śmiało i z odwagą wszedł w mury miasta, jak człowiek mający czyste sumienie i Boga w sercu, a patrząc po wysokich oknach kamienic, nie

zważał wcale, że właśnie koło niego przejechał faeton z Dąbczyna, a z pobocznej ulicy wyszedł człowiek o rudych bakenbardach, niosąc pod pachą jakiś starannie owinięty pakiet.

Już to odwieczną jest prawdą, że czego w oddali szukamy, najczęściej tak blisko nas leży, że moglibyśmy ręką je uchwycić. Ale temu sprzeciwia się znowu odwieczne prawo, które chce, aby ludzie jak najdalszą drogą szli do celów swoich, bo inaczej znudziłoby ich długie życie. Zégarmistrz potrzebował tylko mocno gwizdnąć i rękę wystawić, a niezawodnie chwyciłby za barki Linka lub za szkatułkę, jeżeliby mu na niej więcej, niżeli na Linku zależało. Ale snadź przeznaczenie było takie, które go dalszą drogą miało zaprowadzić do domu agenta, a jeszcze dalszą do upragnionej szkatułki.

Tymczasem ów człowiek o rudych bakenbardach, w białym połamanym kapeluszu, trzymając w ustach rozmokłe cygareto, przeszedł przez sam środek głównej ulicy, prawie pod samym nosem zégarmistrza, i poszedł dalej wąską, boczną uliczką. Obaj nie spostrzegli siebie wzajem, chociaż drogi ich żywota tak się już z sobą poplątały, że jedna drugą przeciąć zagrażała.

Agent miał przed sobą jeszcze spory kawałek drogi do swego mieszkania, ale na twarzy jego, czérwieńszej niż zwykle, nie było wcale widać ani znużenia, ani tęsknoty do rodzinnego ogniska. Zdawał się dzisiaj nieść w sobie albo z sobą całe szczęście swoje. Twarz jego uśmiechała się nieustannie, oczy mrużyły się w jakiśś nieodgadnionej ekstazie, i tak z całego świata,

co go otaczał, niczego dzisiaj nie pragnął, że patrząc w ślup przed siebie, na nic nie zważał, na nic się nie popatrzył. Tylko coraz mocniej gniótł pod pachą szkatułkę jak rękę dozgonnego przyjaciela, który go uszczęśliwia na całe życie.

Ls Tak szedł szczęśliwy agent krokiem nieco chwiejnym przeszło godzinę, aż wreszcie wlaź w wąską i brudną uliczkę, w której już dalej ani kroku zrobić nie można było. To go wyrwało z jego marzeń szczęśliwych; zadarł do góry głowę, przebiegł okiem szereg wysokich kamienic, i dziwił się wielce, jakim sposobem stanął u celu podróży.

Ls
Lm
Lj
Ls1 Wszedł do ciemnej, wilgotnej sieni i począł się drapać po schodach. Długo trwała ta nowa podróż jego w wyższe sfery ubóstwa i nędzy, aż wreszcie rozwidniło się przed jego oczyma, gdy stanął na czwartym piętrze, tuż pod samym dachem. Na tym piętrze były tylko jedne drzwi stare, spróchniałe. Przez liczne szpary biło światło z wewnątrz na kurytarz. Wszędzie było głucho i cicho. Agent roztworzył drzwi z trzaskiem, aż się próchno posypało, i z dobrą fantazją wszedł do izdebki.

W izdebce było największe ubóstwo. Czarny stolik stał pod oknem, zarzucony jakimś papierami; kilka połamanych stołków, dwa łóżka i stary papierowy parawan, były to prawie wszystkie sprzęty tego ubożego poddasza. Przy progu stała konewka z wodą, koło niej stary, blaszany samowar, a nad kominem gruba flaszka z jakimś płynem przezroczystym.

Koło okna siedziała już niemłoda kobieta. Błada, nędzna, w ubogim ubiorze, trzymała w rękę jakąś szmatę i szyła.

— Katy! Katy! — krzyknął agent, stawiając ostrożnie szkatułkę na stole — ty nie wiesz o niczem, siedzisz tutaj i szmaty łatasz, a ja mogę mieć teraz kapotrok za czterdzieści talarów, długi po kostki, jak panowie noszą, kapelusz *à la Gibus* za cztery talary, pantaloney za ośm, a westę za trzy .. rozumiesz Katy?..

Błada kobiéta odłożyła na bok brudną szmatę, a podparwszy ręką głowę, rzekła z uśmiechem boleśnym:

— Cóż ci to, *Wilhelmie*?

Link na to nic nie odpowiedział, tylko poszedł do kominka i z grubéj flaszki sporo pociągnął. Kobiéta westchnęła.

— Kapotrok, *gibus*, pantaloney, westa, wszystko jest tutaj — rzekł po chwili, przykładając z pieśczołą rękę do szkatułki.

— Cóż to masz? — zapytała kobiéta.

— Co mam?... puszkę Fortuny, w której jest wszystko, co sobie zamaryć możesz. Cztery pokoje, meble orzechowe, zwierciadła, suknia grodenapłowa wszystko... rozumiesz? wszystko!..

Kobiéta wpatrzyła się zdziwiona w agenta, który znowu do kominka poszedł.

— Wszystko jest, Katy, wszystko — mówił dalej, oblizując otwór flaszki — tylko jednéj rzeczy tam niéma — dodał ze strasznym wyrazem na twarzy — a to jest tylko tutaj w flaszcze.

Łzy stanęły w oczach kobiéty. Wzięła napowrót szmatę do ręki i chciała szyc dalej. Snadź nie po raz piérwszy słyszała agenta mówiącego w ten sposób. Ale na igłę upadły łzy, w oczach jéj się zaćmiło

Tymczasem z zaczerwienionemi już policzkami usiadł agent przy stoliku, i z twarzą wykrzywioną rzekł do siebie:

— No, trzeba jeszcze raz to wszystko dobrze przejrzeć.

Kobięta z dziwnym niepokojem śledziła wszystkie jego ruchy. Agent otworzył szkatułkę i począł przeglądać różne papiéry. Twarz jego krzywiła się w miarę uczuć, jakich podczas téj manipulacyi doznawał. Mruczał chwilami do siebie:

— Hm! to jak czyste złoto. Od piérwszój aż do ostatniój instancyi można wygrać... Warner może nową dziurę wybić w zamku Dąbczyńskim... tylko przysięga... ba, przysięga... patent z roku 1823... a to... *Saperment*... to, Linku, może cię na nogi postawić... będziesz porządnym człowiekiem, pójdiesz do kasyna... Nie... Oto Warner grubo za to da... hoho!... grubo dać może... Panna Janina, ładna panna... hm! a gdyby krzyż, Linku?...

Rzekłszy to, schował papiéry, zamknął szkatułkę, a wstawszy od stołu, począł się przechadzać. Zdawało się, że biédny agent nagle rozkochał się w swych krzywych nogach. Tak się im bowiem przypatrywał, stawiając je z wielką siłą po podłodze, tak je na wszystkie strony wyginał i oglądał, jakby je miał wysłać na wystawę londyńską. Kobięta patrzyła nań z jakąś trwogą.

Przeszło pół godziny trwały te dziwne egzercycje agenta. Zdaje się, że w tym czasie przechodził różne koleje życia. Miał naprzód kapotrok brązowego koloru, kapelusz *à la Gibus*, jak go nazywał, westę w czérwone kwiaty i pantaloncy za ośm talarów.

Potém zdawało mu się, że jest porządnym człowiekiem, że chodzi do kasyna *Reubundu* *), czyta gazety, gra w bilard i w karty, pali cygaro... To znowu podniósł pierś, na której był krzyż zasługi, a w kieszeni patent na ładną pensyjkę... To znowu zmienił nagle krok, jakby wszedł na woskowaną posadzkę czterech pokojów z meblami orzechowemi... Jego Katy była w sukni grodenaplowej, była tłusta i czerwona, jak każda kobiéta, której na tym padole płaczu dobrze się powodzi; a on zaczesywał ogromne bakenbardy *à l'Albert* szyldkretowym grzebykiem, pił poncz i herbatę ze śmietanką...

Tutaj prysła wyciągniona struna marzeń, a agent czémprędzej pośpieszył do kominka, aby się likworem zakropić. Na twarz jego wystąpiły třeďy, oko załało się białą flegmą. Z różnych kolei życia powrócił do swojej ubogiej izdebki i do brzydkiej, brudnej, jak mu się teraz wydawało, Katy.

— Widzisz — zawołał, machając ręką przed oczyma, jakby odpędzał cisnące się do niego widma — w tój szkatułce wszystko jest, czego dusza zapragnie, tylko jednej rzeczy brakuje... a ta jest tylko tam... widzisz tam! — dodał, wskazując na flaszkę nad kominkiem.

— Mógłbym być porządnym człowiekiem — mówił dalej smutno — gdybym nie był tego głupstwa popełnił!

— Jakiego głupstwa? — zapytała kobiéta.

— Już to pierwsze głupstwo, że się z tobą ożenił! — krzyknął agent i uderzył w stół pięścią, a usta jego zapieniły się.

Li *) Patriotyczne towarzystwo pruskie.

Kobięta westchnęła i szła dalej.

— Gdyby nie ty, byłbym dzisiaj porządnym piwowarem, byłbym gruby jak beczka piwa. A tak poszedłem za tobą do tój przeklętej Galicyi i aby zarobić na kawałek chleba, musiałem chłopom supliki pisać. Waląłem się po wsiach i karczmach, jadłem i piłem z chłopami, cóż więc dziwnego, że potém razem z nimi...

Kobięta wzdrygnęła się, załamała ręce i krzyknęła:

— Na miłość Boga, Wilhelmiel...

— Na miłość Boga... Prawda, ja kocham Boga, bo on daje różne sposoby na to, gdy człowieka robak jaki wierci...

Mówiąc to, zbliżył się do kominka i mocniej niżeli kiedykolwiek pociągnął z flaszki.

— Widzisz — mówił — w tój oto szkatułce jest wszystko, co chcesz, ale nie ma tego, co w tój flaszcze... Pięniądze?... cóż są piēniądze? Są one wszystkiēm, Katy, wszystkiēm. Tak świat mówi. Masz piēniądze, masz rozum, masz charakter, szlachetność, urodę— wszystko masz. Ale jeśli tu czego brakuje—agent wskazał na lewą stronę piersi — to za nic piēniądze... Tylko to, Katy, to—i poszedł znowu do kominka.

— Mógłbym być porządnym człowiekiem, mieć tutaj—naprzeciw drugiego guzika u góry—piękny, ładny krzyż, mógłbym pójść do kasyna, grać w bilard i czytać gazety... Ale cóż z tego?... zawsze coś braknie, zawsze...—I znowu pociągnął z flaszki.

Kilka chwil stał nieruchomy na środku izdebki. Drżał cały, na jego czoło wystąpił pot kroplisty. Posunął kilka razy ręką po oczach, jakby je chciał przetrzeć i snujące się przed niemi mgły rozproszyć. I ja-

koś mu się to udało. Uspokoił się nieco, otarł pot i znowu począł się po izdebce przechadzać.

— Hm!— mówił znowu do siebie, patrząc z ukosa na szkatułkę—mógłbym być teraz porządnym człowiekiem, dostałbym urząd jaki przy cuchthauzie lub przy kryminale, a wtedy łapałbym złodziei i oszustów, że aż miło! Rozumiesz, Katy, złodziejów, oszustów, łotrów i tym podobnych. A pewnie znalazłbym ich tam, gdzie ich dzisiaj bynajmniej nie szukają!... Brrr... Katy, ja-bym ich wszędzie wynalazł! Najprzód Warner...

— Na miłość Boga, Wilhelmiel!—krzyknęła kobiéta — nie mów tego... jeszcze kto usłyszy... Wszak masz chléb od niego...

— Chléb? prawda, mam chléb, gorzki, kwaśny, suchy chléb, a on zjada pieczone gołąbki i jest zdrow i wesół... Ja mu wyciągam pieczone kasztany z ognia, a on je zjada, śmieje się i zjada... A przecież on nie-mało ludzi pozabijał!...

— Pozabijał!—zawołała kobiéta, załamując ręce.

— Katy, ty jesteś głupia kobiéta i nic więcej—krzyknął agent, pociągnąwszy znowu z flaszki—ty nie wiesz, jak można ludzi zabijać. Człowiek, który nie ma na sobie białej koszuli i złotego łańcuszka od zegarka, tylko ma dwoje rąk i kij dobry, sękaty, ten człowiek zabija najprostszym sposobem, który jeszcze od syna Adama i Ewy przechował się w ludzkiej tradycyi. Uderza między oczy lub powyżej ucha, i na t^{em} koniec. Żandarm prowadzi go pot^{em} do sądu, a sąd dla przykładu i pokajania rodu ludzkiego, wiesz go z wszelką pompą na szubienicy!... ha, ha, ha, na szubienicy!... Katy, ty jesteś głupia, prosta kobiéta!...

Ly Kobięta patrzyła łzawem okiem za człowiekiem, który ję świat zawiązał, a który przecię był ję mężem!

Lj — Tamtego powieszę — mówił dalej agent—bo użył zbyt prostego sposobu, aby zabić człowieka. Dzisiaj postąpił świat i cywilizacja, dzisiaj trzeba manier i sztuki. Głupiemu cyrulikowi dają patent na pergaminie, aby zabijał ludzi jak najlegalniej; fabrykant kiełbas i pasztetów ma ten sam przywilej; winiarz płaci podatek za konsumpcją trucizny; adwokat ma, tak zwane „stallum agendi“, a kapitalistom pomaga ustawa wekslowa, aby tęp prędzej zabić mogli!... Któż jest większy zbrojca?... Katy, ty jesteś głupia, prosta kobięta!... Ty myślisz, że Link; który był tylko tam, gdzie krew na niego bryznąła, że Link gorszy, winniejszy od tych wszystkich?... Katy, głupia, prosta kobięto!...

Lj Jakoś smutniej spojrzął teraz agent po krzywych swoich nogach. Nie marzył już o kapotroku, ani o pantalonach za ośm talarów, ale o pięknem, z jakiegoś brudu wypranem sumieniu, któreby było białe jak wista z piki saskiej.

Lj — Byłem teraz w Poznańskim — mówił dalej smutno i rzewno—byłem w służbie posłany od Warnera. „Linku, mówił do mnie Warner, nad Notecią jest ładna wieś z białym dworkiem. Tę wieś chcę mieć dla Waltera i Matyldy. Dziedzic tam jest mocno zadłużony. Teraz umarła mu żona, gospodarstwo w największym nieładzie. Idź, dowiedz się o wszystkim. Negocjant nasz w Poznaniu zaproponował mi pożyczkę na lat cztery, wyrachowawszy, że za cztery lata oddać na żaden sposób nie będzie mógł. Wtedy postaramy się o subhastację, a wieś z białym dwor-

kiem będzie nasza, Waltera i Matyldy...“ Przyszedłem do téj wioski — na ganku stało czworo małych sierot, czarno i biało ubranych... brrr... co mówię... Katy ile ich było?...

— Czworo mówiłeś, Wilhelmie — odpowiedziała kobiéta.

— Czworo?... nieprawda, kto ci mówił, że czworo... ja nie mówiłem, że czworo... ja ci nigdy o nich nie mówiłem, nigdy... brrr... Katy, głupia, prosta kobiéta, z kąd ty wiész, że ich było czworo?...

I blizkim już był agent zwykłego swego paroksyzmu, który od niejakiego czasu zbyt często go napadał, ale dziwne jakieś wspomnienie skierowało myśli jego w inną stronę.

— Przekłęty ten Wojna!—krzyknął siadając na stoliku.—Katy, znasz ty tego Wojnę?...

— Wojna?—zapytała kobiéta, ciesząc się z tego zwrotu, który zazwyczaj oddalał od niego paroksyzm szaleństwa.

— Wojna jest to mieszczanin z Dąbczyna, głupi, prosty mieszczanin, a Paliwoda to prosty i głupi chłop z Radziejewa.

— I cóż oni ci zrobili?

— Opowiadali mi o wielkim, młyńskim kole... brrr... jak to koło chwyciło młynarza za ramię... jak go ciągnęło powoli... wyciągnęło mu rękę tu, z ramienia... brrr... Katy, daj mi się czem nakryć, położę się i prześpię... zimno jak w grudniu!...

Zaledwie biedy agent oczy zmroził i coś o długim kapotroku, weście i pantalonach za ośm talarów marzyć zaczął, gdy jakieś niepewne kroki dały się słyszeć na kurytarzu.

Kobięta wiedziona jakimś instynktem, rzuciła kilka szmat na szkatułkę.

Wtém otworzyły się zwolna drzwi, a mieszczanin dąbczyński wszedł z wszelką ostrożnością, jakby wchodził do jakiego gniazda zbójckiego.

Agent podniósł głowę, a ujrawszy Wojnę, równemi nogami zerwał się z łóżka.

Zégarmistrz miał twarz spokojną, lekki uśmiech zadowolenia igrał koło jego wąsów. Widać, że wymyślił jakiś niezgorszy planik postępowania z agentem, i że z tego planu mocno był zadowolony.

— Dobry wieczór, panie Linkiewicz—rzekł do agenta z największą pewnością, że polskiem zakończaniem jego nazwiska ujął sobie na wieczne czasy tego szczególnego człowieka.—Dobry wieczór... otóż przychodzę raz przecież do was w gościnę.

Link usiadł na łóżku, przetarł ręką oczy, przed którymi migało mu jeszcze wielkie młyńskie koło, i z niemałym zadziwieniem spojrział na mieszczanina.

— A cóż to pana do nas sprowadza?—rzekł po chwili, czując, że go mimowoli wszelka energia opuszcza i sen oczy mu skleja.

— Czyby nie lepiej było — mówił mieszczanin brzęcząc w kieszeni drobną monetą — żebyśmy sobie najprzód posłali po lampkę wina?...

Agent pokręcił głową i wymówił się, że po tak dalekiej podróży czuje się trochę chorym.

Wojna posmutniał nieco, widząc, że najpewniejszy jego atak tak fatalnie odparty został. Poskrobał się w głowę, obejrzał po izbie, szukając konceptu, aby dalszą swoją operacyą zręcznie nawiązać. Należał on również do tych dobrych, poczciwych ludzi, którzy plan

kampanii układają bez żadnej rezerwy, bez żadnych podstępów, licząc na to, że i nieprzyjaciel pójdzie drogą prostą i otwartą. Tacy nadybawszy najmniejszy szaniec, którego nie spodziéwali się znaleźć, cofają się w nieporządku, widząc cały swój plan udaremniiony.

To też długo kręcił wasy to w tę, to w owę stronę, zanim znowu do słowa przyszedł.

— Panie Linkiewicz—zaczął nieśmiało—ja miałbym wprawdzie mały interesik, ale tak na sucho...

Link znowu ruszył głową na znak, że jest pacjentem, i mówił coś o potach i rumianku.

— No, jeżeli tak—mówił dalej Wojna—to choć to na sucho jakoś nie idzie... ale przy zdarzonej okazji...

— Niechaj pan odrazu powie, czego pan chce—rzekł zniecierpliwiony agent, któremu obecność Wojny coś strasznie niemiłą była.

Mieszczanin potarł ręką po czole, zacząwszy od lewego ucha aż do prawego, i przeklął w duchu wszelką dyplomacyą, która nakazuje, aby nigdy tego naraz nie wypowiedzieć, co człowiek ma na wątrobie, jak to jakiś wielki polityk kiedyś tam powiedział.

Posunął się na stołku w prawo i w lewo, odkrzyknął i rzekł:

— Już to człowiek przedewszystkiém powinien mieć przykazania boskie w sercu.

— Co mi pan prawisz o przykazaniach, co?...—krzyknął niecierpliwie agent—widzisz pan, żem chory i zmęczony...

Zégarmistrz uderzył się ręką w kolano i pomyślał sobie w duchu:

— Żłem zaczął, nie uważałem, że mam z bezboż-

Linkiem do czynienia. Myślałem, że skrucną przygotuję jego sumienie.

Ly Ly I myśląc to o t^ęm, to o ow^ęm, gryzł wargi i szukał konceptu.

Link począł się już widocznie niecierpliwić. Nagle mieszczaninowi nasunęła się myśl, jak mu się zdawało szczęśliwa.

Ly Z widoczn^ęm ukontentowaniem pogładził w^ęsę, pro^ędę i pier^ęs aż do kolan, i rzekł:

— Widzisz pan, bo u nas to lud niepoczciwy, sami złodzieje!

Ly — U was, hm! to prawda—odparł Link, nie spodziewając się takiej sentencji od Wojny.

— Otóż znalazł się jeden taki bezbożnik, który naszemu doktorowi coś ukradł.

— Ukradł, hm! ukradł!

Ly — Ukradł, za co jak każdy złodziej przed sądem Pana Boga, który katolików i niekatolików sądzi, strasznie będzie musiał odpowiadać!

Rzekłszy to, otworzył szeroko oczy i wlepił je w twarz agenta, pewny jego wzruszenia i skruchy.

Li Ale agent był, jak na złość, nadzwyczaj spokojny. Założył palce, a trzaskając niemi po kolei, bawił się tą szczególną melodią.

Li — Ale dzięki niebu — mówił dalej mieszczanin, uśmiechając się, że już zdąża do końca ze swoim dyplomatycznym dyalogiem, który go kilka kropel potu kosztował—dzięki niebu, że t^ęj ohydnej kradzieży przeszkodził tak poczciwy człowiek, jakim jest pan Linkiewicz, którego wszyscy ludzie znają jako porządnego negocjanta reputowanego domu Warnera i spółki.

Wymówiwszy to, zarumienił się po uszy pocziwy mieszczanin, wyrzucając sobie tak oczywiste kłamstwo. Ale zrobiwszy naprzód ślub świętemu Antoniemu, który według jego zdania ma być najskuteczniejszym patronem przeciw złodziejom i oszustom, że za to niewinne kłamstwo będzie przez cztery piątki suszył i po pięć paciérzów odmawiał, uspokoił się w duchu i dosyć śmiało wyczekiwał odpowiedzi.

— Ja miałbym ze złodziejami mieć co do czynienia?—zawołał zdziwiony niby agent.

— Nie, panie Linkiewicz, broń Boże, tego nikt nie mówił. Ale tę skrzyneczkę miał pan na drodze odebrać złodziejowi, a nie wiedząc, do kogo ona należy, wzięłeś pan z sobą. Tak mówili ci, co to widzieli.

Dał w ten sposób do zrozumienia agentowi, że mu zostawia wóz i przewóz, a trochę w końcu niby groził i rozparł się z dumą na stołku, wielce uradowany dyplomatycznym swoim talentem. Uczynił on podobnie jak lekarz, który dając choremu na poty, domieszał także lekarstwa na powstrzymanie gorączki, z obawy, aby zanadto wielkich potów nie spowodził. Ale jak owemu ostrożnemu lekarzowi ta nienaturalna mikstura wydała wcale inny skutek, niż się spodziewał, tak samo stało się naszemu nieszczęśliwemu dyplomacie, który tym razem jak najhaniebniej oszukany został we wszystkich swoich rachubach. Link bowiem zerwał się z łóżka, na którym dotąd siedział, i tak wrzasnął nad nchem mieszczanina, że mu nagle tysiąc dzwonów zadzwoniło:

— Kto mnie widział? he! powiedz pan zaraz, kto mnie widział? Ja ze złodziejami?...

Wojna uznał za rzecz konieczną, wystąpić teraz

w właściwej swojej barwie. Zrzucawszy więc obłudną maskę, najężył wąsy, podgarnął czuprynę i krzyknął mu w odwet w lewo ucho:

— Linku, oddaj, coś ukradł, widziałem cię i basta!

— Jam ukradł?... ty śmieysz... ty kołtunie...

— Złodzieju! wara! — krzyknął mieszczanin, podnosząc się ze stołka i widząc, że po zerwanych dyplomatycznych stosunkach tylko groźną demonstracją może pozycyą uratować.

4
Lj
Ale cóż się dalej z nim stało, tego nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że się nagle twarzą do drzwi obrócił, czołem, zamiast ręką je otworzył, a gdy do siebie nieco przyszedł, zdawało mu się, że go zamieniono w zwierzę czworonożne, bo nie stał jak człowiek na dwóch nogach, ale i rękoma się podpierał.

Było to prawdziwe arcydzieło Linka, który w dziwnym jakimś paroksyzmie tyle siły i zręczności rozwinął.

Bądź co bądź, należało najpierw uratować godność człowieka. Mieszczanin podniósł się z ziemi i stanął na dwóch nogach. Potem obejrzał się, a nawsunawszy czapkę na uszy, rzekł do siebie:

— Żłem zrobił. Demonstracja była przedwczesną. Potrzeba było rzecz całą przeprowadzić dyplomatycznie. Ale człowiekowi nie stało cierpliwości, aby dłużej grać komedią. Zresztą są fizjonomie, do których nie można mówić spokojnie. Ręka swędzi w kieszeni, jakby dyabeł po niej drapał.

4
Lj
Mówiąc to do siebie, postawił jedną nogę na schód, postawił i drugą, a gdy to samo siedemdziesiąt razy powtórzył, spostrzegł się, że już jest na dole i stoi przed człowiekiem w dużej, białej szlafmocy, który go

dziwnie na wszystkie strony ogląda. „Mądry głupiemu ustąpić musi“, pomyślał sobie zégarmistrz i drapnął z kamienicy co tchu, bo mu się jakoś markotno robiło wobec téj długiej, chudéj figury z białą szlafmycą na głowie.

Są ludzie, o których mówią złośliwi Francuzi, że im dopiero na schodach przychodzą dobre koncepta do głowy. Jakkolwiek mieszczanin dąbczyński niekoniecznie do nich należał, jednak szczególnym przypadkiem wyniósł z siedmdziesięciu pięciu schodów wcale nie zły koncept na ulicę.

Rozumował sobie w ten sposób:

— Dałbym sobie głowę uciąć, że Link był pijany. Inaczéj nie dałby mi rady i nie wyrzuciłby mnie tak łatwo za drzwi. W takim razie trudna z nim sprawa, a nawet wiele się już popsulo. Zresztą w jego domu, na jego śmieciu nie wypada człowieka napadać. Tę obelgę trzeba ofiarować św. Antoniemu, a jutro rano, gdy będzie trzeźwy, trzeba całą rzecz z góry na nowo rozpocząć. Nie zawadzi jednak i z tego wypadku wyciągnąć naukę, która i tak już w polskim jest przysłowiu: Co nagle, to po dyable. Ja tylko dodam do tego: Gdy idziesz do złego człowieka, to policz naprzód schody, bo idąc nazad nie będziesz miał czasu.

Do nocy było jeszcze daleko. Mieszczanin przeszedł jedną i drugą ulicę, napatrzył się do syta różnym esom i floresom, a obaczywszy wystawę zégarmistrza, stanął przed nią na czas dłuższy.

Zrazu patrzył dosyć ciekawie na te drobne i płaskie zégarki, lecz powoli zaczął się uśmiechać, a wi-

dząc, że koło niego nie ma nikogo, rzekł do siebie półgłosem:

— Wszystko to wyrwigrosz i tandeta. Takie małe, niepokażne, niech tylko jeden ząb się skrzywi, a już człowiek nie da temu rady. Nie ma to jak stary, dawny zegar, mospanie, z kukulką i kurantem! Człowiek już wiedział, co ma w domu. Była i wygodna i rozrywka. A teraz, pożał się Boże!.. I jakże to pocziwy kunsztmistrz może dzisiaj taką tandetę sprzedawać, oszukiwać ludzi, dawać zegarek o trzech kółkach? To mi zegar, że jak zajrzę do niego, to gęsto jak w lesie! Aż się ćmi przed oczyma, a serce rośnie, gdy to wszystko ruszać się zacznie, jakby żyło! A teraz trzy kółka i basta!..

Machnął ręką, nasunął czapkę i poszedł dalej szczyropolski konserwatysta, bolejąc nad światem, że wstecz idzie, że z każdym dniem coraz więcej się psuje! Ale, żal jest krótki, a czas długi, więc pomyślał nad tym mieszczanin, jakby to ten czas uczciwie i pożytecznie do nocy przepędzić.

— Trzeba iść między ludzi i przypatrzeć się im — rzekł do siebie i zboczył z ulicy w wielką bramę, nad którą kołysała się w różne pieścidełka ustrojona wiecha.

W dłuższej, brudnej piwnicy siedzieli goście za stołem. Był gwar i krzyk, bo każdy miał w koło siebie znajomych i przyjaciół. Pili piwo dzbankami i palili fajki, aż duszno było.

Mieszczanin siadł sobie w kącie i począł się pijącym przypatrywać. Dziwiło go to, że każdy mówił tylko o zysku i o pieniądzach, a nikt nie mówił o żonie, o dzieciach, o krewnych i przyjaciółach. Nikt nie mó-

wił o domku swoim, w którym zamyka się jego szczęście, nikt nie zwierzał się z cierpieniem swoim, nie mówił o kłopotach ze złą żoną, jak to często nasłuchiwał się był od Mietlicy.

I pomyślał sobie w duchu polski mieszczanin:

— Ci wszyscy muszą być czeladnicy, bo mówią tylko o zarobku. Nie ma między nimi żadnego majstra. Bo póki człowiek tylko dla zysku robi, to zawsze czeladnik. Majster robi dla żony i dzieci, a gdy mówi, to o sprawach swego cechu, albo o kraju, który jest jego ojczyzną. Z przyjacielem mówi o domu swoim i zwierza mu różne dobre i złe tajemnice. A to jakas hołota i czeladź!

Zaledwie sobie to spostrzeżenie w głowie zanotował, aby staremu ekonomowi, który tak rad słucha, jak najlepsze o sąsiednim narodzie dać wyobrażenie, gdy nagle nowa sentencja wcisnęła mu się pod czapkę trójgraniastą. Widzi, jak do każdego z gości przychodzi kelner i każdemu z osobna podaje rachunek, a nawet tym, którzy przez cały wieczór serdecznie się ściskali.

I zanotował sobie w pamięci polski mieszczanin:

— Tu każdy dla siebie tylko żyje, jé i pije. Przyjaciół przyjacielowi ani kieliszka wódki nie kupi. Nie znają, co to wspólny dzban, co wspólna miska. Jest to dowód, że nie ma między nimi wspólnej miłości. Łączą ich tylko razem brzuch i zysk, a nie serce. Każdy za swoją głę osobno płaci. Na sądny dzień będzie miał Pan Bóg wiele z nimi kłopotu i zachodu. Każdemu z nich trzeba będzie dać osobny rachunek. Z nami, gdzie wielu razem grzeszy, lub razem czyni, łatwiejsza będzie sprawa.

Li
Li
Ly
Ly
Ly
Ly

A że już jakoś późno się zrobiło, wstał zégarmistrz z tą ostatnią konotatką od stołu, a kupiwszy sobie za kilka groszy na noc łóżko w jakiejś dużej, ciemnej izbie, położył się szczęśliwie i usnął snem sprawiedliwego człowieka, którego włosy na głowie policzone są przez Opatrzność. Tylko w pierwszym śnie niepokoił go trochę mniemany jego nieprzyjaciel z tłustym brzuchem. Zaglądał do niskich okien jego domu i uśmiechał się szyderczo. Ale za drugim „Zdrowaś Marya“, znikł jak dyabeł pokropiony święconą wodą. Za to pocieszył go Pan Bóg nad ranem snem prawdziwie wieszczym. Utwierdził go bowiem w tym mniemaniu, że Link istotnie tę szkatułkę ukradł. Mieszczanin widział ją we śnie, leżącą na stole agenta.

Zbudziwszy się więc rano, odmówił modlitwę za ten palec boży, a pokrzepiwszy się gorącym piwem, zaprawionem mléką i sérem, wyszedł z lekkim sercem na ulicę.

Nigdy jeszcze nie było niebo tak piękne jak dzisiaj; kilka białych chmurek żeglowało gdzieś od wschodu. Mieszczanin spojrział na nie i był pewny, że przed chwilą na te same chmurki patrzył się jego przyjaciel Mietlica, wstając do rannéj pracy. Wietrzyk był ciepły i przyjemny, słońce ogrzewało łagodnie.

Spokojnie i lekko szedł mieszczanin długą ulicą, prowadzącą do domu agenta. Spodziéwał się, że go zastanie trzeźwym, że pomówiwszy z nim dobre słowo, trafi z nim do końca. Nawet postanowił nie wspominać mu o wczorajszej obeldze, którą już i tak ofiarował św. Antoniemu.

I tak w najlepszych nadziejach zbliżył się do znajomych mu dobrze siedmdziesięciu pięciu schodów. Ale

zał mu jeszcze było ciepłego majowego słońca. Zawrócił się z ciemnej sieni, stanął na progu i pełną pierśią zachwycił wiosennego powietrza. Jakoś mu nigdy jeszcze tak nie smakowało to świeże, wiosenne powietrze....

Wreszcie wlaźł na schody, a przeliczywszy je z uwagą, stanął na poddaszu. Powoli zbliżył się do drzwi agenta, zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Pociśnął za klamkę — były zamknięte. Spojrzał przez szeroką szparę — w izdebce nie było nikogo — a na czarnym stole leżała ta sama, ciemnego koloru szkatułka, jak ją we śnie nad ranem widział.

Ly Mieszczanin zdjął czapkę i podziękował Bogu, że go tak dobrymi poprowadził drogami. Popatrzył się jeszcze raz przez szparę, a ciemna szkatułka zdawała się uśmiechać do niego, jak dobra znajoma. Zmrużył jedno oko — szkatułka uśmiechała się ciągle.

I szczególna myśl przyszła mieszczaninowi do głowy. Obejrzał się w koło — nie było ani żywego ducha. Jakiś dreszcz przeszedł po nim, zacząwszy od łysiny, aż do wielkiego palca w bucie. Obejrzał się jeszcze raz, i jeszcze raz nie było ani żywego ducha.

Zdjął czapkę i otarł spocone czoło. Szepnęło mu coś do lewego ucha:

— Link ukradł szkatułkę, czy to będzie grzechem, jeżeli mu ją teraz bez jego wiedzy odbierzesz?

I znowu przeszedł dreszcz po nim, zacząwszy od wielkiego palca w bucie, aż do łysiny na głowie. A pod czapką trójgraniastą poczęły biegać różne myśli, jak mrówki po rozburzonym mrowisku.

Przypomniał sobie słowa Jerzego, że ta szkatułka może coś bardzo ważnego w sobie mieścić, a w rę-

ku agenta mogłaby stać się jeszcze ważniejszą. Przypomniał sobie, z jaką wściekłością i siłą wczoraj agent na niego się rzucił, z jaką bestyalską namiętnością za drzwi go wytrącił, a do tego godność jego człowieczą nogami zdeptał. Gdy sobie o tę wszystkim wspominał poczciwy mieszczanin, a gdy jeszcze do tego dodał owe siedmdziesiąt pięć schodów i tę długą, wychudłą figurę w szlafmicy, którą wczoraj na dole widział, obaczył nagle pozycyją swoją tak trudną i krytyczną, jaką się mu wprzód y nigdy nie przedstawiała. Był pewny, że agent tę szkatułki za nic w świecie z rąk nie da, że może zawartych w niej rzeczy użyć na cudzą niekorzyść, że trudno w drodze sądowej o nią się upominać, gdyż nie wiedzieć, co w niej jest. Słowem, sytuacyja mieszczanina wikłała się coraz więcej, niknęła jego nadzieja, że w drodze spokojnej przyjdzie do ukradzionej szkatułki.

Znowu obejrzał się na około, przyłożył oko do szpary, a szkatułka uśmiecha się i uśmiecha.

— Tylko trzy kroki, a miałbym ją w ręce!—pomyślał sobie mieszczanin i nacisnął silniej drzwi czołem.

Coś trzasło z cicha, a kilka szczypt próchna posypało się na ziemię.

— Nawet drzwi same się pruszą, stare próchno... —szepnął mieszczanin do szpary, przycisnąwszy głowę do piersi.

Znowu coś trzasło—jakiś stary gwoździe brzęknął na ziemię.

— Próchno i rdza!—pomyślał sobie mieszczanin —tylko pchnąć!

A ciemna szkatułka tak strasznie miliła się do niego! Widział swój tryumf, gdy ze szkatułką pod pa-

chę będzie wchodził w bramy Dąbczyna i to wszystko opowie staremu ekonomowi, jak to mu się tam za granicą szczęśliwie powodziło! Tylko trzy kroki naprzód, trzy kroki, to niewiele!...

A na poddaszu nie było nikogo, wszędzie głucho i cicho. Ani żywego ducha.

Mieszczanin pochylił się, przyłożył oko do szpary, jakoś samo ramię przytuliło się do spróchniałej deski... coś zaczęło trzeszczeć...

Wtém ktoś krzyknął za plecyma i porwał go za kołnierz.

Wojna obrócił się, a chudy, długi hausmajster w szlafmocy na głowie stał przy nim i strasznie coś szwargotał.

Była to ta sama figura, którą widział wczoraj na dole. Postać mieszczanina z Dąbczyna wydała mu się dziwną, wylazł więc za nim na poddasze.

Mieszczanin chciał właśnie jakoś rozsądnie z tym człowiekiem pogadać, gdy nagle zbiegło się koło niego wiele ludu, krzycząc i hałasując. Jedni nazywali go złodziejem, drudzy rabusiem, co wysłuchawszy wszystko Wojna, tak się tēm zafrasował, że prawie nic więcej o sobie nie wiedział.

Wiedział tylko jakby przez sen, że go sprowadzano przez owe siedmdziesiąt pięć schodów, przez które niedawno z tak lekkim szedł sercem, jakby do komunii świętej; wiedział, że mnóstwo ludu otoczyło go i krzyczało mu do uszu różne haniebne przezwiska; nakoniec widział, że jakiś wysoki człowiek w pikielhaubie założył mu na ręce żelazną obrozę, wsadził w dorożkę i woził trochę po ulicy, jakby na okaz głupim ludziom, którzy oczy na niego wytrzeszczali. A gdy już na do-

bre do siebie przyszedł i szeroko oczy mógł otworzyć, ujrzał się w ciemnej, małej celi, której drzwi były zamknięte na trzy zamki!

19 O! jakże smacznie wydało się mu to świeże, majowe powietrze, którego dziś rano na progu tego nieszczęsnego domu po raz ostatni w pierś zachwycił!..

Lecz jako prawy katolik zebrał się prędko na duchu i rozpatrzył się w całym swoim nieszczęściu. Trudny był tu ratunek. Potrzeba było rozpocząć od Boga. 22

Więc przeżegnawszy się, odmówił najprzód z pokorą modlitwę „w utrapieniu“, którą umiał na pamięć, a do której *intra parenthesim* włożył kilka słów własnego konceptu o Danielu w jaskini dzikich zwierząt.

Podłożywszy tym sposobem fundament do wszystkiego tego, co się potem z woli bożej stać miało, zastanawiał się jeszcze raz nad całym swoim nieszczęściem i zanotował sobie w głowie następującą sentencję:

— Nie używaj nigdy złych środków, choćbyś miał niemi i najszlachetniejsze osiągnąć cele. Kto nieprawą rękę wyciąga, aby nią co dobrego zdziałać, tego Pan Bóg zawsze po palcach uderzy. Za co niech będzie błogosławione Imię Jego teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.

III.

Gdyby był Wojna wiedział, że owa nieszczęsna szkatułka, którą nietylko we śnie nad ranem, ale i na jawie widział przez szparę w izdebce agenta, była zupełnie próżna, nie byłby się o nią pokusił, a tem samem uszedłby był tego nieszczęścia, w którym się teraz znajdował. Ale snąc było to już takie zrządzenie bożkie, które niezbadanymi drogami wiedzie człowieka do celu. I jako takie przyjął to z pokorą mieszczanin i z ufnością w Bogu poddał się swemu losowi.

Szkatułka w samej rzeczy była próżna. Wstawszy bowiem z rana agent przekonał się po trzézwemu, że łatwiej mu przyjść do długiego kapotroku i pantalonów za ośm talarów, jak stać się porządnym człowiekiem i w kasynie Reubundu czytać gazety. O krzyżu już nawet i mowy nie było, a cztery pokoje z woskowaną posadzką były dzisiaj tak niepotrzebnym luksusem, że nawet o nich długo nie myślał.

I pomyślał sobie, wybierając papiéry ze szkatułki:

-- Życie człowieka jest to kupa czarnej sadzy, przykryta białem prześciéradłem. Kto raz w tem

prześciéradle dziurę zrobi, już na zawsze będzie brudny i czarny, choćby jak najdalej od téj dziury uciekał.

A rozumując w tym duchu dalej, przyszedł między kawą a drugim kieliszkiem wódki do następującego zdania:

— Człowiek, który raz w tém prześciéradle dziurę zrobił, nie może już dalej sam chodzić, bo wszędzie zostawia za sobą ślady. Musi on trzymać się tego, który lepiej i ostrożniej od niego stapał po tém głupim prześciéradle, chociaż całą sadzę do gruntu wymieszał i nią handlował.

Posmutniał nieco po tém zdaniu pocziwy agent, a pokrzepiwszy się drugim kieliszkiem wódki i powiedziawszy żonie, że jest głupią i prostą kobietą, wziął staranie papiéry pod pachę i wyszedł, aby je złożyć do rąk swego pryncypała.

Kantor pryncypała był w samym rynku, w dużej, staréj kamienicy, na rogu ulicy Królewskiej. Szczególna była architektura téj kamienicy. Jakiés dachy i daszki piętrzyły się jeden na drugim, a okna były nieregularne i dziwaczne. Karyatydy, stojące po obu stronach bramy, miały twarze dziwnie pokrzywione, jakby się śmiały i szydziły z wchodzących. Głowy, dźwigające duży, kamienny balkon, wystawiały języki na patrzących i urągały się. Twarze umieszczone pod samym dachem, w zakończeniach gzymsów, śmiały się szydersko i z poza uszów okazywały przechodniom tak zwane figi. W zagłębieniach nad oknami były płaskorzeźby, przedstawiające same sceny obelżywe. Nawet klamki i ozdoby przy drzwiach nosiły to samo piętno, cechujące ten dom szczególny.

Zdawałoby się, że architekt w napadzie jakiegoś

X
szaleństwa stworzył plan tego domu i ozdób jego, ale dawna miejska legenda wyświecała tę rzecz w kilku słowach. Jakiś starozakonny miał kiedyś kupić ten plac, aby na nim wystawić dom okazały. Burmistrz miasta, niewiedząc z jakiego powodu, zabronił starozakonnemu postawienia domu. Wytoczył się długi proces, który się aż o króla oparł. Naturalnie, żyd wygrał, postawił kamienicę i aby dokuczyć mieszkańcowi naprzeciw burmistrzowi, poumieszczał te figury i ozdoby, które szydząc z jego upadłych wyroków, wystawiały do niego języki, śmiały się, pokazywały mu figi i inne jeszcze sromotniejsze wyrządzały mu obelgi.

X
Li
I tak chwilowa zemsta jakiegoś żyda, tycząca się burmistrza, przeszła w kamień, gips i żelazo, a dzisiaj tysiącom niewinnych ludzi urąga się z tą samą zapalczywością, jaka niegdyś prześladowała biednego burmistrza. Karyatydy tak samo szydzą z wchodzących do tej tajemniczój kamienicy, Atlasy, dźwigający balkon, tak samo wystawiają długie języki każdemu, kto pod nie wejdzie, a z pod dachu patrzą wykrzywione satyry i okazują złośliwe figi z po za rogów.

Ly
W tej to szczególnój kamienicy był kantor pryncypała naszego agenta. Zdawało się, że ją naumyślnie wybrał na to, jako odpowiadającą doskonale z wszystkimi swemi ozdobami jego charakterowi i zamiarom.

Po lewój stronie był rząd dużych okien, sztabami żelaza prawie szczelnie zakutych. Nad temi oknami był skromny napis białemi literami na dużej, czarnej tablicy: „Moses Goliat et Compagnie“.

Była to jednak tylko *filia* tego znakomitego domu, którego głowa, pan Moses Goliat, gdzieś indziej

Lj mieszkał. W mieście nazywano powszechnie ten kantor kantorem Warnera, który właściwie był tutaj tylko negocyantem i kompanionem Mojżesza Goliata.

Lj Mimo to straszną była ta firma dwóch olbrzymów dla małych wekslarzy miasta, a żaden Dawid nie odważył się dotąd rzucić na nią choćby najmniejszym kamykiem. Od świtu snuły się tutaj roje drobnych negocyantów, czekając hasła do rozpoczęcia dziennej walki. Byli to rozsypani tyralierzy, którzy na własną rękę rozpoczynali pierwsze operacje, debuszując silnymi oddziałami z pod śmiejących się karyatyd. Główna załoga tego nieśmiertelnego korpusu nie opuszczała nigdy fortecy swojej, obwarowanej żelaznymi sztabami, żelazną, do drzwi przybitą kratą. Tam był wieczny i głuchy spokój. Tylko czasem zabrzęczało złoto na stole marmurowym, zaszleściały papiéry w skrzyniach żelaznych, albo z ust bladego dyspozytora wyleciało kilka słów jednogłoskowych.

Li Dom „Moses Goliat et Compagnie“, był to ogromny olbrzym Bryareusz, który sto ramion swoich położył na wszystkich częściach świata. Był to jeden z owych licznych potentatów czasów naszych, którzy pod każdym względem przypominają rozbójniczych grafów z czasów feudalnych. Naczelnik tego domu, „Sir Moses Goliat“ miał wprawdzie mieszkać w Frankfurcie, ale ponieważ imię „Moses“ było rodzinnym wszystkich „Goliatów“, i kilku ich po największych stolicach świata mieszkało, więc trudno było wiedzieć z pewnością, gdzie właściwie znajduje się głowa téj olbrzymiej machiny. Zdawało się, że cała ta machyna, złożona jak soliter z tysiąca pierścieni, w każdym pierścieniu miała życie całkowite, z każdego odciętego

pierścienia mógł się na nowo odrodzić ten robak olbrzymi. Wtajemniczonym jednak kapłanom téj instytucji wiadomo było, że prawdziwy „Sir Moses Goliat“ mieszkał w Berlinie w dwudziestu szczelnie zamkniętych pokojach swojej kamienicy „pod Lipami“, gdzie z całym urokiem Padyszacha, okazywał się swoim wspólnikom i negocyantom tylko raz w roku dla wyliczenia im dywidendy. Rozdzieliwszy swą zdobycz, cofał się znowu jak olbrzymi pająk do swojej kryjówki, patrząc stamtąd na rozstawione siéci i pracującą czeladkę.

Z razu dom „Moses Goliat et Compagnie“ robił tylko pieniądzę. Ale w najnowszych czasach okazała się ta operacja nieco za nudną i mało zyskową. Więc za przykładem innych, mianowicie angielskich i amerykańskich domów, wzięto się do lepszych i obszerniejszych spekulacyj. Jak tamci w Indyach i stepach amerykańskich poczęli zakupować ziemię, budować miasta i z wszystkich kątów świata sprowadzać osady, tak samo i wewnątrz Europy znalazły się różne pola do podobnych spekulacyj. We Francji w tym celu zawiązało się bogate towarzystwo, znane pod imieniem „czarnej bandy“. Skupuje ono na subhastacjach sądowych obszerne dobra i rozdrabnia je potem między drobnych właścicieli. Wiadomo, jak wielki zysk wypada ze sprzedaży parcelami wielkich obszarów. Może to pod względem ekonomii politycznej jest dobrze i zyskownie, ale pod względem moralnym są to duchy, zaciérające to wszystko, cokolwiek w tyłu wiekach uczyniła ludzkość, aby ślad po sobie zostawić. Dla piędzi ziemi, zdolnej pod uprawę marchwi, lub buraków, walą się pamiątki narodowe, padają stare zam-

ki i parki, znikają mogiły i grobowce, przypominające potomności bohaterские czyny jej praoców! Dewiza tych ludzi jest: „Wszystko dla zysku, nic dla serca!“

Podobną drogę wybrał sobie dom „Moses Goliat et Compagnie.“ W Hamburgu miał parowe okręty, na których jego agenci wywozili złudzonych różnemi obietnicami emigrantów do lasów Ameryki, lub pustyń Nowej Holandyi, aby pobudowane tamże miasta i plantacje nimi załudnić. W Wiedniu miał agencją do kolonizacji dolnych Węgier; w Paryżu grał *à la hausse* z całą namiętnością zapaleńca, a w londyńskich dokach miał nieprzebrane składy towarów kolonialnych.

Odnogą tych przeróżnych spekulacji, był kantor „Moses Goliat et Compagnie“ w znaniej nam kamienicy o śmiejących się wiecznie karyatydach. Był to wysunięty naprzód posterunek tej armii złowieszczej, która kroki swoje na wschód skierowała. A nie było Leonidasa, któryby stanął naprzeciw tym zastępom nowego Kserksesa?

Leonidasa nie było — ale były Termopile.

Wielkie księstwo Poznańskie, znękanе i zrujnowane różnemi przygodami, wybrane zostało na miejsce nowożytnych podbojów. Zdawało się, że duchy pobitego pod Grünwaldem zakonu wstały mściwe z kilkowiecznego snu, weszły w ciała spokojnych negocjantów, agentów i kolonistów, a biorąc za miecz godło dzisiejszej cywilizacji: „zysk i pracę“, stanęły na dawnej swojej linii bojowej: aby na tém samém miejscu stoczyć bój z nieprzyjacielem, na którym przed kilkoma wiekami, okryci wiekopomną niesławą, pokładli się stosami do mogił, oddawszy hołd wielkiemu zwycięzcy!... Na tém samém miejscu miały one odnieść tryumf,

Yn a na gruzach polskich zamków i dworów miały za-
tknąć swoje sztandary i rozwijać je do boju dalej, na
wschód, na wschód!...

A zwycięzcy z pod Grünwaldu mogli dzisiaj zale-
dwie w trzystu stanąć, mogli na kresach ojczyzny stwo-
rzyć tylko nowe Termopile!...

„Goliat“ stanął tuż na samej granicy wielkopol-
skiej i wyciągnął nad nią olbrzymie swoje ramię. Uz-
brojonemu od stóp do głowy olbrzymowi jakże mogła
się oprzeć gromadka patryarchalnych Dawidów z dro-
bnym kamykiem w procy, z kijem pasterskim w rękę?... *Li*

Rzućcie nieudolne radła wasze, wy poczciwi mie-
szkańcy białych dworków polskich, wynijdźcie z zapa-
dłych zamków waszych, wy potomkowie wojewodów
i kasztelanów, porzućcie grobowce ojców, kij tułaczy
weźcie do rąk i opuśćcie tę ziemię obiecaną, której nie
umieście kochać i bronić!... W worku pokuty, posy-
pani popiołem, rozejdźcie się po całym świecie jako sy-
nowie Izraela, a narody wypalą znamię na skroniach
waszych: „Oto są ci, którzy zbiegli z przedniej straży
narodu, nie umiejąc walczyć, jak walczyli ich ojcowie!
Hańba im!...“ Ale naród wasz inaczej was osądzi, ry-
cerze kresowi! Na waszą skroń tułaczą włoży koronę
męczeństwa, wasze mogiły i gruz domów waszych na-
znaczy w księgach pamięci: „Tu legła w nierównej
walce przednia straż nasza: cześć poległym bohate-
rom! Przechodniu, uczcij Termopile!...“

Li „Goliat“ rozpoczął straszną walkę i niejedno
zwycięstwo uwieńczyło już jego skronie. Najprzód
wszystkim mieszkańcom ziemi poznańskiej otworzył
kredyt nieprzebrany. Był to fundament wszelkich in-
nych operacyj. Liczni agenci przebiegali kraj w szerz

i wzduż, mianując i namaszczając stałych negocyan-
tów po miastach i miasteczkach. Obowiązkiem było
każdego prowadzić rejestra dochodów i rozchodów
wszystkich większych właścicieli ziemi, mieć dokładne
wiadomości wszystkich ich słabostek, schlebiać im o ile
można, popychać ostrożnie stylizowanemi radami do
różnych wkładów i przedsiębiorstw; wchodzić w spół-
kę, pożyczać pieniędzy, póki w wyrachowanym naprzód
okresie czasu nie staną nad niechybną przepaścią.
Wszystko to jest wyrachowane naprzód, wszystkie ka-
tastrofy obliczone co do sekundy, według najprostszėj
formułki algebraicznėj, a w kalendarzu negocjanta są
naprzód wpisane i oznaczone zaćmienia częściowe i zu-
pełne — bankructwa, subhastacye. Są nawet wymie-
nione osoby, na których imię dobra kupione być mają
i kto będzie ich administratorem.

Wszystko to dzieje się z nadzwyczajnym porząd-
kiem, z pozorami szlachetności i ofiary bezinteresownej.

Pod egidą tego wszechwładnego sztandaru sypią
się koloniści jak mrowisko i osiadają na olbrzymich
szkieletach polskich posiadłości. Ogryzają do szczytu
każdą żyłkę polską, zaciągają dawne nazwiska, cudzo-
ziemczą lud, walą zamki i grobowce, i z każdym ro-
kiem posuwają granicę narodów coraz dalej na wschód,
a z ziemi utraconej rozchodzi się coraz więcej tuła-
czów i sierot bez progów rodzinnych!

Mimo to rzadko kto poznał postępującego na-
przód nieprzyjaciela. Kredyt, który szedł przed nim,
bardzo przypadł mieszkańcom do smaku. „*Après nous
le déluge*“, mówili jedni i brali pełną garścią z bezden-
nych skrzyń tego kredytu; inni sądzili, że zdołają swój
majątek oczyścić i rozprzestrzenić; inni jeszcze wpisy-

wali się do przedsiębiorstw, które miały im przynieść zyski dwukrotne. „Goliat“ wszystkim dawał i uśmiechał się, bo miał już naprzód wyrachowaną subhastacyję, wiedział dzień i sekundę, w której kredyt jego musi zabić nieomylnie dłużnika.

Kredyt w przedsiębiorstwach przemysłowych może być wielkiej wagi, ale rolnika zabija. Mianowicie rolnictwo polskie, nie podniesione jeszcze do przemysłu, najgroźniejszego ma nieprzyjaciela w kredycie. Prosty rachunek może to okazać. Rolnik pożycza w instytucie kredytowym pewną sumę. Jeżeli policzy wszelkie poboczne wydatki i stratę na papierach, to procent pożyczki dojdzie do dwunastu, jak się to dzieje z pożyczką, którą zaciągają Galicyanie w banku wiedeńskim. Kapitał ten włożony w ziemię przy polskiem gospodarstwie może przynieść dwunasty procent?... Nie jestże to dobrowolne przyłożenie sobie noża do gardła? Nie możnaż tu jak najpunctualniej obliczyć czasu koniecznego bankructwa?...

„Goliat“ znalazł na polskiej ziemi bardzo dobry grunt do swoich spekulacyj. Pomagała mu do tego pchopność nasza do gotowych pieniędzy, a wstręt do pracy i oszczędności, nieoglądanie się na przyszłość, i to życie z dnia na dzień, życie wyczekiwania jakiegoś zwrotu w dziejach ludzkości. Pomagały mu do tego nasze cnoty, gościnność i szlachetność polska, która brzydzi się najmniejszym brudem, kalającym dzisiejsze zyski, która dziś jeszcze ma wstręt do łokcia i lady kupieckiej. Pomagała mu do tego piękna wiara nasza, która chce, aby naród był świątynią, a nie jaskinią handlarzy i wekslarzy. Wszystko to sprzyjało

potężnemu „Goliatowi“, a z każdym dniem ubywało ziemi ojczystej na kresach wielkopolskich.

Li Takim był dom „Moses Goliat et Compagnie“, owa niezłamana forteca, z kądem cicho i bez huku odbywały się nowoczesne podboje. Naprózno urągały się z wchodzących do kantoru szlachciców polskich kamienne karyatydy, naprózno wykrzywiały do nich szydercze twarze, śmiały się z pod gzymsów złośliwe satyry; przyciśnięty niepowodzeniem szlachcic wychodził rad z pieniędzmi w kieszeni i zdawało się mu, że owe złośliwe karyatydy serdecznie uśmiechają się do niego, że atlasy mrugają mu najszczęrsze pozdrowienie, a niecne satyry pod dachem trzymają przy głowach zamiast fig i rogów koźlich, rogi obfitości, z których wysypie się szczęście i pokój na zagrożony jego domek biały!...

Li O! śpiesz, śpiesz co prędzej do tego białego domku, szczęśliwy człowieku! Żona i dziatki czekają cię niecierpliwie—sąsiedzi układają kulig staropolski! Żonie potrzeba nowych jedwabnych sukien—dzieciom zabawek i stroików — dla sąsiadów wina i pasztecików. Lekarz zaordynował ci kąpiele zagraniczne, twój sąsiad sprowadził z Berlina nowy ekwipaż, na który przecież stać i ciebie!... Żyjemy tylko raz, cóż żąd, że za kilka, kilkanaście lat obcy kolonista zdmuchnie ślady twoje z tych progów, twoje dzieci pójdą w świat tułaczami—a kraj rodzinny straci kilka piędzi ziemi.... Li Śpiesz się... karyatydy mrugają ci pozdrowienie, poczciwe satyry sypią na twą głowę kwiaty z rogów obfitości, i kwiatów tych wystarczy ci na resztkę życia, wystarczy aż do grobu... a za grobem nie usłyszysz skarg i wyrzutów, choć tam kiedyś pług obcy twoje kości wyrzucił!...

Było jeszcze rano. Sześć dolnych okien zasłaniały z wewnątrz czarne, żelazne okienice. Tylko siódme okno było już otwarte. Mali negocjanci krążyli nieustannie koło tego okna i na zaproszonych szybach zdawali się wyczytywać najświętsze, z wszystkich części świata telegrafowane kursa. Lj

Wreszcie okazała się w oknie mała, podłużna kartka. Tłum ludzi, najdzikszy miętusami szarpany, przycisnął się do żelaznych łańcuchów, tworzących barierę. Najzarliwszy katolik nie może patrzeć na Przenajświętszą Hostyą z większym upojeniem, jak ta namiętna tłuszcza pożerała oczyma ten świstek papieru. Ly
Li

W oka mgnieniu poczyniono i rozebrano najzawilsze kombinacje, i z gotowym zyskiem w kieszeni rozbiegli się negocjanci, dla wyszukania swoich ofiar nieszczęśliwych. Lj
Lj

Tymczasem w fortecy „Goliata“ coraz większy ruch, coraz więcej życia. Brzęczą łańcuchy i żelazne zapory, otwierają się drzwi kantoru, a dwóch olbrzymich stróżów wytacza beczki monety, które pójdą gdzieś w świat jak rozpuszczone sokoły, aby po latach wrócić z łupem do swoich klatek żelaznych.

I znowu cicho i głucho w fortecy „Goliata“. W ogromnej, ciemnej sali czernieje pięć stołów z wysokimi półkami, za którymi siedzą jakieś duchy niewidzialne. Tylko pięć piór widać, latających po papierze, i słychać ich skrzyp nieprzyjemny. Ogromny zegar stuka w długich odstępach, jakby z uwagą liczył miliony. Czasami z poza czarnego stołu niewidzialnego „dysponenta“ wyleci jedna, dwie liczby, jedno, dwa słowa, a cztery pióra stenografują je w oka mgnieniu.

ly
Tak cicho, tak spokojnie—nikt by nie uwierzył, że w tej chwili robią się miliony, a tysiące ludzi, rozproszonych po całym bożym świecie, schodzi na żebraków—że za kilka dni między drobnymi wiadomościami doniosą dzienniki o kilku samobójstwach, kilku nadzwyczajnych wypadkach śmierci...

Tak cicho i spokojnie... słychać brzęczącą złotą muszkę, która za promieniem bożego słońca wcisnęła się między te skrzynie żelazne, aby głosić chwałę Te-go, który ją stworzył. Tak cicho i spokojnie... zdala, tam gdzieś pod niebem śpiewa ptaszek o boskiej Opatrzności, która mu dała prześliczne piórka, nakarmiła go i napoiła! Tak cicho i spokojnie... że sercem możesz usłyszeć jęk nieszczęśliwych, których niezbadanymi drogami prowadzi Bóg do wielkich celów swoich!...

Lu
Siódme okno, najpierw otwarte, dawało światło małemu gabinecikowi, który właściwą był siedzibą namiestnika „Goliata“. Był to mały, zewsząd żelazem obwarowany pokój. Po ścianę stało kilka dużych skrzyń żelaznych, przykutych do podłogi. Przy oknie stało biurko kunsztownej roboty, osłonięte kratką żelazną, która w oddaleniu trzymała każdego niepotrzebnego natrętnika.

Ly
W tym to pokoiku zwykł był przesiadywać sprzymierzeniec „Goliata“, Ulrich Warner. Była to niska figurka, z wiecznie ruchliwą głową i wiecznie mrugającymi oczyma. Na głowie bielila się resztką włosów; usta wąskie, złośliwie zakąszzone, czyniły go podobnym do uśmiechającego się satyra. Brwi jego, jeszcze dosyć ciemne, zniżały się ustawicznie i podnosiły, jak maszynka do rachowania.

Są w mieście ludzie, którzy pamiętają go jako małego negocjanta, co się pieszo wałęsał w Poznańskim i z szlachtą drobne robił interesa. Z tych drobnych interesików uciulał zapobiegliwy agent jakąś małą fortunę i z nią przeniósł się do fortecy „Goliata“, który w oka mgnieniu poznał w nim genialnego człowieka. I nie długo pocziwy, między szlachtą wielkopolską powszechnie znany Warner, został namiestnikiem na pograniczu ziemi polskiej téj znakomitej firmy europejskiej. Odtąd zaniechał już owych „drobnych interesów“, które reputacją jego na straszłą próbę wystawiały, i spekulował tylko na wielką stopę. Mimo to wylazł z niego czasem „drobny spekulant“, jeżeli potem trafiła się dobra sposobność.

Dzisiaj Warner ma dobrą reputację w całej ziemi wielkopolskiej. Szlachta ma u niego otwarty kredyt, jest nawet wspaniałomyślnym, nie jeden majątek chciał z duszy i z serca uratować, ale jakaś fatalność zawsze mu przeszkodziła. Ubolewa on nad t^ęm, że trzecia część obywateli polskich z swoich ziem wywłaszczoną została i zachęca pozostałych do przemyślu i pożyczek we wszystkich instytucjach kredytowych całego państwa, dając na usługę wszystkich swoich krajowych agentów za opłatą jak najmniejszą. Ubolewa on nad t^ęm, że karyatydy jego kamienicy, tak nieznośnie się śmieją, że jego Atlasy wystawiają długie do przechodzących języki, i przysięga kilka razy do roku, że się szczerze zajmie radykalną puryfikacją swego domu z tych wszystkich błazeństw swego poprzednika. Ale w końcu myśli, że już za stary do tego i przekazuje tę puryfikację swemu synowi Ottonowi, który oczyści wszystkie te brudy, ciężące na do-

mu Warnerów, i stanie się założycielem czystego ro-
dowodu.

Ly
Lj
Ly
Ly
Ly
Ly
Stary Warner ma rodzinę, ale jakoś najmiliej mu
tu przebywać. Z pierwszego piętra prowadzą do tego
pokoiku schody kręcone, którei zaraz z ciepłego łóż-
ka schodzi tutaj i siada, choćby jeszcze nikogo z pisa-
rzów nie było. Tu pije ranną kawę, tutaj każe sobie
nakrywać do herbaty, a kilku starych negocyantów
starczą mu za wszelkie rozkosze w kole rodziny. Ja-
kieś dziwne powinowactwo jest między nim, a temi
skrzyniami żelaznemi, między zakąszonemi jego usta-
mi, a temi zamkami francuzkiemi, między uściskiem
jego ręki, a tym płatniczym stołem marmurowym. Nie
dziw, że tu go ciągnie, że tu radby strawić każdą
chwilkę swego życia.

Lj
Ly
Dzisiaj rano zwykłym trybem zszedł ze schodów
kręconych, a czekając na kawę, wystawił tymczasem
zgłodniałym lichwiarzom raport ostatniego targu na
giełdzie londyńskiej. Patrzył czas niejaki z widocznem
ukontentowaniem na zdziczałe wyrazy twarzy, stoją-
cych za oknem negocyantów i uśmiechał się spokojnie,
jak się uśmiecha stateczny ojciec, patrząc na zabawki
kłótliwój swojej dziatwy.

Ly
Ta niewinna jednak rozkosz pocziwego bankie-
ra zatruta była jakimś niemilim zjawiskiem. Cofnął
się od okna i poszedł w głąb gabinetu. A wodząc
okiem po skrzyniach żelaznych, pomyślał sobie w duchu:

Lj
— Gdyby to człowiek mógł się raz pozbyć tych
niepocziwych ludzi i łotrów, którzy jak szydercze ka-
ryatydy stoją przy moim domu! Otton musi to wszyst-
ko spuryfikować, ja już temu nie poradzę—dodał smu-
tno po chwili.

Li I właśnie coś sobie o tych złośliwych, dom jego podpierających karytydach myśleć począł, gdy się z lekka drzwi otworzyły, a do gabinetu wcisnęła się szydercza twarz satyra o rudych bakenbardach. Bankier zmarszczył brwi, a pomyślawszy jeszcze raz, że Otton dom jego z tych satyrów i karytyd oczyści, Li uśmiechnął się dobrotliwie do wchodzącego swego negocyanta. Lj

— No, cóż tam Linku?—zapytał z uśmiechem.

Link stanął z uszanowaniem przy progu, bo wielki miał szacunek dla człowieka, który tak doskonale umie chodzić po tej głupiej sadzy życia ludzkiego, że i prześcieradła nie przedrze i nigdy się nie powala.

— Wróciłeś już z drogi, i jakże ci się tam powodziło?—zapytał znowu agenta.

— Dobrze i źle, jak to bywa — odpowiedział satyr o rudych bakenbardach.

— Jakie urodzaje?

— Ozimina wymarzła, deszcze ulewne nie dają w polu robić.

Warner zatarł ręce, usta jego zacięły się tem więcej. Lj

— A jak tam karnawał poszedł, huczno?

— Gdzie najmniej było pieniędzy, tam najhuczniej.

— Cóż w Starochowie?

— Starochów pożyczyl w komandycie banku berlińskiego. Thunsen za udzielenie podpisu, jako stale w Poznaniu mieszkający, i za ryzyko wziął piętnaście procent. Za drugi podpis dano tylko pięć.

— Te karły — krzyknął namiestnik „Goliata“— tyle zarabiają!... A Hoczewo?

— Hoczewo ma w przyszłym miesiącu subhastę.

— Spodziéwałem się tego. A Radziejewo *cum attinentiis?*

— Ledwo dyszy. Trzy lata był nieurodzaj; tamtego roku zbił grad, dzisiaj wszystko wymarzło, a resztę woda zalała z Czarnowód.

Warner zatarł znowu ręce i pogładził się po pier-
si na znak, że tak samo pogładziła po sercu jego mowa Linka.

— Rachmill! bardzo wiele tam zarabia — mówił dalej agent.—Pan major nie chce żadnego swego kłopotu wyjawić przed starym Dębiczem, aby mu nie przeszkadzać wiersze robić. Rachmill wié o tém i do-
brze każe sobie płacić za to, że przed starym Dębiczem nic nie mówi i wekslem samego majora się kontentuje.

— Mogiły, Radziejewo i Czarnowody, to będzie ładna, okrągła majątność!—mruknął do siebie bankier.

— A margrabia?—zapytał z większą ciekawością i stanął z otwartą gębą.

— Margrabia chce dać dobry przykład swoim ziomkom—rzekł stary z szyderczym uśmiechem—przyjechał z zagranicy i siedzi w Dąbczynie. Sam wziął klucze od spiżarni i sam dysponuje obiady.

Warnera twarz zbladła, dolna jéj szczęka poruszyła się machinalnie.

— Przecież nie zechce pod koniec życia stać się oszczędnym?—rzekł bankier więcej do własnych myśli swoich, niżeli do agenta.

— Objeżdża codziennie pola i rozpatruje się w gospodarstwie—mówił dalej agent, a w oczach jego migotał jakiś szatański wyraz.

— Cóż jemu do pól i do gospodarstwa?—mruknął Warner.

Namiestnik „Goliata“ nie mógł opanować uczuć, jakie w téj chwili jego sercem miotają. Zapomniał nawet, że jeden z najpodrzedniejszych jego agentów stoi przed nim i pilnie na niego uważa. Założył w tył ręce, przeszedł się kilka razy po gabinecie, a stając znowu przed agentem, wypatrzył się na niego, jakby w złośliwym jego uśmiechu szukał jakiejś utajonej myśli. Link z największą otwartością patrzył w siwe oczy bankiera, a widząc, że tam w głębi śpi coś strasznie ciekawego, ułożył swoją fizyonomię do wyrazu obojętności i rzekł:

— Margrabia mówi, że dla córki musi się oszczędzać, aby jój w posagu zostawić dobra oczyszczone.

— Co mówisz, głupi Linku!—zawołał bankier, szarpiając agenta za guzik—on swoje dobra oczyścił

— Ja tego nie mówię, panie Warner — odparł spokojnie agent.

— A cóż takie głupstwa powtarzasz? •

— Ja tylko zdaję raport.

— Masz racją, ty zdajesz raport—mówił bankier, oddalając się od agenta.

Znowu przeszedł się kilka razy po gabinecie, zajrzał kilka razy go okna, a pod oknem nie było już „drobnych“ negocyantów, tylko lud boży ciągnął na targ ulicą. W oknie była jeszcze karta kursów pieniężnych, ale nikt z przechodzących na nią nie zważał, nikt jój nie widział.

Bankier uśmiechnął się i pomyślał sobie:

— Głupi gmin! Idzie do żmudnej pracy, lub na targ z garścią zboża, które tyle mozołu go kosztowało,

i nawet nie śni się mu o naszym zysku, jaki mamy bez tak zmudnej pracy.—On nie wie, że ta kartka więcej w tej chwili waży, niżeli dwa rozdziały z ewangelii Mateusza... Głupi gmin!

Gdy tak sobie szczęśliwy bankier myślał, stojąc przy oknie i patrząc na ten „głupi gmin“, najpodrzedniejszy jego agent, stojący przy drzwiach w jak najskromniejszej postawie, uśmiechał się złośliwie za jego plecami i mówił w duchu do siebie:

— Głupi Warner. Już go znowu mam w kieszeni. Gdzie idzie o zysk, tam nie może ukryć swoich myśli. Gorączka majątku trawi go nieustannie. On nie wie, że, aby być porządnym człowiekiem, trzeba czegoś więcej. Ja, gdybym to miał, tobym może także chciał więcej pieniędzy, a tak to tylko tyle pragnę, aby robaka zalać. Warner nie wie, że to, czego mnie i jemu brak, więcej warto, niżeli wszystkie te kartki kursów europejskich! Głupi Warner!..

Zaledwie agent do swoich myśli zdołał dać wykrzyknik, obrócił się bankier do niego i z miną nieszczęśliwego człowieka rzekł:

— Już to ja temu nie wierzę, aby margrabia coś podobnego miał mieć na myśli. To byłoby wielkie głupstwo z jego strony.

— Niejednego uratowało głupstwo!—odparł sentencyjonalnie agent, uśmiechając się do zakłopotanego bankiera.

— Głupstwo, głupstwo -- powtarzał bezmyślnie bankier, chodząc po gabinecie.

— Dziedzic z Marcinowa przed pięciu laty, gdy spostrzegł, że źle stoi, zamknął się na wsi, wyprzedał całą stajnię koni cugowych i wierzchowców, pięć lat

nie był w mieście, ani nie dawał balu w zapusty, i sta-
nął na nogi.

— To prawda, ale margrabia... margrabia tego
nie robi, toby nie było dla niego przyzwoitem. Ja ly
właśnie słyszałem, że chcą mu dać order... order nie-
lada... a to wymaga, aby pojechać do stolicy i jakoś
żyć z ludźmi... Ale nie, jemu już nie trzeba stolicy.
Dąbczyn i tak już przedłużony...—dodał do własnych
myśli swoich bankier.

— Spodziéwają się bardzo bogatego zięcia, któ-
ry Dąbczyn oczyści—wtrącił z obojętnością agent.

— Co, bogatego zięcia?—krzyknął bankier i od-
skoczył od agenta — bogatego zięcia? Kto ci o tém ly
głupstwie mówił? Dąbczyn mój, rozumiesz, Dąbczyn,
jakbym go już miał w kieszeni!

Rzekłszy to, poskoczył do biurka za kratką że- Lu
lazną, a otworzywszy ogromną księgę, począł w nią
przewracać, aby naocznie przekonać się, że to, co po- dz
wiedział, istotną jest prawdą. Ale snać suma ogólna
nie odpowiedziała jego nadziejom, bo czoło zmarszczył
i książkę na bok odłożył.

— O bogatym zięciu bardzo wiele mówią—wtrącił
znowu agent.

Bankier na to nic nie odpowiedział, tylko się za-
myślił.

— Ale ja mam tu coś ważnego w téj sprawie—
rzekł agent cichym głosem.

Warner założył okulary i wypatrzył się na agenta.

— Gdym nocował w Radziejewie—mówił dalej
agent—znalazłem szkatułkę z papierami po... po...

— No... po... po... — rzekł bankier z niecierpli-
wością.

— Po nie... nie... nieboszczyku Górnickim—do-
kończył agent i zbladł znacznie na twarzy.

Lg Bankier nie patrzył w téj chwili na agenta, tylko
czempredzój wziął mu z rąk papiéry. Z gorączkowym
wyrazem na twarzy przebiegał je, a skończywszy
przeгляд, przybrał wyraz obojętności, zadzwonił na
kawę i rzekł do agenta:

— To są „drobne interesa“, a ty wiesz, że już od
dawna ich nie prowadzę.

— Te „drobne interesa“ mogą jednak dopomóc
do wielkich. *Lc*

— To prawda... ale... nie mam ochoty do tego.

— Górnicki zarządzał majątkiem margrabiego.
Pan kupując od niego Mogiły, kupiłeś także wszelkie
jego pretensye.

Lj — Tak jest... ale...

Ly — Między temi papiérami są kwity margrabiego,
które brzmią: „Od pana Górnickiego wziąłem dwa
tysiące dukatów, co stwierdzam moim podpisem.“ To
są prawomocne skrypta długu...

— Mówiłeś, że to są kwity... kwity z oddanych
pieniędzy z zarządu dóbr.

— Ja tego nie mówię... i sąd tak nie powie.

I obaj zajrzeli sobie głęboko w oczy.

— Ktoś przecież upomni się o tę szkatułkę—
rzekł po chwili namiestnik „Goliata“.

— Nikt się nie upomni, bo w téj szkatułce były
jeszcze papiéry, które wielu ze szlachty nie były na
rękę...

Warner przejrzał je szybko i rzekł:

— Przed trzema laty byłyby te papiéry co zna-
czyły, ale teraz są do niczego.

— Przecież...

ly — Ale interes jest zawsze... „drobny interes“ — dodał szybko negocyant, przyciskając papiery żelaznym lwem, bo właśnie na kręconych schodach pojawił się służący z kawą.

x Na drugim piętrze téj szczególnej kamienicy było kilka pokoi umeblowanych z wszelką elegancją. Perskie kobierce zaścielały posadzkę, na ścianach wisiały sążniste zwierciadła, po kątach było pełno świecących małych spręcików. Mimo tak wytwornego gustu, znamionującego miękkie, kobięce usposobienie, które odbijało się w całym tém urządzeniu, był to apartament kawalerski.

ly Porozrzucane krzesła i fotele, tu i owdzie samopas leżące korki od butelek i duszna, mglista atmosfera, okazywały, że niedawno odbyła się tu jakaś zabawa towarzyska. Widać to nawet po samym właścicielu tego kawalerskiego apartamentu. Chodzi on wzdłuż wszystkich pokoi, blady i niewyspany, w ranem jeszcze ubraniu. Jest to przystojny, bladój twarzy młodzieniec. Jakaś miękka, tkliwa dusza obrała sobie to białe, przezroczyste ciało na mieszkanie doczesne. Patrzy ona w melancholijnym roztargnieniu przez te duże, jasno-niebieskie oczy, a świat ten tak piękny i rozmaity zdaje się ją nudzić i dręczyć.

Kilka świeżo zapalonych cygar leży na stołach mahoniowych, kawa wychłodła i zsiadła się w szklance, a gospodarz zapomniawszy o jednych i o drugiejj, chodzi smutny i zamyślony.

Wtém otwarły się drzwi z wolna — do pokoju wszedł namiestnik „Goliata“.

— Dzień dobry ci, Ottonie!—zawołał—dzień do-
dory, mój synu!

Ojciec i syn jakoś obaj dzisiaj zbyt czuli. Ojciec zapewne rozczył się, zrobiwszy „drobny interes“; czułość syna mieszkała gdzieś głębiej.

— Dziś miałem brzydki, bardzo brzydki sen!—
rzekł bankier, całując syna w czoło.

Młody Warner zmieszał się, spojrzął na ojca bada-
wczym wzrokiem i czekał z niecierpliwością, co da-
léj powie.

— Brzydki, bardzo brzydki sen. Śniło mi się,
ze te śmiejące się karyatydy, Atlasy i satyry zeszły do
mnie, do mego gabinetu i śmiały się ze mnie, śmiały
tak długo, aż pot śmiertelny wystąpił mi na czoło.

— Od ich śmiechu?—zapytał Otton.

— Od śmiechu; to nie wiesz, co to jest śmiech,
mój synu? Śmiech jest to coś, co zabić może, zabić mój
synu!..

Otton posmutniał i zamyślił się.

X { — Śmiech może być ostrzejszy od brzytwy...
Gdyby wszyscy ci reformatorowie wiedzieli, co śmie-
chem działać można, nie potrzebowałiby wcale krwi
przelewać, ani buntów organizować!

— Do czegoż z tym zmierzasz, ojcie?—zapytał
Otton.

— Do czego zmierzam?... Ot, sen opowiadam
ci i nic więcej, sen, który mnie trochę uczynił niespo-
kojnym, jak się to zazwyczaj ludziom w moim wieku
zdarza.

Otton rzucił się na fetel, podparł ręką głowę.

i zamyslił się. Ojciec przechadzał się po pokoju i ciągle ~~z~~ pod oka patrzył na syna.

— Te śmiejące się satyry i nieznośne karykatury, które nasz dom oszpecają, będziesz musiał usunąć, mój synu, gdy tutaj sam gospodarować zaczniesz. Ty musisz to wszystko oczyścić, mnie już na to czasu nie staje — dodał z smutnem westchnieniem.

— Wszak na to nie trzeba wiele czasu — pochwycił syn.

— Nie, wcale nie — odpowiedział ojciec z wlepionemi w ziemię oczyma — wcale nie wiele, tylko jednego pokolenia.

— Jednego pokolenia?... o czém mówisz, ojcze?

— Mówię o naszym domu... i o naszym imieniu, mój synu!

— Cóż nasze imię?

— Będzie piękne i znakomite, nie lękaj się.

Otton spojrział na ojca, którego twarz okryła się rumieńcem gorączkowym.

— Nie jesteś dzieckiem, mój synu — ozwał się negocyant — i wiesz, jak się dzisiaj tworzą imiona. Bo dzisiaj to tylko idzie w górę, co własną siłą z gminu się podnosi. Stare herby i szlachectwa upadają, a jeżeli kto z gminu zacznie robić pieniądze i przychodzi do wielkiej fortuny, zaraz ludzie złośliwi zwracają na niego oczy i szukają plam na nim, aby się w swoim ubóstwie pocieszyć. U nich każdy, kto przyszedł do majątku, musiał do tego przyjść złodziejstwem, lub zabójstwem.

— Któżby śmiał i poważył się — rzekł Otton, wstając z krzesła.

— Nikt nie poważy się powiedzieć ci tego w oczy,

mój synu, ale za plecyma pokazują palcami i śmieją się, jak te szydercze satyry i karłyatydy.

— Smutne mi rzeczy odkrywasz, mój ojczy, bo w takim razie wolałbym być biédnym.

— Ty masz dziwnie głupie serce, mój synu; w tém jesteś kubek w kubek podobnym do nieboszczki matki twojej. Mówię ci, że na to potrzeba jednej generacyi i nic więcéj. Ze mnie śmieją się i pokazują palcami za mną, a ciebie będą prosili na kanapę; ty będziesz u nich świętym człowiekiem... gdy mnie na świecie nie będzie.

Ojczy i syn zasmucili się wzajem tym dziwnym zwrotem myśli. Po chwili rzekł znowu negocjant:

— Bo to jest już w charakterze ludzi. Gdybyś najpocziwiej do fortuny przyszedł, to ludzie będą stornili od ciebie. A gdy odziedzicysz fortunę, choćby po rozbójniku jakim, to tamto będzie zapomniane, a ty będziesz pocziwym człowiekiem, karmiąc ich i pojąc za piéniądze swego antecesora. Ludzie nie lubią tylko zbrodni z piérwszej ręki, w drugiej ręce przestaje ona być zbrodnią. Rozumiész mnie, mój synu? Czyli mówiąc po naszymu, ludzie nie lubią zbrodni, kiedy jest jeszcze surowym kapitałem, ale gdy zacnie nieść procenta, to te są już bez zmayı.

— Wszak nasz majątek...

— Nasz majątek—podchwycił szybko negocjant—jest czysty jak lza, jak kryształ. Ale ja jestem piérwszy naszego imienia, który ten majątek zrobił. Mnie nie wolno postawić świątyni naszemu imieniu. Ja gromadzę tylko materyały, a ty będziesz budował. Jestem tylko małym Dawidem, a ty będziesz mądrym, pięknym, wielkim Salomonem! Ty zbudujesz świątynię!

Rzekłszy to, wyprostował się namiestnik „Goliata” i z taką dumą stąpił po perskich kobiercach, że nikt by w nim nie poznał owego małego Dawidka, do którego przed chwilą był się przyrównał. Otton jednak jakoś nie kontent był z téj wielkiój roli swojój, jaką nań włożył skromny ojciec. Rzucił się na kozetkę i marząc niby o swoim salomónstwie, oparł głowę o poręcz. Z rozkoszą rodzicielską wpatrywał się ojciec w piękną, bladą twarz marzącego młodzieńca.

— Ze mnie mogą się dzisiaj ludzie śmiać — prawil dalej negocjant — mogą za memi plecyma wystawiać język i figlę, jak atlasy i satyry na mojej kamienicy, ale ty Ottonie, ty musisz być czystym jak łąza, musisz mieć ładny, nieskazitelny honor i jak najlepszą opinią. Niczego ci nie żałuję. Trać pieniądze, jak tylko możesz, ja będę na nie pracował, a ludzie muszą mówić o tobie, że jesteś *noble*, jesteś *gentleman*.

— Już mnie nudzą te pieniądze i ta zgraja nieszczérych przyjaciół.

— To nic, musisz żyć, żyć jak wielki pan, wyrzucać wiele, wiele pieniędzy, aby świat mówił to krew szlachecka. Prosty parweniusz nie żyłby tak okazale i z takim gustem. Zapraszaj artystów i literatów, każ im pisać wiersze i symfonie, obsypuj ich hojnie, czem możesz: słowami i pieniędzmi... Wszystko to nie jest stracone, jest to kapitał, który z czasem hojny wyda procent. Wejdiesz w modę po wielkich domach, będą cię czcili i szanowali... A to znaczy wiele, bardzo wiele!—dodał negocjant z smutnym wyrazem na twarzy.

Otton zmrużył duże, niebieskie oczy, a przed niemi szli długim szeregiem artyści, literaci i poeci..

szli z nutami oraz książkami w ręku i z skromnym ukłonem, w czarnych frakach i białych rękawiczkach ofiarowali mu dedykacje, utwory, obrazy...

— Tylko musisz się strzedz „drobnych interesów“ — mówił dalej negocjant — bo te niepotrzebnie walają człowieka. HC

Westchnął stary bankier i zamyślił się na chwilę, poczem dalej mówił:

— W takim razie możesz ożenić się z panną znakomitego rodu, z kamienicy zrzucisz te nieznośne karyjatydy i satyry, dasz marmurową kolumnadę i napiszesz nad nią: Hotel Warnerów.

Młodzieniec, siedzący na kozetce, skrzywił się na tak łudzącą propozycją: zdawało się, że ta marmurowa kolumnada i ten napis nad nią krzyżowały mu coś, co sobie wewnątrz serca zapisał. Nie widział tego jednak stary negocjant, bo oszołomiony marmurową kolumnadą i napisem nad nią, tak z góry stąpał po perskim kobiercu, jakby istnym był Goliatem, deptającym gruzy rozwalonej świątyni, która go przed chwilą żywcem pogrzesić chciała.

Uczyniwszy zadość swemu wzburzonemu sercu, stanął przed kozetką, a wlepiwszy wzrok swój w twarz rozmarzonego młodzieńca, zawołał nagle:

— Ottonie!

Młodzieniec podniósł się z kozetki, głos ojca zapowiadał mu coś nadzwyczajnego. Jakby miał coś na sumieniu, spuścił oczy i począł się bawić poręczą kozetki.

— Ottonie! — mówił negocjant tym samym uroczystym głosem — Ottonie, wyznaj mi szczerą, świętą prawdę!

— Słucham cię, ojcze — odparł zmieszany nieco młodzieniec.

— Ottonie, czy twój honor jest czysty dotąd?

— Mój honor... nie czuję się winnym niczego.

— Wiem bardzo dobrze, żeś nic takiego nie uczynił, ~~aby~~ mogło twój honor splamić... Ale Ottonie, ja rozumiem pod honorem ten honor *noblesy*, który się plami, gdy się kto otrze o niego nieprzyzwoitym słowem.

Młodzieniec milczał.

— Nasz honor, honor kupiecki, honor negocjanta, jest to rzetelność w wypłacaniu i nic więcej. My na słowa nie zważamy. Ale ty, Ottonie, musisz okazać światu, że masz tak samo drażliwą krew jak i szlachta, bo ja... ja myślę o tytule dla ciebie.

Nawet obietnica tytułu nie mogła młodzieńca wyrwać z dziwnego zamyślenia.

— Ottonie, powiedz mi prawdę, czy masz ty ten honor szlachetny, tę krew drażliwą?

— Nie wiem, jakbym się znalazł, ojcze — odpowiedział nieśmiało młodzieniec.

— Czy nigdy jeszcze cię nie obrażono? — pytał dalej ojciec, wlepiwszy w syna duże, siwe oczy.

Młodzieniec patrzył w ziemię, na jego pięknej twarzy było widać jakąś walkę.

— Ottonie, twoje milczenie pali mnie jak ogniem.

— Ojcze!

— Mam się wyrzéc wszelkich moich nadziei?

— Ojcze kochany!

— Maż w tobie być krew „drobnego negocjanta“, który za grosz dziesięć razy przysięgnie i da się wybić?

Młodzieniec podniósł z dumą głowę do góry, jego niebieskie oczy zaszkliły się wyrazem szlachetnym.

— Nie wiem, ojcze — rzekł — do czego zmierza dzisiaj twoja mowa. Lękam się, że właśnie może chcesz mi stanąć w drodze do obronienia mego honoru.

— Od dziesięciu dni słyszę o nieporozumieniach twoich z panem Von der Mark.

— Te nasze nieporozumienia, ojcze, zakończą się pojedynkiem — odrzekł młodzieniec z całą spokojnością.

— Pojedynkiem! — krzyknął negocjant, a na twarzy jego walczyły z sobą dwa sprzecznych uczuć wyrazy.

— Pojedynkiem — odparł młodzieniec, biorąc ojca za rękę i patrząc z obawą w siwe jego oczy — pojedynkiem, a spodziewam się, że ojciec więcej kochać będzie imię Warnera, niżeli syna.

Śmiesznie wyglądał w téj chwili poczciwy negocjant. W jego sercu za mało było miejsca dla takiego heroizmu, aby za przyszłość domu swego stawić na kartę życie jedynaka, a wiele było w niem żądzy poczciwości i dobrej reputacji tego imienia. Było to gorączkowe pragnienie chorego za czemś, co mu właśnie odjęto. Była to nieodparta żądza rozkosznicy za świętobliwością przy kresie życia. Do tego i miłość rodzicielska siedziała jeszcze gdzieś tam w kąciku, jak moneta miedziana w skrzyni żelaznej. Negocjant w strasznym był kłopotcie. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi od syna; zaskoczyła go nieprzygotowanego. Otton zaś był tego mniemania, że ojciec chce od niego tem postępowaniem wyłudzić tajemnicę pojedynku, aby go potem udaremnić.

Powoli przyszedł negocjant do siebie. Otarł pot z czoła chustką jedwabną i usiadł na kozetce. Uczucie dumy imienia przemogło w jego sercu.

— Pójdź do mnie, Ottonie — rzekł do syna — pójdź, niech cię ucałuję. Nie mam siły, abym wstał, bo mi nagle coś w nogi wlało; kocham cię, mój synu, kocham cię, jak król swego następcę, i dla tego pragnę, abyś się strzelał jak szlachcic, abyś przed całym światem okazał, że w tobie nie ma krwi „drobnego negocjanta“, ale krew piękna, szlachecka.

Młodzieńcowi puściły się łzy z oczu, przytulił twarz do tego serca, które firmę tak ukochało, że za nią nie wahało się postawić życia syna na kartę...

Kilka chwil trwało milczenie. Późem przyszedł najprzód ojciec do siebie, a otarłszy oczy, rzekł:

— Ty musisz się strzelać, Ottonie, ja dam tysiąc talarów dla ubogich, dwa tysiące na szpital.. dam wiele, dam, abyś wyszedł szczęśliwie z pojedynku. Ale nie myśl, że się strzelasz dla téj błahéj mary, która ci od niejakiego czasu po głowie lata! Wiem ja o tém, wiem!

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem.

— Wiem ja Ottonie, wiem — mówił dalej negocjant — że panna margrabianka zajrzała ci w oczy, ale z tego nic nie będzie, nic!

— Ojczel!

— Margrabia jest człowiek dumny, a nie ma ani grosza. Jeśli ci się podobał Dąbczyn, to go będziesz miał. Zostaw to ojcu. Będziesz mieszkał w zamku polskim i będziesz panem. Ale ubogiéj żony, a kapryśnej i dumnej, nie potrzeba tobie. Możesz się ożenić z dziewczyną znakomitego rodu, dawnego, stare-

go szlachectwa, z takiego domu, który jest w łaskach i dostojenstwie u dworu. I na ciebie w takim razie spadną zaszczyty. A margrabia z Dąbczyna jest dom upadający, a to, co upada, nie podnosi nigdy nikogo, tylko porywa w przepaść!...

W téj chwili wszedł galonowy służący do pokoju i dał znać bankierowi, że goście się schodzą i do obiadu już się nakrywa.

Pokoje, w których ojciec z synem tę poufną prowadził rozmowę, tworzyły tylko gościnnie apartament Ottona, gdy z Mogił do miasta przyjeżdżał. Główne salony bankiera były na pierwszym piętrze. Składały się one z sześciu wielkich pokoi w amfiladzie, i kilku pobocznych saloników.

W samym rogu, z małym zaszklonym balkoniem, z którego bucha woń kwiatów rozkwitłych, jest mały, lecz z wielkim przepychem urządzonej pokój. Wszędzie perskie kobierce, wszystko szkli się od srebra i złota. Jest to buduar młodej kobiety.

Gdzież ona? Szukamy jej na adamaszkowej kanapie w przeslicznej sukni *à la bayadère*, w czerwonych, złotem haftowanych pantofelkach, z najświeższą powieścią Edmunda About w ręku... szukamy jej z pędzlem i paletą, siedzącej przed trójnogiem i wpatrującej się okiem artystki w zawieszony przed nią oryginalny gorącego Murilla... albo przy biurku misternie roboty, siedzącej z opartą na drobnej rączce głową, zamysłonej i dumającej nad jakimś listem treści zagadkowej, który po raz dziesiąty czyta i czyta... Ach nie, takiej kobiety nie znajdziemy tutaj.

Jest ona w tym cudownym buduarze, piękniejsza od wszystkich tych pięknych gracików, ale nie czyta „Tolli“, nie kopiuje Murilla, ani nie marzy nad listem zagadkowym. Smukłej postaci, pełnych kształtów, rumianej, okrągłej twarzyczki, w której maluje się szczęście i dobroć serca jak na dłoni, stoi ona przy dużej, mahoniowej szafie i z ostrożnością systematycznej gospodyni wybiera z półek srebra. Na sobie ma suknię ze zwykłej szkockiej materji, w duże, trochę jaskrawe kraty, ładną główkę ujmują w czarne ramy gęste włosy, zaczesane *à la Valois*. Na sukni jest prowizoryczny fartuszek z ciemnej materyi, chroniący od różnych przygód gospodarskich.

Koło niej stoi młody, piękny mężczyzna. Jego włosy śmiało w tył zarzucone i niedbale zagięty kołnierz od koszuli, jako téż proste zawiązanie chustki, przy braku wszelkich innych błyscidełek, okazuje jasno, że do stanu kupieckiego nie należy, ani nie jest „drobnym negocjantem“. Z oczu nieco wklęsłych, z kilku zmarszczek na pięknym, otwartém czole, można wnosić, że ten młody człowiek obrał sobie daleko mozolniejszą drogę na tym nędznym padole płaczu, a nie tę, jaką chodzą kupeczykowie i „drobni negocjanci“. Jest to jeden z zastępu tak zwanéj inteligencyi, doktor filozofii i docent na jakimś wydziale naukowym. Moznaby go podejrzywać, że jest literatem, a przynajmniej poetą bezimiennym. W piśmie peryodycznym „Thalia“ pojawiają się od czasu do czasu ładne, tylko trochę nadto transcendentalne więrszyki, które piękna jego sąsiadka w sekrecie mu przypisuje. Ale poeta bezimienny wypiera się swoich więrszy, a pięknej narzeczonej zamyka usta pocałunkiem. I tru-

dno nawet wiedzieć, dla czego piękna narzeczona tak zawsze o tych sierocych wierszach z nim mówi. Czy tak lubi literaturę, czy jego pocałunki?...

Ładna, młoda Matylda zagląda do szafy z całą systematycznością, właściwą swemu pochodzeniu, wyjmuje i ociéra różne srebra i stawia je na dużym stole. To zatrudnienie przypada jakoś do jęj rumianej, okrągłej twarzyczki; wie ona dobrze o tym i, patrząc na pięknego młodzieńca, uśmiecha się filuternie. Młody doktor podziwiał śliczne dołki po obu stronach jęj twarzy i z niemałym zadowoleniem spostrzega, że ma wszystkie zęby, co bardzo rzadko wydarza się u córek germańskiego szczepu.

— Matyldo — rzecze młody docent — dzień dzisiejszy jest dla mnie początkiem owęj błogięj nieskończoności, która jest podstawą wszechświata, na której ów Nieskończony, Niepojęty i Niestworzony, owa mityczna troistość, założył wielkie dzieło swoje...

— Walterze—odpowiē piękna narzeczona—dzisiaj będziemy mieli licznych gości. Te srebra bardzo się dobrze wydadzą, kosztują ojca bardzo drogo i są przeznaczone na moję wyprawę.

— Ten srebrny blask przypomina mi owe przyćmione światło księżyca, które jest obrazem absolutnego rozumu. Nie ma w nim owego czerwonego gorąca, jakie jest w świetle fantazyi i serca, ale za to ono nie spełźnie, jak pełną wszelkie barwy, pożyczone od ziemi; ono jest wieczne, czyste i trzeźwe, jak moja miłość dla ciebie, droga Matyldo!

— Czy znasz ty, Walterze, pana Tamimischel? Ach, to dziwny człowiek! Na obiad ję tylko knedle

z cynamonem. Musiałam osobno kazać dla niego zrobić knedle.

— Pan Tamimischel, Matyldo, to człowiek wielkiej erudycji. On pierwszy dowiódł dokumentnie, że Cynceron miał piękną willę w Pompejach, niedaleko domu Dymedesa, na lewo od willi tragicznego poety. W jednej bowiem jego mowie przeciw Katylinie jest wspomniane o czarnym psie, a taki sam czarny pies namalowany jest na domu tragicznego poety, i niezawodnie musiał mieszkającemu w sąsiedztwie Cynceronowi dać pchop do użycia tego porównania...

— Pfe, mówisz dzisiaj o psach...

— Ba, ale to nie prosty pies, to pies Cyncerona, a Cynceron to przecież...

Jakoś nudnym wydał się dzisiaj pięknej Matyldzie jęj narzeczony. Użyła więc zwyczajnego swego talizmanu, aby młodego docenta czóm prędzej z wykopalisk Pompejów i z domu Cyncerona wyprowadzić.

— W onegdajszym numerze „Thalii“ czytałam znowu piękne wiersze—rzekła z filuternym uśmiechem, przy którym uczony doktor ujrzał dwa prześliczne dolki i dwa tuziny najbielszych ząbków.

— Co za wiersze? — zapytał zmieszany nieco docent.

— Umiem je na pamięć, choć mnie to nieco pracy kosztowało. Tytuł: „Trójca katolicka“:

Trzy epoki życia, to Bóg troisty,
Nikt nie rozumie dziś tego mytu—
Bóg-starzec-dziecię: Syn-młodzian skrzysty.
Duch święty, który u życia szczytu,
Wstępuje na nas jak gołębnica—
To wiek, gdzie tylko rozum przyświeca.

Docent zarumienił się, wziął piękną deklamator-
kę za pulchną rączkę i zamknął jój usta prozaicznym
pocałunkiem. O ten podobno więcej chodziło pięknej
Matyldzie, niż o wyrecytowaną poezję i psa Cy-
cerona. Była z góry przekonaną o tym swoim ta-
lizmanie, że uczonego docenta sprowadzi na ziemię, jak
drut miedziany elektrykę.

I w samój rzeczy nie zawiódł ją ten wyborny
eksperyment. Uczony docent, dotknąwszy się róża-
nych ust pięknej Matyldy, uczuł jakby iskrę z stosu
galwanicznego, która wpadła nagle do jego szopy mo-
zownie uzbieranych cytata i różnych rupieci klasycznych
i w oka mgnieniu wszystko do góry nogami powywra-
cała. Jakiś przyjemny prąd przebiegł przez jego ner-
wy, a gdy jeszcze raz te piękne, różane usta pocało-
wał i potem na świat spojrział, wydał się mu ten świat
tak pięknym i przyzwoitym, chociaż świat ten był bez
Hegla i Szellinga, chociaż nie miał cytatauczonych
i odnośników do autorów klasycznych.

Piękna Matylda cieszyła się rozpromienionym
obliczem swego Waltera, i aby owę „troistość mity-
czną“ jak najbliżej w życiu zaaplikować, pocałowała
go po raz trzeci, a tym ostatnim ciosem dobiła całą
ksiązkową erudycją biédnego docenta, który na jutrzej-
szej prelekcji w niemałym żąd będzie kłopotcie.

— Za dwa miesiące będziesz moim mężem—sze-
pnęła Walterowi do ucha zapłoniona dziewczica.

— Za dwa miesiące!—westchnął biédny docent.

— Będziemy tymczasem mieszkali w Mogiłach.

— W Mogiłach!—powtórzył szczęśliwy kochanek,
nie wiedząc znaczenia tego słowa.

— Bo ojciec zamysła kupić Dąbczyn dla Ottona. Wtedy Mogiły będą nasze.

— Mogiły naszel

— Nieprawdaż, będziemy bardzo szczęśliwi!

— W Mogiłach!

— Posadzki będą woskowane i nakryte kobiercami.

Docent uśmiechał się i zadumał.

— O godzinie ósmój będziemy pili kawę, z dobrą, wiejską śmietanką, którą ja sama zbierać będę.

Docent uśmiechał się ciągle.

— O godzinie pół do pierwszej przyjdzie na stół waza, a ja przyjdę do twego gabinetu i zawołam: „Doktorze, czas do obiadu...” A na obiad będzie zupa piwna, paszteciki w naleśnikach, rozbratle z chrzanem i buchty z szodo.

Docent patrzył wyżej okiem w tę szczęśliwą przeszłość.

— O godzinie czwartej — szebiotła dalej piękna Matylda — będziemy pili kawę, prawdziwą *Mokka*, a ty będziesz przy niej palił cygaro amerykańskie... i będziesz się pieścił ze mną, nieprawdaż?

Docent uśmiechnął się, lecz oczy jego patrzyły gdzieś poza dwa miesiące.

— O godzinie ósmój będziemy wieszerali. Co ty lubisz na wieszere, kochany Walterze? — zapytała Matylda, przymilając się do zamysłonego narzeczonego.

Walter wziął ją za rączkę i poraz czwarty ucałował jej usta różane, ale o wieszere nic jej nie powiedział.

— Co ty lubisz na wieszere? — powtórzyła zapytanie Matylda.

Czwarty pocałunek nie był jakoś tak skuteczny, jak pierwszy.

1ks
Oszołomiony na niejaki czas docent, przyszedł znowu do siebie, jego transcendentalna jaza odrodziła się znowu jak Fenix, tylko odrodziła się jako czysty duch filozoficzny, bez balastu cytatauczonych.

— Matyldo — rzekł uroczyście — idąc tam na wschód, bierzemy na siebie wielką misję. W kraj ciemny i barbarzyński idziemy jako pochodnie światła, aby jego ciemności rozświecić. W naszym pędzie, w ~~tem~~ naszym parciu na wschód wyraża się najpotężniejsza idea nasza, kwiat naszej germańskiej oświaty. Owe „excelsior“, które dotąd wszystkich naszych wielkich filozofów w obłoki unosiło, zamienia się na „wszerz“ i zajmuje coraz więcej miejsca. My pójdziemy w kraj ciemnoty i przesądów, pójdziemy skromnie jak kartagińska Dydona, która tylko o tyle prosiła ziemi, ile jedna skóra zajmie. I nam dadzą tam tylko kilka pól crnych, kilka łąk i drzew kilka. Ale jak owa skóra przemysłnej Dydony rozcięta na rzemyczki, zajęła cały obszar przyszlęj Kartaginy, tak i kultura nasza, rozszerzona w niezliczone pasma, powinna objąć ten kraj z końca do końca i uczynić go naszym wazalem. W czasach barbarzyństwa myśmy byli hołdownikami ich Jagiełłów i Zygmunatów—w epoce potęgi duchowej wejdziemy w ich kraj jako apostołowie cywilizacji, niosąc im dobrodziejstwo światła... Tak, Matyldo droga, ta jest idea, ten jest cel naszego parcia na wschód.

Piękna Matylda zamyśliła się strasznie po tej szczególnej harandze kochanka. Spostrzegłszy to do-

cent, ucałował ją raz jeszcze i zrozumiałszym do niej rzekł językiem:

— Tak, piękna Matyldo. Będziemy dobrodziejami tego poczciwego, ale strasznie zaniedbanego ludu. Postawimy mu szkółkę i zapłacimy nauczyciela. Na egzaminie będziesz rozdawała dzieciom nagrody. Będziemy pamiętali o ubogich, bo wobec Boga wszyscy są nam równi. Wieśniaka nauczymy uprawiać ziemię, nauczymy go oszczędności i pracy, czego nie nauczył go polski dziedzic. Z sąsiadami, Polakami, będziemy żyć w zgodzie i przyjaźni, pamiętając im te zasługi, które oddali całej ludzkości, oswabadzając Wiedeń od panowania tureckiego. Nie będziemy z tego dumni, że jesteśmy wyżsi cywilizacją, bo oni temu niewinni... Nieprawdaż Matyldo, będziemy szczęśliwi!...

Matylda przytuliła się do piersi kochanka, którego słowa były już zrozumialsze i łagodniejsze. Nie dziw, miłość łagodzi wszelkie namiętności i podaje słowa proste, zrozumiałe.

Rozmarzony Walter mówił dalej:

— Rano, gdy jeszcze srebrna świeci rosa, wyjdziemy na ganek przed naszym domkiem. I będziemy przysłuchiwali się budzącej naturze, będziemy słuchali, jak jój wdzięczne akordy rosną i rosną... do szeptu liści, do szméro traw przybywa piosnka skowronka.. tam kruk się ozwie, tam kukułka, a liczną trzodę uderzy wielkie, okazałe *tutti*... Nieprawdaż Matyldo, będziemy szczęśliwi!..

— W Mogiłach! — wyszepnęły drżące usta dziewczicy.

Wtém służący zapowiedział przybyłych na obiad gości.

Matylda odpięła prowizoryczny fartuszek, spojrziała do zwierciadła, czy niegodziwy Walter nie zostawił na jej różowych ustach jakiego zapomnianego pocałunku, a przyglądziwszy włosy, podała ramię narzeczonemu i bardzo rozsądnym krokiem weszła do salonu.

W salonie przyjmowała już gości stara ciotka, jak ją powszechnie w domu nazywano, a na której, prócz starych i nieco defektowych zębów, wcale jeszcze starości nie było widać. Była to okrągłutka, czérwona jejmość i jak Matylda słynną była z dołków swoich, ale nie z dołków na twarzy, lecz z wybornych dołków z powidłami, na które miała własny sekrecik i zawsze je własnoręcznie robiła.

Miał to być obiad okazały, na którym zgromadzonym znakomitościom miał stary Warner zaprezentować przysłego męża Matyldy.

I w samą rzecz zgromadzenie było okazałe. Szlachta nie dostawiła wprawdzie swego kontyngensu, ale téż stary negocjant nie miał nawet do tego pretensyi. On to wszystko przekazał synowi; Otton miał dopiero z krwią szlachecką się pobratać. Negocjant korzystał z tego swego położenia i wszystkim prawił do ucha, że on tylko osobistą zasługę ceni i proteguje.

Otóż z ludzi czysto osobistych zasług był najprzód jakiś radzca byłej marynarki niemieckiej. Był on kiedyś redaktorem jakiegoś pisemka. Wyawansowawszy na radzcę floty, pokochał strasznie morze i mówi o niem dniem i nocą. Ubolewa, że do floty związkowej nie przyszło, ale ma nadzieję, że to prędziej, czy później koniecznie nastąpić musi.

Za nim stoi intendent ewangelicki, mąż pełen racjonalnej pobożności. Pisze dzieła uczone przeciw katolicyzmowi i obciąża je na okładkach dokumentami, braniami wprost z biblioteki watykańskiej. Jest tego zdania, że zakon krzyżacki dopiero w wyznaniu ewangelickim znalazł prawdziwą swoją misję i jako taki odżyje duchowo, jeśli się na wschód zwróci. Ls

Daliej w długim, czarnym fraku, białej chustce i białych żabotach, a czarnych rękawiczkach, emeryt, profesor filozofii, który będąc „burszem“, mieszkał razem z Heglem i z nim fajkę palił. Z nim rozmawia także emeryt łysy, z długą twarzą, kubek w kubek do księcia Alby podobny. To były profesor historii powszechnej, dzisiaj właściciel skromnej kamieniczki, którą wziął za żonę. Pamięta on dobrze Rotteka, lecz rzadko o nim mówi, bo wydział publicznego bezpieczeństwa i porządku miał z tego powodu nie jedną z nim konferencję. Stary emeryt bowiem uchodzi tam za zapaleńca i dla tego nie dobrze jest notowany. Mówią nawet, że w skutek tej energii młodzieńczej dostał przed czasem emeryturę. Li

Ten z pełną, okrągłą, gładko ogoloną twarzą coś na Anglika zakrawa. To ekonomista, zasiadał w konferencjach związku celnego. Przy nim, jakby dla kontrastu, stoi blady, melancholijnej twarzy młodzieniec. Włosy ma w tył zarzucone w długich, połyskliwych kędziorach. Postawa jego jest tragiczna, chustka pod szyją na pół rozwiązana. To tenor liryczny i pierwszy kochanek z opery.

Ls Tam niski, pękaty człowiek z ruchomą fizjonomią wysuwa się z kąta i ukośną linią zbliża się do intendenta ewangelickiego. Ściskają się za ręce i mówią

z sobą poufale, jakby byli z jednego cechu. Gdzie tam! To piérwszy komik sceny miejscowej, komedyant, jakich mało!

A ten w wytartym żołnierskim mundurze? To ofiara nieporozumień narodowych. Poszedł on za głosem narodu i rządu do Szlezwiku i przyniósł tamtąd dwie kule w boku, stary mundur i patent na skromną pensyjkę. Bohatér szlezwicki wałęsa się dzisiaj po dobrych obiadkach, bo w jego domu głód i nędza.

W perspektywie widać jeszcze kilku „drobnych negocyantów“. Wyglądają dobrze i rumiano, a nawet są dobrej tuszy. Uciulawszy sobie po kilkakroć sto tysięcy, stanęli u kresu marzeń swoich, uspokoili się na duchu i roztyli się na ciele. Brzuchy swoje, którym dzisiaj najwięcej poświęcają czasu, okrasili rajskimi jabłkami i złotymi brylokami. Pysznie i okazale wyglądają w oddaleniu, na tle czerwonych tapetów salonu. W salonie obok inteligencyi lub szlachty czują się jakoś żenowani, ale za to na ulicy, to panowią całą gębą. Tam to widział ich *Heine* i napisał o nich:

Cigarren tragen sie im Maul,
Und in der Hosentasch' die Händ',
Auch die Verdauungskraft ist gut,
Wer sie nur selbst verdauen könn't.

Jeszcze „dysponent“ z poza czarnego stołu i kilku poufniejszych przyjaciół Warnera, a będziemy mieli cały obraz tych znakomitych gości, zgromadzonych w kamienicy o śmiejących się karyatydach.

Stary negocyant uwija się na wszystkie strony. Jednemu szepnie coś do ucha, tego za rękę ściśnie, tamtemu głową przesyła swoje powitanie.

Otton tylko chodzi po kątach salonu smutny i zamysłony. Jakaś złowieszcza mara snuje się za nim i niepokoi go. Tam w dali, w białej, przezroczystej szacie, miga przed nim postać pięknej dziewczyny... wychylającej się ku niemu z okna dąbczyńskiego zamku... a ojciec przechodząc koło niego, uderza go po ramieniu i szepcze mu do ucha:

— Ottonie, to mary i nic więcej! Ona nie będzie twoją żoną!...

Młodzieniec się wzdryga, ucieka do innego kąta salonu, jego serce chce rozbić pierś bolejącą... I widzi tę samą postać, oddalającą się od niego, widzi zamek dąbczyński, który coraz więcej niknie w mgle białej... a za jego plecyma znowu ojciec, znowu szepcze mu do ucha:

— Ottonie, Dąbczyn będzie twój, kupię ci Dąbczyn!

Otton ucieka do drugiego salonu i tam jakaś mara złowieszcza ciągnie się za nim. Widzi przed sobą zamek dąbczyński, widzi Janinę, widzi bogactwo i dostatki... a tuż przed nim staje szlachcic niemiecki— mierzą kroki, biorą pistolety... któż padnie?...

Młodzieniec się wzdryga, patrzy do drugiego salonu i widzi tam ojca, uśmiechającego się i szczęśliwego, który mruga do niego i zdaje się mówić:

— Musisz się strzelać, abys okazał światu, że w tobie nie ma krwi „drobnego negocjanta“... aby firma Warnerów ztąd chwałę odniosła!...

Otóż i pan Tamimischel! Poczciwy, uśmiechający się staruszek. Ma on przed sobą długą, czarną, atlasową kamizelkę z drobnymi, zielonymi kwiateczkami, i długi fontaż z białego batystu; za nim widać dłu-

gi, brązowy frak; pod nim chwieją się długie nogi, a na jego poczciwój twarzy rozparł się długi, złośliwy nos, jak greckie Y., którego wielkim jest nieprzyjacielem uczony filolog. Pan Tamimischel był przyjacielem Tauchnitza i razem z nim pracował nad stereotypem wydaniem klasyków. Ale przyjaźń ta rozerwała się. Niedawno krytyk polski powiedział zbyt naiwnie, że autor nie może nic innego stworzyć nad to, co w nim samym jest z urodzenia. Pan Tauchnitz był tego samego zdania; uczone bowiem noty pana Tamimischel były wszystkie tak długie, jak jego frak brązowy, jego fontaż, westa, nos i nogi.

Pan Tamimischel dał hasło do obiadu. Usiedli wszyscy, odkrząknęli, położyli serwety-na kolana, prócz starych emerytów, którzy je na szyi zawiesili.

Obiad szedł zwykłym trybem. Półmisek za półmiskiem, jedno wino za drugim, a konsekwentnie także lokaj za lokajem. Goście jedli według systematu przyjętego przez cywilizację europejską, używając łyżek, noży i widelców; tylko starzy emeryci i kilku „drobnych negocjantów“ w zbyt zawiłych sytuacjach dopomagali sobie palcami, przeciw czemu wcale nic nie miała jedząca powszechność. Wyznawano tu bowiem absolutną wolność każdego indywiduum w zakreślonych sobie granicach. A że wolność i granice nigdy z sobą w parze nie chodzą, mimo wszelkiego filozoficznego ich orzeczenia, dał jasny tego przykład pan Tamimischel, autor niedrukowanych notat do wydań Tauchnitza. Obracając bowiem swoje knedle z cynamonem na talérzu, w taki wprawił je wir szalony, że jeden z nich umknąwszy z talérza, poleciał po nad szyncelem sąsiada i już jak bomba uderzył przed nosem.

radzcy-marynarza, który właśnie marząc o flocie zjednoczonej, prowadził rozlaną wodę aż poza talérsz staro-
regu emeryta, aby dla téj floty utworzyć morze przy-
zwoite i spokojne. Otóż okazało się, że człowiek bez
ustaw, ograniczających jego wolność osobistą, nawet
obiadu zjeść nie może, i okazało się niemniej, że abso-
lutna wolność każdego z osobna jest wprost niemożli-
wą, bo każdym ruchem wkrada się w terytorjum sąsia-
da, jak tego dowiedli pp. Tamimischel i radzca mary-
narki. Pan Tamimischel jednak, myśląc nad swoim
knedlem i absolutną wolnością, pocieszył się remini-
scencyą ze swoich materiałów klasycznych. Przypomi-
nał on sobie, że Katon i Cyceron byli gorliwymi mi-
łośnikami wolności absolutnej. Gdy jednak Cezar tę
wolność z Rzymu wyrugował, Katon z boleści za nią
brzuch sobie rozpruł, a poczciwy Cyceron, stojąc
w przedpokoju Cezara, uspokoił swoje sumienie tém
rozumowaniem: że jakkolwiek wolności absolutnej już
nie ma w Rzymie, nie przeszkadza to jednak prawemu
Rzymianowi, aby się w *sobie i dla siebie* czuł absolutnie
wolnym.

Tak myślał sobie pan Tamimischel, uchwyciwszy
zbiega przed talérzem radzcy marynarki i przeniósłszy
go na swój talerz z niebieskiemi kwiatkami, na któ-
rym posiadał absolutne *jus gladii*.

Gospodarz był rad gościom, mimo to przestrzegął
staranie granic każdego z osobna, aby cała uroczy-
stość odbyła się przyzwoicie i bez polemiki w czaso-
piśmie „Thalia“. Po raz dziesiąty przedstawiał zgro-
madzeniu swego Waltera, a przyszłego męża Matyldy
i rozgadał się przy téj sposobności, jak wysoko ceni
naukę i doktorat, jak wielką potęgę całej narodowej

przeszłości widzi w owych łysych, okularami opasanych głowach doktorów uniwersyteckich, którzy jako kapłani egipscy stoją na straży przy piramidalnych systematach rozumu ludzkiego. A zapomniawszy się nieco i podpiwszy sobie, mówił dalej, że tylko w synu całą swą nadzieję pokłada, że w nim widzi moralnego restauratora firmy i założyciela przyzwoitego rodowodu Warnerów... Że córka w każdym większym domu handlowym nie nie znaczy, jak n. p. u arystokracji angielskiej, że chętnie wydałby ją i za bednarza, byle tylko firma i majątek niepodzielnie przy synu pozostały.

Szczęściem, że rozochocony gospodarz mówił tylko „drobnym negocjantem“, którzy przy nim na szarym końcu stołu siedzieli, bo inaczej pocziwy do-cent bardzo by się t~~em~~ zasmucił.

A gdy rozmowa stawała się powszechniejszą, w miarę tego jak który już zaspokoił swój głód i pragnienie, opowiedział szczęśliwy gospodarz w kilku summarycznych rysach powodzenie firmy „Goliat et Compagnie“, co do interesów w pogranicznej, polskiej prowincyi. Mówił, ile w przeciągu ostatnich lat majątności polskich przeszło w posiadanie gospodarzy niemieckich, ile było dobrowolnych sprzedaży, a ile subhastacyj sądowych. W t~~em~~ wszystkim wielki udział miała firma „Goliat et Compagnie“, i przez wszystkich swoich agentów pomagała rezszerzeniu porządn~~ej~~ cywilizacji i kultury w ziemi tak zaniedban~~ej~~! Opowiadał dalej, jak dobre interesa można robić w kraju, w którym drobne namiętności niesłychanie są wygórowane. Jak tam każdy dziedzic na małej wiosce żyje jak pan wielki i we wszystkim naśladuje dwory wiel-

kich panów. Jak łatwo można go namówić do kupna ładnego ekwipażu i kosztownych koni, a jeżeli pożyczysz mu pieniędzy, to i dziesięć razy do roku pojedzie za granicę. Jak się tam kobiety stroją, a o kuchni i piwnicy nic nie wiedzą, jak wielki ton panuje u nich! Słuchając ich, zdaje się, że damy z dworu Ludwika XIV, przebrały się nagle i w niskich, szlacheckich dworkach grają jakąś precudną bukolikę. Mówił dalej, jak każdy porządny negocyant, każdy tutaj najskromniejszy agronom, może tam zarobić złote góry, bo sam pracuje i jest oszczędny. Jak łatwo może tam nabyć ziemię, bo może więcej za nią dać, niżeli daje polski szlachcic. Polski szlachcic musi więcej żyć na życie, a agronom z Pomorza i taniej żyje i przemysłem swoim więcej produkuje. Ostatecznie wyciągnął z tego wszystkiego ten pocieszający rezultat, że tym sposobem polski szlachcic nie wytrzyma nigdy konkurencji z kolonistą, jeżeli się w żywot matki nie wróci i zupełnie nie odrodzi.

A że to ostatnie przyrównanie żywcem z biblii wyjęte było, więc pierwszy na to odpowiedział intendent ewangelicki, że ów frazes należy tylko w przenośnym braci znaczeniu, i że rząd nie ma obawy, aby polski szlachcic na niekorzyść ewangelików pomorzańskich miał zamiar na serwo się odrodzić. Uspokoił on szanowne zgromadzenie, że szlachcic polski jest petryfikacją wieków kilkunastu i nie tak łatwo rozłoży się pod wpływem nowój, postępującej oświaty. Na długi czas pozostanie on wyborną kopalnią złota dla pracowitych Pomorzan, którzy przez długie wieki będą mogli wygodnie piłować na tym pogańskim, złotym bałwanie, i jeszcze nic innego z niego nie zrobią. Dopo-

może im do tego ów wyborny fanatyzm polski, trzymający się starych, odziedziczonych przesądów i pogardzający wszystkiem, co nowe, nie tylko w wyobrażeniach, ale i w gospodarstwie. Do tego przyłącza się i katolicyzm, który o jutro starać się nie każe, ale pozwala modlić się, pościć i płakać, licząc na wszystkie procenta, które za grobem przynoszą cierpienia ziemskie.

I zapalił się przy harandze swojej racjonalny chrześcijanin, wziął kielich do ręki i zaproponował zgromadzeniu, aby rannemu wojownikowi wypić jednogłośnie *pereat!* A że nie wszyscy wiedzieli, o co mu idzie, więc sformułował myśl swoją w następujący toast:

— Olbrzymi jest duch naszego naroda! Jest on ruchliwy jako morze piaskowe i rozszerza się na wschód, na ziemię czarną, jak Sahara w zagony Egiptu. Nic go tam nie wstrzyma w tym parciu jego, bo najbliższa jego zaporą, szlachta polska, owa kamienna svinga, stojąca na straży do ziemi czarnej, to głaz bez duszy, bałwan przesądów azjatyckich. Jego religia mówi mu, że ziemia jest to tylko szpital dla pielgrzymów, w którym wolno mu było jęzczyć i skonać. Rozum, ów budowniczy świata i narodów, jest tam wyklęty! Nam przypada misya rozorać ten odlóg ludzkości, zasadzić go nowymi latoroślami i przyłączyć do winnicy Pańskiej!

Na ten toast, prawie z ogólnym zapalem przyjęty, nie zgodził się jednak emerytowany filozof i zaproponował, aby go wziąć nieco pod rozwagę. Nie zgadzał on się z tem, aby szlachta polska z całą swoją religią, przesądem i fanatyzmem konserwowania tego, co sama sobie przez długie wieki uciulała, aby ta

szlachta polska była tak kruchą i słabą przeszkodą dla postępu nowój cywilizacji. Przeciwnie, twierdził on, że jeżeli szlachta jest perłyfikacją, to pokłady takie najtrudniejsze są do przejścia.

Ale właśnie tu się okazuje potęgą *absolutnej idei* w najpiękniejszej glori! Nie koloniści, nie firmy bankierskie, nie racjonalizm ewangelicki, zwałą ową skamieniałą potęgę, opartą na fanatyzmie i przesądach, ale zwał ją i skruszy *absolutna idea* narodu, która silniejsza jest od idei narodu polskiego. Jest to zwykłe prawo mocniejszego, któremu w naturze wszystko podlega. A mocniejszą od wszystkich jest ta idea! Ona to wywłaszcza właścicieli polskich, ona sprawia subhastacje, i zabory—ona podbija.

I skończywszy na tém swoje uwagi, zaproponował zmianę powyższego toastu w ten sposób:

— Niech żyje idea, wielka, absolutna idea, która w dziejach ludzkości jest owym ziarnem gorczyczném, co góry przenosi! Idea, wyrosła z dziejów i rozumów naszych, jest tak silna, że się jej nic oprzecz nie zdoła. Ona jest owym słupem ognistym, idącym zawsze przed arką narodu, a jej prąd jest na wschód!

Temu toastowi sprzeciwił się drugi emeryt, ów potajemny przyjaciel Rotteka. Zażywszy tabaki i uśmiechnąwszy się dobrodusznie, uczynił tę uwagę, że w taką wszechmocność absolutnej idei nigdy nie uwierzy. Jako były profesor historii powszechniej, cytował z niej różne przykłady. Najbliższy zaś przykład był ten, że jeżeli idea germańskiego narodu jest wszechmocna i niezwyciężona, dlaczego idąc na wschód zwyciężko, przegrała sprawę za plecyma, w własnym domu swoim? Dlaczegoż dała się pobić przez ideę francuzką i zosta-

Właśnie Alzacja? Czyż to dobry wódz, który idąc w kraj nieprzyjacielski, zostawia swój własny na państwu drugiemu nieprzyjacielowi?..

Stary emeryt, jako były profesor *dziejów powszechnych*, nie miał do żadnego narodu specjalnej predykcji, a więc żadnego toastu nie wznosił.

Wziął po nim słowo były radca floty zjednoczonej. Zaczął od morza, o którym marzył dniem i nocą. Bo też nie małe to zadanie dla radcy marynarki zjednoczonej było to morze. Francuzi, Anglicy, Duńczycy i Rosjanie wzięli wszystkie morza w posiadanie, a gdzież to teraz pomieścić flotę zjednoczoną! Pocziwy radca myślał nad nowym morzem dla swojej floty!

Otóż zaczynając od morza, jak prawy katolik wszystko od pacierza zaczyna, mówił pocziwy radca, że naród jest jak morze, które podług jeografii Rittera ciągle prze na wschód. Raz tylko, podczas powszechnych wędrówek narodów, stał się w zamieszaniu wyjątkowy porządek. Odtąd wszystko powraca na wschód, a tem samym zostawia dawne swoje miejsce na zachodzie innym. Kubek w kubek jak morze, albo jaka bądź inna podlejsza woda. Tym sposobem zostawili Niemcy na zachodzie Alzacja, a za to, jako ekwiwalent, muszą wziąć Poznańskie. Gdyby Poznańskie było państwem lub przyzwoitym narodem, to by znowu szukało powetowania swojej straty gdzieś za Kaliskiem lub dalej. I tym sposobem, według zdania byłego radcy floty, odbywa się rotacja w sposób najprzyzwoitszy. Jest to nic więcej, jak prosty płodozmian państw i narodów, jak jest znowu płodozmian ziemi i morza. Pan radca tak wierzy w tę swoją teorię

rozpiérania się narodów i morza, że niezawodnie wy-
czekuje owego czasu, w którym zrodzi się nowe morze
dla jego wymarzonej floty! A że ze zdań jego żaden
patriotyczny toast nie dałby się ułożyć, toż zaniechał
tego pocziwy radzca marynarki *in partibus*.

Teraz przyszła kolej na ekonomistę. Poprawi-
wszy z angielska wykrochmalonych kołnierzyków, ozwał
się głosem donośnym:

— Panowie!

— Nie śmieć się, Mufke!—krzyknął gospodarz na
lokaja, który coś przez okno zobaczył.

— Panowie!—mówił ekonomista—słyszałem tutaj
bardzo wiele ładnego i dobrego o potędze narodowości.
O ile wszystko to jest prawdziwe, zależy od stanowi-
ska, z jakiego się na przedmiot zapatrujemy. Więc
do licznych orzeczeń téj siły niewidomój, która bucha
z piersi żyjącego narodu, pozwólcie, niech i ja moje
zdanie dorzucę.

Tutaj zatrzymał się na chwilę szanowny mówca,
z czego nie zaniebali korzystać „drobni negocjanci“
na szarym końcu stołu, załatwiając tymczasem drobne,
nosowe interesa. Późóm, gdy się już cicho zrobiło,
a nawet „dysponent“ chustkę pod stół schował, ekono-
mista zaczął mówić:

— W organizmie narodu, gdy jest zdrów i krwi-
sty, wyrabiają się zbytne siły. Te najostrzejsze soki
swoje, te siły zbytne musi on gdzieś wyrzucić. A ja-
ko organizm zwierzęcy obiéra sobie na ten cel najbli-
sze i oraz najsłabsze, jeżeli to być może, chore miejsca,
tak i zbytne siły narodu prąd swój obiérają w najsłab-
szą społeczność. Ale biada i najmocniejszym, na któ-
re trafi ten prąd silny, niepowstrzymany! Jakież to si-

ły wychodzą na zewnątrz narodu? Z jakich żołnierzy jest złożona ta straż przednia narodu? Któż są ci koloniści, których tysiące wychodzi co roku w ziemie Szląska i Poznania?... To są ochotnicy, to jest elita, to gwardya narodul... Im za ciasno było między nami! Ich duch przedsiębiorczy zapragnął obszerniejszego pola, ich ręce żylaste zapragnęły cięższej pracy, twardszej, stepowej ziemi! W ojczyźnie siedzi się i pracuje, aby żyć i wyżyć, a oni wyszli z ojczyzny, aby mieć zysk! Słowo „zysk“ staje im tam za ojczyznę, za religią, za ustawy! Oni tam zyskać muszą, oni tam na wszystkim zyszczą, bo to jest jedyny nerw ich życia. Dla tego oni muszą zdobyć kraj, na który się rzucą; mieszkańcy tamtejsi nie podołają im! Przed szturmem tej przedniej, wyborowej kolumny sił narodowych wszystko pryśnie, i pół wieku nie minie, a o dawnych posiadaczach majątku tamże zostaną takie same wieści, jakie dzisiaj mamy o sławnych Aztekach w Ameryce!... Niedawno rozprawiano wiele o linii demarkacyjnej polskiej sąsiedniej prowincyi. Chciano położyć kres i powiedzieć: dotąd, a nie dalej! Nedorzeczne marzenia! Granica naszego rodu jest ruchoma, z każdą godziną zajmuje więcej ziemi, a przyjdzie czas, że łzawym okiem będziemy jej szukali po za granicą państwa sąsiedniego... w ziemi obcego nam rządu!... Cóż więc zwycięża i podbija dzisiaj w naszych kolonistach? *Praca i zysk!* Wnoszę toast:

Praca i zysk!

Szary koniec stołu zaruszał się wprawdzie, ale doktorowie uznali to stanowisko za zbyt niskie, aby się wziąć do toastu.

Potrzebne były jeszcze niektóre porozumienia i poprawki.

Pan Tamimischel nic na to wszystko nie mówił, tylko się uśmiechał, jak człowiek dojrzały, patrząc z góry na igraszki berbeciów. Muskał nieustannie po swoim długim nosie, bawił się zielonymi kwiatkami atlasowej westy, a gdy go jeden z emerytów o jego zdanie zapytał, odpowiedział krótko i węzłowato, że całą dyskusją uważa za zwichniętą. Opuszczono bowiem w niej najgłówniejszą podstawę, o którą wszystkie doczesne i wieczne opierają się rzeczy, to jest: filologią i etymologią. Każdy bowiem przyzwoity filolog wie, że *Slavus* tyle znaczy, co *Sclavus*, skąd wypływa, że Słowianie muszą być niższymi od innych. Nie trudno więc zwyciężyć tych, co się rodzą zwyciężonymi.

Krótką tą razą mowa filologa tak wszystkim przypadła do smaku, że jedni na seryo, drudzy ze śmiechem podnieśli kielichy do góry i jednogłośnie zdrowie pana Tamimischla wypili.

Aby ten chaos zdań i wyobrażeń jeszcze bardziej zamącić, usiadł tenor liryczny do klawicybału i dziwnie melancholijnym głosem zaśpiewał ów prześliczny hymn narodowy, owę smutną pieśń Arndta, który wśród swoich pyta się:

Was ist des Deutschen Vaterland?

Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych miłych, bolejących tonów, ale nikt poecie nie odpowiedział, gdzie jego ojczyzna. Tylko ów gość w wytartym żół-

nierskim mundurze, który dotąd milczał, otarł wielką łzę z siwych wąsów i mruknął z cicha:

Schleswig-Holstein meerumschlungen!

Wśród téj wrzawy i krzyku wymknęły się cztery osoby z szanownego zgromadzenia. Walter i Matylda wyszli do znajomego buduaru. Matylda chciała zapewne być obecną przy chowaniu srebra i swemu narzeczonemu przy téj sposobności zarecytować kilka jego wiérszy, a docent przyšzedł za nią, zapewne w tym celu, aby się swego autorstwa po raz setny wypiérać. Starą ciocię, która innemi drzwiami wyszła, można było podejrzewać, że poszła na poobiednie dołki z powidłami, które tak lubiła, że je o każdéj porze dnia jeść mogła.

Czwartym, który wyszedł, był młody Otton.

Biédny młodzieniec zdaje się wiele cierpieć. Nic nie jadł przez cały obiad i do nikogo ani słowa nie przemówił. Wstał wczesnie i powolnym krokiem udał się na drugie piętro.

Rzuciwszy się na kozetkę, westchnął i rzekł do siebie:

— To być nie może, żebym się łudził. Gdy ostatnim razem byłem w Dąbczynie, weszła pierwsza do salonu, gdy jeszcze nikogo nie było. Wprawdzie zarumieniła się, jakby wcale nie spodziewała się mnie tam ujrzyć. Ale widziałem ją dobrze z dziedzińca, gdy na mnie przez okno patrzyła... Biédna! Ona chciała mówić ze mną, a nie mogła tego inaczej uczynić!... O nie, ja się nie łudzę. W tém ciemnem oku tyle

uczucia, ten głos jak dźwięk struny metalowej, uderza aż na dno serca. Kamień odżyłby na ten głos i drżałby jak listek brzozy!... Jak słodkie były jój słowa! Co za luby niepokój ogarnął ją całą przez tych chwil kilka, gdyśmy byli sami!... O nie, wrażenie to nie zatrze się w sercu mojem, a jeżeli pozostanie tylko jednem mojem uczuciem na całe życie, to zamknę je w głębi duszy mojej, jak koncha perłę, a świat cały będzie dla mnie wielkim, pustym grobem!...

Tak dumiał sobie nieszczęśliwy młodzieniec, a dwie lzy zakręciły się w jego pięknych, niebieskich oczach.

— Nie—rzekł do siebie, wstając z kozetki — nie mogę dłużej cierpieć bezczynnie. Kobięty nie lubią kochanków, którzy, jak się nasz Göthe wyraża, śpiewają im pieśni szpitalne. Mężczyzna powinien dać dowód siły swego uczucia... Niech ojciec myśli sobie, że ja za firmę naszą strzelam się... o nie, ja strzelam się za ciebie i za ciebie chcę zginąć, droga, piękna Janino, ubóstwiony mój ideale! A jeżeli zwyciężę... z twoich rąk, czysta królowo, odbiorę nagrodę!.. muszę ją mieć, muszę...

Iskra szlachetnego zapalu zabłysła w oczach młodzieńca.

Zbliżył się do stolika, napisał kilka słów, zadzwonił na służącego, a wręczywszy mu dwie małe kartki do ręki, wysłał go na miasto.

Za kilkanaście minut otworzyły się drzwi z łoskotem, a dwóch młodych oficerów z srebrnymi epoletami na ramionach weszło do pokoju.

— Ach, Ottonie! myśleliśmy, żeś zapomniał o nas!—zawołali na raz.

— Bierzcie cygara... oto są cabanos, lanzas, trabucos.

Dwie szczęki odgryzły na jedno tempo dwa grube lanzasy, jak dwa patrony prochu.

— Czy Madery, czy Gabinet?

Dwa języki wymówiły w jednym czasie słowo: „gabinet“, ale tak miękko i pieściwie, że *g* przeszło zupełnie na *j*.

— Spodziewam się, że jesteście moimi przyjaciółmi.

Dwie pary oczu błysnęły na znak przychylnéj odpowiedzi.

— Otóż miałbym do was prośbę.

Para wąsów zaruszała się uśmiechem ironicznym, który miał mówić:

— Co za prośbę może mieć syn bankiera do biednych poruczników piętego pułku!

— Ale to rzecz trochę drażliwa!

Obaj lajtnanci otworzyli usta i oświadczyli znakomitemu swemu przyjacielowi, że dla niego, dla jego lanzasów i Madery, są w stanie poświęcić się, gdyby nawet i życie dać!... Na dowód czego wspomnieli o historycznej swojej energii roku pańskiego 1850, kiedy to Austryą chciano zgnieść z kretesem. I byłoby się to stało, gdyby nie stanęła w drodze Rosya...

— Panowie, mam pojedynek!

Na to ani jeden, ani drugi przez długi czas nie odpowiedział. Poglądali tylko po sobie.

Lanzaszy jakoś nie były najlepszego gatunku, „gabinet“ coś nie wysadził korka, a był istotnie kwaszkowaty i dosyć lichy.

Po jakimś czasie ozwał się jeden:

— Nie tłumacz sobie na złe naszego milczenia, kochany Ottonie. Rzecz ta wymaga wszechstronnego poglądu. Wprawdzie w r. 1850 niktby się z nas nie zastanawiał, ale dzisiaj, gdy już pół roku od tego czasu minęło...

— I musisz wiedzieć—dodał drugi — to wcale co innego sprawa publiczna, a sprawa jednostki...

— Ale mimo to—mówił pierwszy.

— I ja nie jestem absolutnie od tego — mówił drugi.

Lanzasy pogasły, „gabinet“ do szczętu skwaśniał.

— Otóż słuchajcie — rzekł młodzieniec. — Moim adwersarzem jest pan *von der Mark*!

— To piramidalne głupstwo! — wyrzekli obaj naraz.

— *Von der Mark*! — powtórzył Otton.

— Wybornie strzela!

— Trafia muchy na ścianie.

Młodzieniec spuścił głowę i zamyślił się.

Lanzasy jakoś się znowu roztlily, „gabinet“ poprawił się i zgoła był nie zły.

— Opowiedzże nam przedewszystkiém, jak to było — rzekł jeden — może sprawa więcej nie warta, jak butelki szampana.

— Może wcale żadnej nie ma obrazy! — rzekł drugi.

— „Pod czarnym łabędziem“ jadłem obiad — mówił Otton. — Pan *von der Mark* siedział przy tym samym stole i według swego zwyczaju głośno i z pretencją rozmawiał.

— W tém nie ma jeszcze żadnej obrazy. Wolność zdania zabezpieczona jest ustawą.

— Mówił dalej, że każda Polka dla wąsów „en hussard“, dla złotych epoletów i długich butów z ostrogami, gotową jest porzucić męża, dom i dzieci, jeżeli to wszystko nie da się gładko oszukać.

— Pan *von der Mark*, jako „cavalier“ musi mieć na to dowody, bo właśnie nosi długie buty z ostrogami.

— Gdym stanął w obronie Polek...

— *Saperment!* Co tobie do Polek?

— Gdym stanął w obronie Polek i dom Dąbczyńskich za przykład wziąłem, roześmiał się pan *von der Mark* bardzo nieprzyzwoicie.

— To jeszcze nie obraza.

— I mówił długo o samej margrabinie, która przez kilka lat szalała za pułkownikiem od dragonów, dla tego że miał łokciowe wąsy, a pięć stóp i ośm cali wysokości!

— I cóż dalej?

— Mówił, że za takimi matkami i córki idą w ślady.

— Temu przecież nie przeczyłeś?

— Przeciwnie, mówiłem, że córka margrabiny, którą znam osobiście... że panna Janina jest godną dziewczyną.

— Piramidalne głupstwo!

— A pan *von der Mark* wstał na to i wobec wszystkich dał słowo honoru, że za kilka miesięcy będzie miewał z nią „rendez-vous“, gdzie i kiedykolwiek zechce, a nawet wykradnie ją i wywiezie do jednego z swoich zamków, jak to dawniej praktykowano. Na tę bezczelność powstałem.

— A pan *von der Mark* uderzył cię szpicrutą... bo on zazwyczaj tak się obchodzi z nieszlachtą.

— Nie, tego nie uczynił. Ale zwracając się do mnie, rzekł słodko: „Miło mi, słyszeć cię broniącego prześladowanych, młody człowieku. Jako *von der Mark* wyznawałem dotąd tę zasadę, że z krwią odziedzicza się przymioty rodziców i antenatów. Dzisiaj, mój młody przyjacielu, jestem w wielkim ambarasie z tą moją zasadą. Słyszę bowiem syna największego na całym Pomorzu szachraja i łotra, mówiącego uczciwie i wspinałomyślnie. Lecz mojej zasady dotąd nie cofnę, póki mi nie dasz dowodów, że to, co mówisz, nie jest tylko w gębie, ale we krwi twojej.

— Tysiąc elementów! Kiedy się to stało?

— Przed tygodniem.

— Hm, czyby to nie było przedawnienie—mówił jeden z poruczników.

— Dla czegoż na gorąco nie załatwiłeś tej rzeczy?

— Możebyście w takim razie nie pili dzisiaj u mnie „gabinetu“.

— Masz słusność—rzecze pierwszy.

— Bez wątpienia — wtrąca drugi.

— Pan *von der Mark* wyjechał był tego samego dnia za pilnym interesem — mówił dalej Otton.

— I zapewnie z rok tam zabawi?—rzekł pierwszy.

— Może i dwa — wtrącił drugi.

— Wrócił przedwczoraj!—ozwał się Otton.

— Przedwczoraj!

— To być nie może!

— Tak jest w istocie!... Więc proszę was, jako moich przyjaciół...

— Hm, trudna rada!

— Najlepszy strzelec na całym Pomorzu.

— Zastrzeli każdą muchę na ścianie!

Gdy jednak drugi i trzeci „gabinet“ pękł z przyzwoitym hałasem, a wino nie tylko do głowy, ale i do serca się wkradło, obaj przyjaciele ucałowali serdecznie Ottona, a poprawiwszy epoletów, wspomnieli jeszcze po raz trzeci „*intra parenthesim*“, że pan von der Mark najlepszym jest strzelcem na całym Pomorzu, że jest typem prawdziwego germańskiego junkra, który sobie w kaszę napluć nie da, i że zastrzeli każdą muchę, którą mu na ścianie wskażesz. A że to wszystko rozmazzonego młodzieńca z terminu zbić nie mogło, więc czyniąc zadość prośbie przyjaciela, westchnęli razem, spojrzeli po sobie i nic nie mówiąc, z dyplomatycznym wyrazem na twarzach udali się pod „czarnego łabędzia“, w którym przeszedłszy schody Nr. 3, na pierwszym piętrze pod Nr. 12 mieszkał ów straszny pan *von der Mark*.

Już było nad wieczorem. Goście obiadowi porozchodzili się lub porozjeżdżali, jak kogo stać było. Dom o śmiejących się karyatydach był znowu tak cichy i spokojny, jakby mieszkańcy jego posnęli lub wymarli.

Przekonawszy się, że po chwilowej roztęrcie wszystko w dawne karby powróciło, że lokaje pozdejmowali suto srebrem i złotem obszyte liberye, że spiżarnia i piwnica szczelnie na dwa zamki zamknięta, odetchnął swobodniej stary negocyant i po wązkich, kręconych schodkach spuścił się do ulubionego swego gabineciku. Zastał tam wszystko w dawnym porządku. Żelazne skrzynie stały jak zawsze na szynach że-

laznych, przykute łańcuchami do muru i podłogi; to samo biórko ogrodzone kratką żelazną; ten sam stół zimny, marmurowy, na którym każdy fałszywy kruszec zdradzał się podłym dźwiękiem... wszystko to było jak wczoraj, przedwczoraj, jak zawsze.

Uśmiechnął się stary negocyant do stałych swoich przyjaciół; jakoś miliej, jakoś swobodniej było mu tutaj, niżeli tam na pierwszym piętrze, między ludźmi, którzy nie są tak zimni i milczący, jak te skrzynie żelazne, jak ten stół marmurowy. Nawet ów zégar długi, mosiężny, który tak powoli i tak akuratnie stukał, był jego dobrym przyjacielem i za każdym regularnym uderzeniem godziny przypominał mu owych punktualnych dłużników, którzy w należytych terminie płacili należne procenta.

Tak błogo było negocyantowi między temi ciemnymi, wilgotnymi murami, tak mu nie tutaj do jego szczęścia nie brakowało, tylko tój głupiej szczypty opinii ludzkiej i kilku kropli krwi szlacheckiej, którą chciałby jak ospę zaszcześcić nowemu swemu rodowi. Ale to wszystko da się zrobić, trzeba tylko cierpliwości i pieniędzy.

Tak myślał sobie stary negocyant, przechadzając się po swoim kantorze, w którym ani „dysponenta“, ani pisarzy nie było. Zacierał ręce i uśmiechał się, myśląc o tém wszystkiém, co podczas obiadu napletli jego goście szanowni.

I teraz oczekiwał on gości, ale nie na pierwszym piętrze w amarantowym salonie, tylko czekał ich w gabinecie swoim, w którym na stole marmurowym, owym ołtarzu nowej, brzęczącej religii, postawi im flaszkę Jamaiki. Owi goście wieczorni byli to „dro-

bni negocjanci“, którzy się jeszcze nie roztyli, albo, mówiąc innemi słowy, którzy jeszcze za lubym groszem po świecie się uganiali. Byli to po większej części jego sprzymierzeńcy i tajni agenci, z czém jednak ukrywał się przed światem namiestnik „Goliata“, aby to reputacyi firmy uszczerbku nie przyniosło.

Tacy goście nie wchodzili nigdy do niego na pierwsze piętro, przyjmował ich w swoim gabinecie o zamkniętych okiennicach. I miliej i swobodniej było staremu negocjantowi w tém towarzystwie, niżeli pomiędzy doktorami i profesorami, którzy na bieg świata z jakiejś mglistej zapatrywali się sfery, przyczém prostemu negocjantowi zawsze mdło się robiło.

Na znanym, marmurowym stole stało już kilka butelek i kilka talerzy z zimnemi przekąskami. Ozo-ry na zimno, z drżącą od zimna galaretą, pekeflejsz na zimno i ryż z konfiturami na zimno, wszystko to stało na zimnym, marmurowym stole. I negocjant miał jakieś zimno w członkach swoich, bo się zgarbił i sine ręce zatarł.

Spojrzał na termometr: było niespełna dziesięć stopni ciepła — a przecież tam za oknem brzęczały złote muszki, tam na rynnie przeciwniejszej kamienicy świegotał wesoło wróbel, obłany czerwoną strugą ciepłego, majowego słońca, i trzepotał skrzydłami do małego okienka na podwórzu, z którego o tym czasie wychylała się sucha ręka jakiegoś biédaka i rzucała mu pokarm...

Negocjant zatarł ręce i skulił się, a ubrawszy się cieplej, usiadł w fotelu przy biurku swoim.

— Trochę zimno — pomyślał sobie — ale to pochodzi z trawienia, nic więcej. Wiele jadłem na obiad.

I założywszy ręce w szerokie rękawy surduta, pochylił się na poręcz krzesła.

— Link przyniósł mi nie bardzo dobre wieści— dumał sobie — mianowicie o Dąbczynie wcale nie dobrego. Dąbczyn musi być moim, mój syn musi mieszkać w zamku. Człowiek jest jak obraz. Mało jest prawdziwych znawców, aby na pierwszy rzut oka rozoznali rękę mistrza. Ale niech ten obraz ma pyszne złote ramy, to gawiedź stanie przed nią z rodziawioną gębą i krzyknie: Musi to znakomity być obraz, kiedy ma takie ramy! Człowiek potrzebuje ram, pysznych, złotych ram, inaczej zniknie i nikt na niego nie patrzy!... Mój syn musi mieć zamek i miasto, musi mieć klucz cały, musi się zbratać z szlachtą, być ty a ty, a imię *Werner* będzie wtedy lubione, będzie znakomite!...

I lekka chmurka osiadła na czole marzącego negocyanta.

— Ale margrabia oszczędza się.. zechce sam gospodarować... Nie, nie, to być nie może, dla niego nie ma ratunku. Więcej dzisiaj wynosi procent, niżeli dochód; a życie?... A gdyby się uparł i jakie sześć, ośm lat przesiedział kołkiem w Dąbczynie i cicho siedział... Ale nie, to być nie może! Tego głupstwa nie uczyni margrabia, ani margrabina. Podupadłby w opinii u wszystkich swoich znajomych.. A jeżeli zięć bogaty!...

Tu nagle zerwał się negocyant: uczuł, że ciepły, gorący prąd przeleciał mu przez piersi. Twarz jego zarumieniła się, oko zabłysło. Nawet wyprostował się i śmiałym krokiem począł się po kantorze przechadzać.

Dziwne jest to serce. Cóż je żywi, cóż je rozgrzewa? Oto ten biédak w podartej odzieży, tam na poddaszu przeciwległej kamienicy, wychyla rękę do wróbla i rzuca mu ostatki jadła swego... do jego drzwi kołace żebrak, a on daje mu ostatni może grosz... na co?... dla iskierki owego ciepła, które mu serce ogrzewa... A stary negocyant miał ciepło w témże samém sercu, gdy mu nagle przyszła do głowy myśl genialna, jakim sposobem najkrótszą przyjąć drogą do cudzej własności!.. „Ciało wasze jest to naczynie Ducha świętego,—mówi jeden z ojców kościoła,—a w miarę tego, czém je ogrzewać będziecie, będzie was sądził Bóg na dniu ostatecznym...“

Ciemne, wilgotne mury kantoru rozjaśniły się; jakoś ciepło, a nawet duszno zrobiło się staremu negocyantowi. Zdjął ciepły surdut, a gdy przechodził koło stołu marmurowego, na którym zimne stały zakąski, zdawało mu się, że wszystkie są gorące, że widzi parę buchającą z zimnej rulady i drżącej galarety.

— Tém różniej trzeba się brać do dzieła — rzekł do siebie, zaciągając ręce — aby jaki bogaty zięć nie przeciął mi drogi. Jeżeli margrabia zabierze się do robienia majątku na stare lata, trzeba mu w to grać. Nic tak prędko nie rujnuje ludzi, jak przedsiębiorstwo na wielką skalę. „Drobne interesa“ to złoto, a wie kieplany to nóż na własne gardło... Trzeba przedewszystkiém ludzi popchnąć dalej w ich zamiarach; gdy się na górę wydrapią, trzeba im odbierać sen w nocy, a pokarm we dnie, znudzić ich, zmęczyć, a reszta sama się dokona. Jeżeli się nie mylę, mój plan musi się udać — zakład fabryczny posłuży mi wybornie do tego... Otton musi mieszkać w zamku, w Dąbczynie!..

Tutaj skrzypnęły drzwi, a kilku wychudłych, brudnych negocyantów wsunęło się tylnemi drzwiami do kantoru. Gospodarz serdecznie uściskał im ręce i szczęśliwszy zdawał się być w ich gronie, niżeli w gronie doktorów i illuminatów.

— Chodźcie, siadajcie, jedzcie— rzekł do nich— opowiem wam pocieszne rzeczy.

Przy zimnych ozorach, zimnej ruladzie i przy zimnym, marmurowym stole jakoś zimno było pocziwym negocyantom. Nosy im posiniały, palce zgrabiały.

— Słuchaj Pifke!—ozwał się znowu gospodarz, klepiąc po ramieniu wysokiego, chudego negocyanta o zyzowatem oku i krzywych nogach — słuchaj Pifke, gdybyś był dzisiaj u mnie na obiedzie, pękłbyś ze śmiechu, co za głupstwa gadała ta uczona hołota!

Pifke wystawił półtora zęba, to jest, wszystko co miał w gębie, i rzekł:

— Tych panów wcale nie lubię. Oni dobrze ni-by mówią, ale źle płacą.

— Masz słusność, Pifke -- odparł gospodarz— ale ja muszę z nimi żyć, firma „Goliat et Compagnie“.

— Oczywiście, naturalnie, bez wątpienia — odpowiedzieli chórem negocyanci.

Nastąpiła chwila milczenia. Na wspomnienie „Goliat et Compagnie“ posmutnieli jakoś negocyanci. Pifke spojrział melancholijnem okiem na ów stół marmurowy, na owe duże, żelazne skrzynie, owe sześć czarnych stołów; spojrział po wszystkich kątach kantoru i pomyślał sobie wraz z obecnymi „drobuymi negocyantami“:— Gdyby to mieć firmę własną, taki stół marmurowy, takie skrzynie żelazne, taki kantor... a nad drzwiami „Pifke et Compagnie“!...

— Pifke!—zawołał gospodarz—nie uwierzysz, co za głupstwa plotła ta uczona czereda!

— Oni nawet nie wiedzą, co to „drobne interesa“!

— Nic zgoła nie wiedzą! Im się zdaje, że jakiś duch niewidomy kieruje tą głupią machiną świata!.. Gdyby wiedzieli, ile ty sam, Pifke, odebrałeś ziemi właścicielom polskim przez twoje procenta!..

Pifke wystawił półtora zęba, potem wystawił język i oblizał je od ucha do ucha, jak gdyby go najlepszy spotkał komplement.

— Jeden ekonomista mówił jeszcze jako tako—prawił dalej gospodarz — a nawet powiedział kilka rzeczy bardzo ładnych. Ale reszta, to pozał się Boże!.. Według jednych jakaś absolutna, narodowa idea, rozszerza granice państwa; według drugich potęga oświaty naszej, sąsiedni podbija naród; inni znowu utrzymywali, że Sławianie są na to stworzeni, jak mszyce u pracowitych mrówek, abyśmy ich doili i ich mléko jedli. Pocziwy radzca floty powiedział, że naród to jak morze, które na wschód się ciśnie... a nawet ktoś nas przyrównał do piasków Sahary, która coraz więcej Egiptu zabiéra... A wszystko to ma się dziać błogosławionym pędem cywilizacyi... na korzyść ludzkości...

— O naszych uczonych można to samo powiedzieć, co powiedział Napoleon podczas bitwy — ozwał się młody, błądzący negocyant.

Negocyanci spojrzeli na mówiącego. Był to renegat inteligencyi. Porzucił doktorat, którego już był blisko i zaciągnął się w szeregi negocyantów. Jego towarzysze szanowali w nim zawsze naukę, bo ją zawsze na ich korzyść wykladał.

— Aha, słyszałem coś o tém—rzekł gospodarz—mówił, że to są ideologowie i nic więcej!

— Nie o tém myślałem—mówił negocyant.—Napoleon miał zawsze uczonych przy armii. Wszystko to ciągnęło się w tyle wraz z osłami, objuczonymi różnym pakunkiem. Podczas jednego niespodziewanego napadu krzyknął Napoleon mimo woli:—Osły i uczeni do środka!

Pifke wystawił półtora zęba i roześmiał się tak przeraźliwie, że aż gospodarz spojrział na niego

— Bardzo słusznie powiedział Napoleon—mówił dalej gospodarz—moi goście pletli i nic rozsądnego nie powiedzieli. Jeżeli sąsiednia polska prowincya już prawie w naszych jest ręku, jeżeli co roku mniej jest właścicieli polskich, a koloniści coraz więcej ziemi nabywają, to się wcale nie dzieje za pomocą jakiejś idei, ani cywilizacyi; nie jest to żaden idealny prąd narodu, ale po prostu: *są to nasze pieniądze i nic więcej... nasze pieniądze!* My jesteśmy producenci pieniędzy, a szlachcic polski jest konsumentem pieniędzy. U nas pieniądz robi na pieniądzu, tam pieniądz jest dla wygody i fantazyi. Im większy szlachcic polski ma kredyt, tém pewniej wieś traci... Tak Pifke, ty to wiesz najlepiej, czém weźmiemy całą prowincyą polską w posiadanie: Pieniędzmi, kredytem i tém, co ztąd wypływa: procentami!

— Kredyt publicznych instytucyi najwięcej zabija polskich gospodarzy — rzekł młody negocyant—mianowicie jeżeli ich tylko pośrednio dochodzi. Wiele pisali nasi patryoci o tém, jakimby sposobem można tę prowincyą zgermanizować. Ja mówię: dać jęj w banku kredyt nieograniczony, kredyt wyrównywający war-

tości dóbr — a za kilka, kilkanaście lat cała ziemia będzie w naszych rękach.

Pifke na to nic nie mówił, tylko się trochę zamyslił.

Herszt lichwiarzy poznańskich myślał sobie w duchu:

— Wszystko głupstwo, co tamci przy obiedzie mówili i co ci przy zimnych zakąskach mówią. Ani idea, ani potęga oświaty, ani przyrodzony prąd narodu na wschód, ani kredyt, nie zdobywają w Poznańskim ziem polskich, ale rzecz drobna, najdrobniejszy nasz interes: *lichwa*, którą pobieramy od podpisów, zareczeń, i t. d., i t. d.

W tém z trzaskiem otworzyły się drzwi, a do kantoru wbiegł Otton.

— Kochany synu, czy masz jaki interes do mnie? — zapytał ojciec, nie rad, że syn wchodzi w to towarzysztwo.

Otton był mocno czerwony na twarzy, włosy miał rozburzone, oczy jego tryskały ogniem.

— Synu mój, co ci jest? — powtórzył pytanie zniecierpliwiony ojciec.

Otton roztrzącił zdziwionych negocyantów i rzucił się na krzesło, zasłaniając twarz rękoma.

— Ojcie — zawołał — jam zhańbiony!

— Zhańbiony! — krzyknął negocyant.

— *Von der Mark* strzelał się dzisiaj i jest śmiertelnie ranny!

— Strzelał?... z kim się strzelał? — zapytał negocyant, a krew uderzyła mu do głowy.

— Z jakimś panem z Dąbczyna!

— Jak się nazywa?

— Hrabia Leon...

— Hrabia Leon...—stęknął negocyant, a twarz jego zbladła jak chusta—hrabia Leon... młody, przystojny człowiek...

— Ty go znasz, ojcze?—krzyknął Otton i zerwał się z krzesła.

— Młody... przystojny...—jąkał się stary negocyant—przystojny... bogaty... miał wysokie weksle na na nasz dom... dziś rano wymieniał je... dwa kroć sto tysięcy... margrabia da mu rękę...

— Ojczel — zawołał młodzieniec i rzucił się w boleści na pierś ojca.

— Precz mi z oczu!—krzyknął negocyant i odepchnął syna od siebie.

— Odpychasz mnie? — zawołał zdziwiony młodzieniec, a lzy stanęły mu w oczach.

— Precz! W twoich żyłach jest krew „drobnego negocyanta“, podła krew i nic więcej!

Negocyanci wpatrzyli się na siebie — w kantorze było zimno, strasznie zimno.

IV.

Błady i cały drżący wrócił Otton do swego mieszkania. W jego oczach gotowała się rozpacz, usta paliły się gorączką. Rzucił się na fotel i zacisnął ręce.

— We mnie jest podła krew negocyanta!—rzekł do siebie—jam jój nie godzien!

Dwa lanzasy buchnęły z kanapy gęstym dymem, dwie pary wąsów zaruszały się z wielką sympatyą.

Młodzieniec nie widział tych oznak współczucia swoich przyjaciół, martwym wzrokiem patrzył przed siebie. A przed jego oczyma przesuwała się zwolna piękna kobiéca postać, patrzyła nań okiem pełném uczucia, dotknęła się jego ręki swoją białą, drżącą rączką!... A za nią krok w krok postępował srogi, nieznanym rywal jego, śmiałą ręką uchwycił szatę, przyciągnął do siebie i w jego oczach na ustach pięknej dziewczicy wycisnął gorący, długi pocałunek!... I rzekł do płaczącej:

— On nie był godzien ciebie, on nie chciał bronić twojej sławy, w nim podła krew negocyanta! Jam ją obronił!...

I zerwał się biędny młodzieniec i z obłąkanym wzrokiem stanął przed kanapą, na której siedzieli obaj jego przyjaciele.

Dwa lanzasy buchnęły znowu dymem do niego jak dwa zapalone lonty, gotowe na jego rozkaz.

— Opowiedzcie mi, jak to było?—rzekł młodzieniec rzewnym głosem.

— A czemu słuchać nie chcesz, tylko zaraz głowę tracisz?—odpowiedział jeden lanzas.

— On zapewne rzekł do niego, że ja nie godzien stanąć w jej obronie!—mówił młodzieniec z wzrokiem obłąkanym.

— Co my tam wiemy, w czyjój ty obronie stawać miałeś — ozwał się drugi lanzas — przy pojedynku o nikim mowy nie było.

— Jakto? ani o mnie?—zapytał syn negocyanta.

— O tobie nikt nic nie wie i nikt nic nie mówił — rzekli obaj lanzasy naraz.

Młodzieniec spuścił głowę, jego drżące usta szepnęły:

— Jam syn prostego negocyanta, któż o mnie mówić będzie?...

Tymczasem zaczął jeden z lanzasów:

— Wczoraj wieczór do szlacheckiego kasyna wszedł gość prawie nikomu nieznany. Wprowadził go księżę Thurn!

— Księżę Thurn!—zawołał syn negocyanta.

— Polski graf nie wiele czasu tracił na rozmowie, tylko zaraz zapytał się o pana *von der Mark*.

— I powiedział mu, że ja jako nie szlachcie nie mogę...

— Nic mu o tobie nie mówił. Ale mu się przedstawił i zaprosił go do gry.

— O pannie Janinie nic nie mówił?

— Grał jak najspokojniej pół godziny i jak najspokojniej przegrał tysiąc talarów.

— Tysiąc trzysta—wtrącił drugi lanzas.

— Tak, tysiąc trzysta przegrał, zapłacił i na pana von der Mark krzywo się popatrzył, a potem z uwagą począł wszystkie karty przeglądać.

— Dając do poznania, że pan von der Mark mógł mieć znaczne karty—dodał drugi lanzas.

— Von der Mark naturalnie tém się uził, a jako człowiek popędliwy i nie lubiący Polaków, zapytał się groźnie, co to wszystko znaczy. Polski graf z zimną krwią i jak najgrzeczniej odpowiedział, że to czyni tylko dla czerzyć zabawki i dalej karty przeglądał.

— A trzeba wiedzieć, że von der Mark, jako awanturnik nie jest w kasynie lubiony—wtrącił znowu drugi lanzas.

— Dla tego powstały śmiechy i wszyscy zaczęli dziwnie oglądać na pana von der Mark. Polski graf z jak najzimniejszą krwią kontynuował swoją dziwną zabawkę. Von der Mark nie mógł się powstrzymać, powiedział kilka słów niegrzecznych; polski graf wstał od stołu, a wzięwszy księcia Tharn pod ramię, powiedział swemu przeciwnikowi, że każdej godziny jest na jego żądanie gotowym.

— Wszyscy myśleli, że polski graf nie dożyje dwóch dni—wtrącił znowu drugi—a on tymczasem dzisiaj w południe jak najspokojniej grał w karty i wygrał nie mniej ni więcej jak to, co stracił: tysiąc trzysta talarów. Z tém wstał i pożegnał kasyno.

— Dziś rano miał się odbyć pojedynek. Wszyscy myśleli, że polski graf zginie, bo pan von der Mark najtęższy strzelec na całe Pomorze!.. Strzelano do baryery... graf zaledwie wziął pistolet do ręki... nie zniżył się ani kroku, tylko mierzył.. a mierzył w kolano... i w kolano trafił.. na trzydzieści kroków! Potém zapalił cygaro i odjechał.

Syn negocyanta opuścił głowę, a głos wewnętrzny rzekł mu:

— On ją obronił, obronił dzielnie! Ona za to kochać go będzie, bo on jój godny! A w tobie podła krew negocyanta... Czemuż zaraz nie wyzwales go? Twoja zimna, podła krew nie zawrzała od razu, jak krew szlachecka... tyś jój nie godzien!

Dwa lanzasy buchały teraz gęstym dymem, jak świeżo nałożone ognisko. „Gabinet“ zaszumiał w dwóch szklankach i powoli zniknął pod gęstymi wąsami. Przyjaciele uszanowali nieszczęście młodego swego przyjaciela i postanowili zostawić go niejaki czas jego nieutulonemu żalowi. Lanzasy dymiły się nieprzerwanie, „gabinet“ szumiał w szklankach i zniknął pod wąsami. A gdy się wreszcie na dnie flaszki okazała okrągła, szklanna wyspa, ozwał się jeden lanzas:

— I czemuż tak smutnym jesteś, Ottonie? Uczyniliśmy wszystko, czegoś od nas żądał.

— Dziękuję wam, przyjaciele. Ale ja jestem zhańbiony!..

— Zhańbiony? Jakto?—zapytali dwaj lanzasy.

— Całe miasto wie o tém, że mnie von der Mark publicznie obraził, ojca mego nazwał największym szachrajem i łotrem, a ja—stchórzyłem!

— Wszak nie stchórzyłeś—miałeś chęci.

— Ale świat tak będzie sądził!

— Zresztą, gdy von der Mark wyzdrowieje, za jakie pół roku, bo kości potrzaskane na miazgę...

— Ale do tego czasu świat mnie potępi i zabije!— zawołał młodzieniec i z rozpaczą załamał ręce.

Oba lanzasy przestały dymić na chwilę, potrzeba było szukać dla przyjaciela jakiejś innej rady. Okrągła, szklanna wyspa na dnie butelki stawała się coraz większą.

— Więc jest i na to rada!—krzyknął z radością jeden lanzas i uderzył w stół ręką.

Młodzieniec wyłożoném okiem spojrział na mówiącego.

— Będziesz się strzelał z pierwszym lepszym, który się krzywo na ciebie popatrzył! — mówił dalej lanzas.

— Wyborna myśl, warta jednej butelki szampaña!—zawołał drugi lanzas i zadzwonił na służącego.

— Jakto?—zapytał młodzieniec.

— Na ulicy, w teatrze, „pod czarnym łabędziem“, w kawiarni, lub gdziebądź, nastąpisz komu na nogę, szturkniesz go łokciem, wytrącisz mu cygaro i powiesz mu przy tém grubiaństwo, lub coś podobnego — i sprawa gotowa! My pójdziemy z tobą!

— Pójdziemy z tobą!—zawołał drugi lanzas— tymczasem każ służącemu... bo gardła wyschły.

Świeża butelka stanęła na stole.

— Jeszcze mi niejasna wasza rada — odrzekł młodzieniec — nie wiem, jakim sposobem człowiek zupełnie nieznany, niewinny...

— Jesteś strasznie młody, Ottonie, strasznie

młody! — mówił pierwszy lanzas, wyciągając korek z butelki.

— Strasznie młody! — mówił drugi, podstawiając szklankę.

— Na świecie tak prostą drogą nie daleko zajdziesz! — rzekł pierwszy, lejąc pienisty trunek do szklanki.

— Nie zajdziesz daleko tak prostą drogą na świecie! — rzekł drugi, przykładając szklankę do wąsów.

— Trzeba się różnym sposobem ratować! — mówił pierwszy, biorąc za szklankę.

— A my tymczasem rozniesiemy po całym świecie, że Otton Warner strzelał się, walny chłopiec, krew nie lada! — mówił drugi, lejąc wino do szklanki.

Młodzieniec stał jak posąg, nie wiedział, co się z nim dzieje.

— A teraz — rzekł pierwszy, wpychając mu do rąk ogromną szklankę — teraz pij z nami zdrowie tego, z którym jutro strzelać się będziesz!

— Pij z nami! wieczorem pójdziemy szukać awantury!

Młodzieniec trzymał machinalnie szklanicę w ręku. W uszach mu szumiało, przed oczyma latały jakieś widma złowieszcze.

Wreszcie podniósł szklankę, przyłożył ją do ust jednym tchem wypił co do kropli.

Gorący strumień przebiegł go od stóp do głowy, krew zawrzała mu w żyłach. Z przed jego oczu uchylły się mary złowieszcze, a jakieś rajske, rozkoszne obrazy stanęły przed nim. Zdawało mu się, że stał w ogromnym cyrku, ubrany jako rycerz dawny w kiras i hełm, z piórem czerwonym i groźną potrzasał kopią,

wyzywając zapaśnika. Wstęga ulubionój barwy kochanki spływała na jego ramieniu, na jój cześć stoczyć ma dziś walkę śmiertelną!... A ona patrzy na niego z kamiennego balkonu, przed nią uklęknie po walce, a jój białe rączki uwieńczą jego skronie..

— Héj!—krzyknął i rzucił szklaukę aż w tysiące rozprysła się kawałków — gdzież jest ten, co śmie powiedzieć, że we mnie podła krew negocyanta? Piérwszy, którego dzisiaj ujrzę...

W tém otworzył drzwi służący i zapowiedział nieznanomego gościa.

Lanzasy przestały się dymić—do pokoju wszedł Jerzy.

Jerzy miał na sobie ubiór podrózny, dosyć zaniedbany. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Ręce jego drżały, oddech miał słaby, urywany.

— Jeżeli to być może—ozwał się do Ottoua—prosiłbym pana o chwilę rozmowy sam na sam.

Syn negocyanta zmierzył go pogardliwie od stóp do głowy i rzekł, wskazując na dwa obłoki dymu:

— Są to moi najlepsi przyjaciele, nigdy się z nimi nie rozstaję i żadnej przed nimi nie mam tajemnicy.

— Więc mogę zacząć—mówił dalej Jerzy, oglądając się za krzesłem.

Otton zrozumiał wzrok Jerzego i machinalnie wskazał na fotel. Zdawało mu się, że w twarzy nieznanomego gościa ujrzał złośliwy uśmiech tryumfu. Zmarszczył czoło i z pańska rzucił się na stojący obok stołu balzak. Zdawało się Jerzemu, że w tém zachowaniu się syna negocyanta jest coś szydlerczego.

— Jestem Jerzy... lekarz z Dąbczyna.

— I przyjechałeś pan, aby w razie potrzeby opatrzyć rany hrabiego Leona...—rzekł z gestem arystokraty syn negocyanta.

Spojrzeli sobie obaj w oczy i obaj jednocześnie odsunęli krzesła od siebie. Jakaś dziwna, nieodgadniona antypatya powstała w téj chwili w ich sercach.

— Jeżeli pan tak rozmowę zaczynasz—rzekł Jerzy, siląc się na wyraz obojętności — to ona może się urwać przed czasem.

— Nie wiem, mój panie, czy wiele zyskam na czasie—odparł syn negocyanta—ale słucham pana.

— Ciérpkie słowa pana okazują, jakbyś miał jaką urazę do mnie—zapytał Jerzy, a twarz jego czerwieniła się z gniewu.

— Nie znam pana!

— Obecność tych panów i ich ranga jest mi rękojmnią, że rozmowa nasza toczyć się będzie w karbach przyzwoitości.

— Słucham pana!

— Pan miałeś spór z panem von der Mark.

Otton ruszył głową.

— Przy tym sporze wymienione zostało imię pewnej damy.

— Pan powtarzasz stare rzeczy — odparł młodzieniec z niecierpliwością.

— Dopóki te rzeczy jeszcze nie załatwiły się...

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem. Był to pierwszy policzek wstydu, pierwszy głos nieubłaganej opinii!

— Któż mi dzisiaj odebrał sposobność załatwie-

nia téj sprawy na drodze honoru?—zawołał żywo młodzieniec.

— Myśl pan, że to przypadek, czysty przypadek.

— Przypadek? O nie, mój panie, to nie był przypadek. Bo przypadek nie przyjeżdża z Dąbczyna, nie idzie wprost do kasyna i nie pyta się wprost o pana von der Mark, nie proponuje mu wprost gry hazardownej! A przegrawszy naumyślnie tysiąc talarów, nie patrzy się krzywo na pana von der Mark, nie zarzuca mu szalbierstwa. Przypadek nie postępuje sobie tak systematycznie, nie przywozi z sobą lekarza; słowem, nie był to wcale przypadek. Było to wymierzone przeciw mnie, aby mnie poniżyć, aby okazać, że nie godzien obronić cudzej sławy, bo nie mam tarczy herbowej, bom syn prostego negocyanta.

Z za chmury dymu ozwały się dwa głosy.

— Który doskonale się strzela i przed każdym polskim grafem się ostoi!

Jerzy spojrział na kanapę, ale prócz gęstych kłębow dymu nic nie widział. Słowa młodzieńca obudziły w nim kilka myśli, które mu często do głowy przychodziły, a nigdy dojrzyć nie mogły. Było jakieś pokrewieństwo między nimi obydwoma: mimo to jakaś niepojęta antypatya trzymała ich z daleka od siebie.

— Nie znam powodu — rzekł Jerzy po chwili — dla czego pan w tym przypadku, czy raczej zdarzeniu, widzisz dla siebie jakieś poniżenie. Jeżeli chodziło panu o honor damy, to rzecz obojętna, kto kopią skruszył.

— Nie, mój panie—odparł syn negocyanta — są dobre, szlachetne uczynki, które radzi sami spełniamy. Jest to wrodzona nam próżność, od której żaden człowiek wolnym nie jest.

— Ale ta próżność powinna nam w takim razie przynieść niejaki procent—rzekł Jerzy z uśmiechem ironii.

— Nikt niema prawa zaglądać do moich rachunków—odparł syn negocyanta w widocznym gniewie.

— Nie przychodzę tutaj—rzekł Jerzy, powstrzymując się w gniewie — abym żądał od pana rachunku, czy stawanie w obronie tak znakomitėj damy przyniosłoby panu korzyść jaką, czy żadną. Do tego nie mam bynajmniėj upoważnienia. Ale przychodzę z tém, do czego mam upoważnienie.

— Słucham pana — zawołał Otton i przygryzł usta.—Ale najprzód powiedz mi pan, od kogo masz pan kredytywę? Zapewne od hrabiego Leona?..

— Bynajmniėj.

— No, to już dobrze, bo inaczej nie mógłbym jėj akceptować.

— Moje upoważnienie pochodzi wprost od damy.

— Od panny Janiny!—zawołał młodzieniec i zerwał się z balzaku na równe nogi.

— Tak jest, od niėj samėj — odparł Jerzy, patrząc z pod oka na chmurę dymu przed kanapą.—Mówiła, że nie godzien?..

Jerzy spojrział bystro na syna negocyanta. Jakoś za tragicznie wyglądał mu w tej chwili, aby całą tę sprawę wziąć za przemijającą awanturę. Jego twarz przybladła, duże, niebieskie oko drżało, jakby przemocą ukrywało łzę, cisnącą się z głębi duszy. Jerzy uczuł, że jego serce doznaje jakiegoś bólu na myśl, iż ów stojący przed nim młodzieniec jest jego nieprzyjacielem.

— Tak jest — mówił z cierpką determinacją — od niej samój mam upoważnienie powiedzieć panu, że ona sobie wcale nie życzy tego, aby jój imię wmięszane było do awantury pojedynekowej.

— Dla tego przysłała swego narzeczonego — mówił z ironią syn negocyanta.

Twarz Jerzego oblała się rumieńcem. Usta jego zadrżały, ale słowo zamarło i nie wyszło przez nie.

— Przysłała swego narzeczonego — ciągnął dalej z ironią młodzieniec — aby udaremnił pojedynek, któryby mi dał sposobność okazania pannie Janinie i całemu światu, że mam taką samą krew, jak i każdy szlachcic... żem jój godzien, jak każdy inny!...

— Milcz pan! — krzyknął Jerzy, któremu nagle przed oczyma wszystko chodźć zaczęło.

Chmura dymu przed kanapą rozdzieliła się na dwa obłoki, z po za których wyszły dwa mundury, dwie pary epoletów, dwa lanzasy i dwie pary wąsów. Wszystko to stanęło między Jerzym i Ottonem, a dwa głosy ozwały się jednocześnie:

— Hola! już ani słowa. Już więcej nie macie z sobą nic do czynienia, tylko z nami!

— Jestem gotowy w każdym czasie — rzekł Jerzy, a twarz pałała mu ogniem.

— Czém prędzėj, tém lepiėj — odparł młodzieniec, a jego błękitne oczy zaszyły łzami.

— Oto są nasze bilety — ozwały się dwa lanzasy do Jerzego. — Pośrednicy pana mogą się z nami rozmówić.

Jerzy chwycił za dwie karty i wybiegł na ulicę.

Syn negocyanta rzucił się na szyję przyjaciółom, obcałował ich wąsy i zawołał w radośném uniesieniu:

— Jestem szczęśliwy, moi przyjaciele! Będę się strzelał, świat dowie się o tém, że nie jestem tchórzem, a ona się dowie, że ją kocham!

— Jeżeli cię nie zakłuje ten Polak! - mruknął jeden lanzas.

— Głupi interes — mruknął drugi — wleźliśmy w błoto!

Ale uszczęśliwiony młodzieniec nie słyszał ich mowy—jednym zamachem zbiegł dwa piętra i wpadł do kantoru.

Pifke zaledwie do siebie był przyszedł, usłyszawszy wcale dziwne zdanie, jakoby krew „drobnego negocyanta“ miała być podlejszą od krwi każdego innego bankiera, i zaledwie sam stary negocyant jakoś się był udobruchał i z młodym negocyantem széroko rozmawiać począł, jakimby to sposobem podnieść akcyje kolei żelaznej, i jakie po temu dzienniki przekupić potrzeba, gdy nagle z twarzą rozognioną, z rozburzonymi włosami stanął przed nimi młody Otton.

— Ojczel!—krzyknął, rzucając mu się na szyję— będę się strzelał jutro i okażę przed całym światem, że we mnie nie ma krwi „drobnego negocyanta“ i że ją ko...

Pifke się skrzywił i odstawił szklanę, którą był właśnie do półtora zęba swego przyłożył. Powziął w duchu to chwalebne przedsięwzięcie, aby najprędzej zaniechać „drobnych interesów“ i postarać się o własną firmę: „Pifke et Compagnie“.

Namiestnik „Goliata“ przyciskał w téj chwili swego jedynaka do piersi, nie dając mu ani słowa więcej powiedzieć.

Gdy Jerzy powrócił do hotelu, w którym obaj z hrabią Leonem mieszkali, zastał go siedzącego spokojnie na kanapie i nucącego sobie pod nosem jakąś aryą z „Marty“. Hrabia zdawał się znudzony, a ujrzawszy wchodzącego Jerzego, rzekł z niecierpliwością:

— No cóż, szanowny panie, jedziemy?

— Nie dzisiaj jeszcze — odpowiedział Jerzy.

Odpowiedź Jerzego miała tak dziwny akcent, że hrabia badawczo spojrział na niego. Na twarzy Jerzego malowało się jakieś dziwne, nieodgadnione szczęście. Jego oczy uśmiechały się i tak szybko biegały, jak jaskółki przed burzą.

Usiadł w drugim rogu kanapy i z wyrazem tryumfu spojrział na bladą, zimną twarz hrabiego. I w samej rzeczy miał z czego tryumfować nasz bohater, według najlepszego swego przekonania. W zagadkowym swoim towarzyszczu, pomimo wszelkiej ku niemu sympatii, widział zawsze w końcu swego nieprzyjaciela, który mu stanął na drodze szczęścia. Czuł jego wyższość nad sobą, która go gniotła do ziemi, jak ciężka, ołowiana atmosfera. Czuł jego siłę demoniczną, która go ciągnęła za sobą, aby był świadkiem jej tryumfów i przekonał się, jak daleko od marzeń poety do praktycznego człowieka! Wszystkie te boleści przechodził nieszczęśliwy marzyciel, a jednak nie miał odwagi, zdobyć się na krok stanowczy i rozciąć tego węzła gordyjskiego. Zdawało mu się, że zdobywszy serce, już dosyć uczynił, że na tém polu koniecznie zwyciężyć musi.

Tymczasem adwersarz jego coraz więcej cisnął go do ziemi. Już samą pozycją swoją miał nad nim

wielką przewagę, a cóż dopiero teraz, gdy w obronie Janiny postawił życie na kartę? Cóż Jerzy uczynił, aby dowieść swoich uczuć?... Jego przeciwnik wziął mu z przed nosa jedyną próbę, która się mu nadarzyła, i odbył tę próbę na swoją korzyść!... A może Janina naśladowując dziewicę wieków rycerskich, wystawiła ich obu na próbę miłosną?...

W takim stanie rzeczy zdarzenie z synem negocyanta było dla Jerzego bardzo korzystne.

Strzelając się z drugim uczestnikiem udaremuionego pojedynku, stanął na równi z hrabią Leonem. Zrównał się więc ze swoim przeciwnikiem i okazał się godnym miejsca, jakie już miał w sercu panny Janiny.

Więc z uczuciem tryumfu spojrział na swego towarzysza i uśmiechał się, nie bez pewnej zarozumiałości, gdy jego blada, zimna twarz poczęła się ożywiać wyrazem ciekawości.

— Jeżeli się nie mylę — ozwał się hrabia Leon i tak przenikliwym wzrokiem spojrział w twarz Jerzego, że ten był pewny, iż już wszystko odgadł—jeżeli się nie mylę, spłatałeś pan znowu jakiegoś figla.

Jerzy pokrył swą twarz maską żartu i odparł z wejrzeniem jakiejś myśli ubocznej:

— Nie, figla nie spłatałem... był to prosty przypadek.

— Jaki przypadek?

— Że się strzelać będę.

Hrabia Leon rzucił się na kanapie.

— Obawiałem się tego — oparł cierpko.

— Ale to prosty przypadek, nie ułożonego najprzód... taki sam przypadek, jaki pan miałeś z panem von der Mark--odparł Jerzy z ironią w spojrzeniu.

Hrabia spojrział na niego i rzekł z cierpkim uśmiechem:

— Kto się wyższej myśli poświęcił, kto pragnie służyć ludzkości, ten nie powinien tak życiem igrać w rzeczach podrzędnych.

Jerzy uczuł, że mu twarz oblała się rumieńcem. Ale wnet serce odniosło zwycięstwo.

Wyprostował się i rzekł z dumą:

— To jest tylko dowodem, że zdolny jestem do każdego poświęcenia się, do każdej walki z tém, co mi na drodze staje.

— Ale nie z marami, które do niczego nie prowadzą!—odparł hrabia z widoczną niecierpliwością.

Jerzy wlepił oczy w bladą, zimną twarz hrabiego, ale na niej prócz jakiegoś kapryśnej, pańskiej niecierpliwości, żadnego innego nie dostrzegł wyrazu.

— Myślałem, że pana od nierozważnego kroku ochronię—mówił dalej hrabia.

— Jakto?—wtrącił Jerzy—więc ów prosty wypadek w kasynie szlacheckim był naprzód obmyślony?..

— Tego nie mówiłem — przerwał szybko hrabia — tylko myślałem, że mój wypadek ochroni pana od wszelkich podobnych...

Jerzy roześmiał się, chociaż w tym śmiechu było więcej bolesnego uczucia, niż wesołości.

— Więc pan chciałeś mi jak żakowi wyprawie odstraszający widok, jak człowiek z roztrzaskaną nogą po pojedynku wygląda... a tymczasem zbudziłeś tylko pragnienie krwi.

— Widzę, że pan musisz być swoim własnym lekarzem—odparł zimno hrabia.

— Są choroby, które tylko samemu leczyć można — odrzekł mu na to również zimno Jerzy.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju, poglądając z pod oka na Jerzego. Jerzy jak najspokojniej zapalał sobie cygaro.

Podobało się to widać hrabiemu, gdyż zatrzymał się przed kanapą i począł się mu z uwagą przypatrywać.

Po chwili rzekł:

— Dotąd myślałem, że potrzeba życiem pogardzać, aby je stawiać na kartę. Teraz widzę, że można to uczynić w chwili, gdy się nam ono najpiękniej uśmiecha!

— Ta między nami zachodzi różnica — odparł Jerzy z bolesnym uśmiechem.

— Temu nie przeczę... może się kiedy zbliżymy do siebie... tak na pół drogi przynajmniej — rzekł hrabia i pośpieszył do stolika, na którym był przyrząd do pisania.

Napisawszy kilka wierszy, zadzwonił na służącego hotelu.

— Ten list odniesiesz do księcia Thurn — rzekł do niego — a z tym udasz się do pana R., od którego kupiłem dwa konie. Oraz proszę o rachunek, gdyż zaraz wyjeżdżamy.

Jerzy czekał właśnie niecierpliwie odejścia służącego, aby hrabiego zapytać się, co znaczą tak dziwne rozporządzenia, gdy tenże rzekł do niego:

— Muszę panu oczywiście sekundować. Znasz pan sekundantów swego przeciwnika?

Jerzy oddał mu karty.

— A wiesz pan, z kim się strzelam? — zapytał hrabiego.

— A jużci z młodym Warnerem! — odparł tenże z uśmiechem.

— Pan zgłębiasz wszystkie tajemnice.

— O mnie mniejsza... idzie o to, żeby ktoś inny wypadku tego nie zgłębił, a niesmacznem byłoby mi to pensylwańskie więzienie. Wypadek pana von der Mark narobił tutaj hałasu. Jakieś dziwne figury snują się od rana w koło hotelu. Dla tego dobrze będzie, jeżeli zaraz ztąd wyjedziemy. Konie pójdą z moim służącym do Dąbczyna, a my tymczasem z innego hotelu wyjedziemy innemi, które właśnie kupiłem. Czysta krew angielska, milę biegną piętnaście minut. A teraz idę do sekundantów; tymczasem możesz wygotować na przypadek dokument samobójstwa i coś na kształt testamentu.

Rzekłszy to hrabia Leon, uśmiechnął się z największą obojętnością, zapalił świeże cygaro, a nucąc arya z „Hugonotów“ wyszedł z najlepszą w świecie fantazją, jakby siedł dla swego towarzysza po kartę na kolój żelazną.

Jerzy zbliżył się do stolika i wziął za pióro, aby napisać ów fatalny dokument samobójstwa. Ale ręka mu zadrżała, pióro wypadło na ziemię. Oparł się o poręcz krzesła, podparł ręką głowę i zamyslił się.

Na wieży, tam gdzieś daleko, wybiła dziewiąta godzina. Wrzawa na ulicy uciszała się coraz bardziej. Tylko jakiś głuchy, zmacony szum, niby echo wal-

czących pod gwiazdami wichrów, dolatywał do jego uszu.

A w tym szumie było przecież coś zrozumiałego. Jakieś dziwne głosy wybijały się z tego powszechnego akordu miasta i trącały o jego serce. I zdawało się młodemu marzycielowi, że słyszy mówiących w tym szumie:

— I myśmy wszyscy marzyli, i myśmy chcieli iść odmiennymi drogami, jakimi zwyczajni ludzie nie chodzą, ale w przedsięwzięciach naszych nie stało nam siły. Póki ognia w sercu, póty marzeń! Przemineła doba zapału, nasze serca ochłody. I jedni z nas stali się kupcami i agentami sklepów korzennych; inni dla grosza pobrali żony, których nigdy nie kochali; inni jeszcze zniżyli harde karki, katońskie cnoty swoje zamknęli do puszek blaszanej, jak dziecko zamyka swój grosz oszczędzony, a tymczasem stali się sługami i narzędziami występnych! I myśmy chcieli poświęcić się, gdy serce żywiej biło, gdy wiatr gorący zawiał od zachodu i głowy nam zapalił; a gdy przeminął, wróciliśmy do naszych garkuchni, do naszych piwnic wybornych, i na tym padole płaczu pijemy piwo bawarskie i palimy fajki z długimi wassersakami! Żyjemy g'woli ciała, bo ono tylko nam zostało; reszta uleciała, jak ulatuje dym z fajek i znikła, jak znika piana w piwie bawarskiem!..

Pośród tego chaosu głosów wielkomijskich brzmiała jakaś odosobniona, smutna melodia. Gdzieś z poddasza wychodził ten głos, a słowa jego były:

— Ubogi byłem, nic mnie do życia nie wiązało. Wzleciałem nad to życie codzienne i z wysokości, gdzie orzeł lata, ujrzałem rany ludzkości. I zapragnąłem

być jej lekarzem. I całe moje ubogie życie chciałem jej poświęcić. Ale dwoje pięknych oczu ujrzałem na ziemi. Dla tych oczu wyrzekłem się snów i ślubów moich: to mnie już wiązało do ziemi. Byłem bogaty miłością, a cała ludzkość była taka zdrowa, uśmiechająca się!... Jam kochał więcej ciebie, niż ludzkość, a całą ludzkość widziałem w tych pięknych oczach, które na mnie patrzyły!... Ale wkrótce odwróciły się odemnie te dwoje pięknych oczu, w koło mnie smutno i pusto, upadłem jak kamień, który nie doleciał do mety, w kałużę mętów i błota!...

Jerzy zdrygnął się i spojrzał po pustym pokoju. Nie było nikogo, wszędzie głucho. Jakiś przeciąg wiatru przybiegł do drzwi i zdawało się, że drzwi się otworzyły, że jakiś stary żołnierz w podartym mundurze stanął na progu.

— Młody człowieku — rzekł do Jerzego i wystawił wyschlą rękę po jałmużnę — gdym był tak młody jak ty, latałem wysoko i marzyłem o wielkich zaszczytach. Tymczasem, jako prosty żołnierz zbiegłem ze straży, na której mnie postawiono. Młody człowieku, i ty marzysz o stopniu bohaterstwa, a tymczasem nie umiesz ostać się na straży, gdzie cię jako prostego żołnierza postawionol..

Wiatr przeciągnął znowu po pustym pokoju, widmo zniknęło, a Jerzy został znowu sam jeden. I przyszedł mu przed oczy gdzieś tam daleko biały domek rodzinny, w którym dzieckiem bawił się tarczą i zbroją dziadka... Przypomniał sobie wszystkie swoje sny i śluby, wypowiedziane spiekłemi usty w chwili szaleńczego natchnienia — spojrzał za siebie i ujrzał, że spory ka-

wał drogi już uszedł do założonego celu i nagle upadł, upadł głęboko...

Schylił się po pióro i zaczął pisać.

W pokoju było cicho i smutno. Tylko pióro skrzypiało przeraźliwie i bryzgało po białym papierze, a piszącemu zdawało się, że ono ustraja jego słowa w najpiękniejsze arabeski...

Okolo dziesiątej otworzyły się drzwi. Hrabia Leon wrócił ze swego poselstwa.

— A cóż tam z dokumentem samobójstwa i testamentem?—zapytał, biorąc ze stolika świeże cygaro.

Jerzy w milczeniu okazał mu dwa złożone papiery.

— Jakoś zbyt krótko zbyłeś pan ciekawość świata!—rzekł z uśmiechem hrabia Leon.

— Spodzielam się, że i tego będzie za wiele—odparł Jerzy dosyć obojętnie.

— Ach! wy dusze poetyczne, zakrawacie strasznie na Faryzeuszów. Dla świata skromność mnicha, a wewnątrz duma najdumniejszych patrycyuszów!

— Tak jest, bo myśmy dumni z tego, czém według naszej boskiej iskry być powinniśmy; a skromni, żeśmy tak mało zrobili!

— Przy téj skromności naszej, myślimy jednak sobie, jak gorzko ktoś za nami płakać będzie, gdy nam życia nie staniel!...—poderwał hrabia z ironicznym uśmiechem.

— Tę wiarę wolno przecież wziąć z sobą każdemu nieboszczykowi.

— A wolno, wolno... ale nie wolno mu wracać do życia, bo przekonałby się, że nie warto z taką wiarą umierać... Jest to najrozsądniejsza myśl w urzą-

dzeniu społeczeństwa, że umarłym nie wolno wracać do swoich przyjaciół, żon, kochanek... Wyjeżdżajmy... o piątą godzinie w lasku królewskim...

Właśnie w tym czasie wychodził Pifke z kamienicy o śmiejących się karyatydach i myślał sobie w duchu:

— Mój przyjaciel Warner musiał bzika dostać. Nie dałbym za to i feniga, że mu się szlachectwo po głowie roi. Do tego głupstwa nie jeden poczciwy negocyant na starość przychodzi. Całe życie będzie porządnym negocyantem, a gdy skrzynie mu się napełnią, to głupstwa robi. Pifke! strzeż się dumy, bo ta nie prowadzi do królestwa niebieskiego.

To mówił w duchu do siebie porządny negocyant, idąc nieco w zygzak po szerokim trotoarze, gdy w gabinecie jego przyjaciela właśnie światło zagasło i głucho cisza zaległa zimne, wilgotne mury. Stary negocyant wyszedł przez schody kręcone na pierwsze piętro i prosto udał się do swego pokoju.

Myśli jego były dzisiaj jakoś nie w najlepszym porządku. Tyle się różnych rzeczy stało, tyle nasłuchał się przy uczonym obiedzie, i tyle zjadł i wypił, że na to wszystko i miejsca nie było w jego wyschlém ciele! Mianowicie myśl pojedynku strasznie dawała mu się w znaki. Jakoś nie przystawała ona do jego mózgu i wylatywała z niego jak groch z dziurawego worka za każdym ruszeniem głowy. Wziął szlafmycę, naciągnął na same uszy, ale i to nie wiele pomogło. Wreszcie położył się do łóżka, włożył głowę pod poduszkę i nakrył się pierzyną. Ale myśl nieposłuszna

wylazła przez szlafmycę, poduszkę i pierzynę, i latała po nim jak czarna szczypawka.

— Dużo dziś jadłem — mówił do siebie, przewracając się na drugi bok, a z nim przewracała się myśl czarna i kąsała go bezlitośnie.

I chciał tę brzydką myśl odpędzić jakimś błogiem marzeniem.

Marzył o wielkiej herbowej tarczy nad bramą swojej kamienicy; w salonach na pierwszym piętrze widział długi szereg gości znakomitych; imię jego błyszczało w jakichś dziwnych symbolach na guzikach liberyi domowej... a w tém ukazał się syn jego — we krwi — konający — syn jedynak!...

Negocyant zerwał się z łóżka, zrzucił poduszkę, pierzynę i szlafmycę na ziemię i przestraszony spojrział w duże zwierciadło, z którego przy świetle nocnej lampy wyszczérzała się jakaś mara okropna!

Zbliżył się do zwierciadła, przypatrzył się téj brzydkiej marze — był to on sam! Tak brzydkim jeszcze nigdy siebie nie widział!

— Czego się niepokoję — mówił do siebie — wszak tysiące pojedykują się, a nikt nie ginie!

I znowu spojrział w zwierciadło i zdawało mu się, że jest brzydki i stary jak nigdy!... A tam w kącie, tam... leży trup siny, skrwawiony — to syn! jedynak!

— Przecież to jeszcze nic pewnego — mówił do siebie — Otton dopiero mi coś napomknął...

W drugim pokoju coś gwizdnęło — za piecem ktoś się zaśmiał!

Włosy stanęły mu kołkiem do góry. Obejrzał się — był sam, sam jak palec.

— Moja krew widać nie jest do tych rzeczy!—
rzekł do siebie — mam słabe nerwy.

Znowu ktoś się zaśmiał tuż za jego plecami i coś mu gwizdnęło pod samym nosem. Negocyant wykręcił się w koło, potarł po nosie, a wszędzie znowu cicho i głucho.

— Do takich głupich rzeczy jak pojedynek, trzeba się, jak widzę, urodzić—mruknął niezadowolony negocyant—aż nogi podemną dygoczą... A co tam biedny mój Otton robi! On pewnie poci się ze strachu! Trzeba pójść dodać mu ducha... tak, tak, dodać mu ducha...

I wzięwszy do ręki nocną lampę, wysunął się stary negocyant cicho i ostrożnie ze swego pokoju.

Na korytarzu było pusto i głucho. Zbliżywszy się do schodów drugiego piętra, ujrzał nagle przed sobą jakąś postać olbrzymią. Nie chciał w tej chwili z nikim mieć do czynienia i czmychnął czémprędzej napowrót do swego pokoju. Tam znowu było mu samemu jakoś nudno, a nawet trochę i straszno. Trup siny leżał ciągle w kącie, pod nosem ktoś mu świstał, a nad karkiem śmiał się jakiś duch-psotnik, że aż włosy stawały na głowie!...

— Trzeba iść do Ottona, trzeba mu dodać ducha, niech się nie boi!...—rzekł do siebie i znowu wyszedł z pokoju.

Ta sama czarna, olbrzymia postać leżała tuż przed nim na progu!...

Negocyant zamknął oczy, rzucił lampę i wybiegł na korytarz. Pędem przebiegł schody i wpadł do pokoju syna.

— Ottonie, Ottonie! — zawołał z progu — nie

bój się niczego, szlachcie także człowiek z gliny, jak wszyscy, a nie boi się...

Ale Otton nie ozwał się, w pokojach nie było nikogo. Łóżko jego było nietknięte—tylko nocna lampa świeciła się jak zwyczajnie!

Negocyant przyrósł nagle do ziemi, włosy stanęły mu kołkiem... A trup siny leżał i tu w kącie, i tu ktoś mu gwizdał pod nosem, a na karku siedział już oczywisty dyabeł i śmiał się, aż po kiszkach darło!

— Nie pojmuję, jak się można pojedynkować! — szepnął w sekrecie do siebie negocyant — ale nie, ja mam słabe nerwy i nie więcej — dodał zaraz potem.

Na stole leżał jakiś papier opieczętowany. Negocyant rozerwał pieczęć — było to tkliwe pożegnanie syna, gdyby zginął w pojedynku!

Negocyant zadrżał cały — kolana ugięły się pod nim. Wybiegł z pokoju, biegł po schodach i korytarzu, nie widząc wcale owęj olbrzymiej postaci, która tuż za nim biegła. Wpadł do swego pokoju—ale jakaż rada?... Gdzież Otton? A tu noc, północ... wszędzie głucho, wszędzie pustol... Tam w narożnym pokoju śpi Matylda i marzy o swoich srebrach wyprawnych, ale cóż ona poradzi?... A zresztą jakże tam iść przez dziesięć ciemnych pokoi?...

— Mam słabe nerwy, jabym się nigdy nie pojedynkował... to głupstwo... hm, głupstwo i kaprys... Nie głupszego szlachta nie mogła wymyśleć, jak te pojedynki, gdzie kogoś zabić można... Ja bym się nie strzelał, nie... ale tak na pałasze... no, to jeszcze pół biędy... Otton musi na pałasze się bić... a nie strzelać!...

Tak mówiąc do siebie nieszczęśliwy negocyant,

chodził po ciemnym pokoju, kłapał rękoma i patynkami, a usiadłszy na krześle, sam nie wiedział, co się z nim stało. Popadł w jakieś szczególne delirium, ale co w tém delirium widział, o tém i sam Cefizes nie umiał by nic powiedzieć.

Była godzina czwarta z północy, gdy negocyant na seryo przyszedł do siebie. Zerwał się na nogi, zadzwonił na służącego i czémprędzej się ubrał. Jak szalony wybiegł na ulicę. Ottona jeszcze nie było.

Na niebie wschodziła jutrzeuka i różowém światłem malowała wązkie, wysokie kamienice.

Negocyant uderzył piersią o jakąś długą, porządnie ubraną figurę.

— Linku, Linku kochany, niebo mi cię zsyła!

Link miał na sobie długi kapotrok, pantaloncy perłowego koloru za ośm talarów, zieloną westę z czerwonymi kwiatkami i prawdziwy „Gibus“ na głowie. Jednak to wszystko było już pomięte, powalane.

— Linku! Otton się chce strzelać! — krzyknął mu negocyant do ucha.

— To głupstwo! — mruknął agent, usiłując powrócić do pionowej pozycji.

— I ja sam tak myślę, ale cóż robić... gdzie go szukać, Linku? Biegnij do policyi.

— Właśnie ztamtąd idę — odrzekł agent — niegrzecznie się ze mną obeszli.

Rzekłszy to, z taką zatoczył się energią, że swego patrona z nóg zwałił, a sam dalej ukośną linią podążył.

Za kilka minut pukał nieszczęśliwy negocyant do małego domku na przedmieściu. W oknie ukazała się brudna szlafmyca i włosy rozczochrane.

— Pifke, drogi Pifke! ratuj mnie! — krzyknął negocyat do brudnej szlafmocy.

— Warner!

— Otton chce się strzelać!

— Coś już słyszałem o tém głupstwie — wyrzekł głos z pod szlafmocy.

— Sądzisz, że to głupstwo?

— Wierutne głupstwo!

— Ba! ale szlachta zazwyczaj strzela się...

— Ale krew porządnego negocyanta nie strzela się, rozumiesz?

— Ba...

— Naszym honorem i szlachectwem, to *pieniądze* i nie więcój! Gdy będziesz miał pieniądze i porządną firmę, masz wszystko! Cały świat stoi ci otworem — i szlachectwo i zaszczyty, jeżeli ci one koniecznie po głowie skaczą!

— Pifke, słowo w słowo i ja tak myślę!

— Idź i weź syna za uszy!

— Ba, ale go nie ma... a teraz może już się strzela... a może już zabity!...

— To biegnij na policyą i weź żandarmów.

— Pifke, z ciebie Pan Bóg mówi!

.

Z ciemnej, porannej chmury wynurzyło się złote, majowe słońce. Ku laskowi królewskiemu śpieszyło kilku żandarmów, za nimi toczyła się stara dorożka.

W tém padły dwa strzały — z pomiędzy drzew wzniosły się dwa obłoki białego dymu.

Żandarmy puścili koniom wodze, dorożka ruszyła raźniej, a za kilka minut stanęli wszyscy na miejscu.

Na otwartéj polance, z pistoletem w ziemię spuszczoneym, stał Otton, martwy jak posąg. Kilkanaście kroków przed nim, gdzie stał jego przeciwnik, była kałuża krwi. Więcej nie było nikogo, tylko daleko między krzakami przedzierały się dwie pary epoletów.

— Bierzcie go, to mój syn, bierzcie i wiążcie!— krzyknął stary negocyant i upadł jak nieżywy na ziemię.

Żandarm w imieniu ustawy przytrzymał przestępcę, drugi obiegł cały lasek do koła, ale nigdzie nie było ani żywego ducha.

Władza miejscowa porzysłała agentów do wszystkich części miasta, ale żaden z nich nie przyniósł pożądanéj wieści. Jeden tylko przyniósł raport, że właśnie o téj godzinie odbywał kurs zakładowy ksiązę Thurn z jakimś polskim grafem na drodze, prowadzącéj do Dąbczyna.

A po całym mieście gruchnęła wieść, że syn negocyanta, chcąc się ocalić od pojedynku z jakąś wysoko położoną osobą, sam miejsce pojedynku władzy denuncyował.

V.

Na drugi dzień po tém szczególném zdarzeniu dosyć wesoło było w zamku dąbczyńskim. W małym saloniku o żółtem obiciu siedziała Janina na amarantowej kanapie i pieściła się z prześliczną papugą, która jój coś do ucha szeptała. Koło niój siedziała Terenia, trzymając z pewném omdleniem swe białe, przezroczyste ręce na rogu stoliczka.

Janina miała oczy wilgotne, jakby płakała, ale na jój pięknej twarzy malowała się pusta wesołość.

— Tereniu, Tereniu, ja jestem szczęśliwa!—mówiła do biédnej idyotki—ach! ty nie znasz tego szczęścia, co to jest, być kochaną!

— Jam szczęśliwsza, gdy sama Kocham!—odrzekła z westchnieniem idyotka.

— Bo ty nie jesteś kobietą, moja Tereniu, ale dziwaczką!—szczebiotała piękna Janina.

— Moje serce mi mówi, że tak lepiej.

— Twoje serce jest chore, nudne, sentymentalne.

— To prawda, bo nie jest całe.

— Cóż znowu mówisz?

— Brak mi pół serca, pół duszy... dla tego chorą!

— Któż ci je wziął?

— Nikt — kobiéta tak się już rodzi.

— A któż ma drugą połowę?

— On!

— Ach, jakaś ty pocieszna z twoją sentymentalną filozofią! — zawołała Janina, pieszcząc się z białym kakadu — tym sposobem jabym już zanadto miała tego serca — aż dwóch dla mnie się strzelało!

Błada idyotka nic na to nie odpowiedziała. Skrzyżowała na piersiach swoje białe, przezrocyste ręce i stała się tak nieruchomą, jak biała, marmurowa statua. Całe jój życie zbiegło gdzieś w głąb — do serca, do tego biédnego, chorego serca nieszczęśliwój sióroty.

— Pampo! Pampo! — szczebiotała Janina do białej papugi — ja cię dam komu innemu, tylko bądź grzeczną i nie gadaj zbyt wiele. Będiesz stała w oknie na słońcu, a gdy przez ulicę pojedę, pozdrowię cię, prześlę ci pocałunek, moja droga Pampo! A ty mi powiesz, że mnie kochasz! Nieprawdaż?...

Pampa otworzyła dziób krótki i przeszła całą konjugacyą słowa „kochać“, w formie czynnej i biernej, a chociaż najmniejszego nie zrobiła błędu, przecież Terenia skrzywiła się, jakby ją uderzył jakiś ton fałszywy.

W téj chwili z ołówkiem w ręku weszła margrabina do pokoju.

— Cóż tu Pampa robi? — zapytała.

— Ach, mamol!... żegnam się z Pampą — odparła Janina — a tak mi jój żal?

- A komuż ją dajesz?
- Przegrałam zakład z doktorem.
- Zakład?
- Mówiłam, że wczoraj dészcz będzie padał!
- To mu ją odeślij... biédny, będzie miał z nią rozrywkę!

Janina spłoneęła lekko, a kryjąc swą twarz, przycisnęła swoje piękne różowe usta do białego pierza kakadu. Nigdy biédna Pampa nie odebrała gorętszego pocałunku.

Tymczasem margrabina przyłożyła dyplomatycznie ołówek do czoła i rzekła do córki:

— Nińciu, trzeba żebyście wyszły do ogrodu na spacer. Hrabia Leon już od chwili chodzi z szalem na ręku. Może się nudzi... może chce już odjeżdżać.

— Ach! to taki nieznośny człowiek, kochana mamol—ozwała się z kapryśną miną Janina.

— Tém więcéj trzeba na niego uważać—odparła matka, i wzięwszy córkę pod ramię, wyszła na kurytarz.

O kilka kroków za niemi szła wolnym, omdlałym krokiem, biédna idyotka.

W alei przechadzał się hrabia Leon. Patrzył w ziemię z roztargnieniem i coś sobie motał na wąs.

— Ach! hrabia coś na wylociel—zawołała margrabina.

— Tylko na kilka chwil—odpowiedział tenże.

— Zapewne do Czarnowód...

Hrabia Leon zmieszał się trochę, a gdy Janina lekko i z wdziękiem jak sarneczka pobiegła z Terenią na gazon za pięknym motylem,—dodała margrabina z figlarnym uśmiéchem:

— Niezawodnie do Czarnowód... Majorowa, sły-
szałam, zasłabła trochę, dowiedziawszy się o poje-
dynku.

— Zgadłaś pani — odparł hrabia z wymuszoną
obojętnością — a słabość gospodyni tym razem nawet
na rękę mi będzie, gdyż wiozę dla majora cały pęk ga-
zet, które razem przeczytać mamy!

— Pan tak dobrze umiesz czytać! — szepnęła
z melancholijnym uśmiechem margrabina.

Stary Soroka zbliżył się w tej chwili do alei
i mrukliwym głosem oznajmił panu, że konie gotowe.

— Pan jedziesz do Czarnowód — rzekła Janina
z dziecięcym roztargnieniem, trzymając motylka za zło-
te skrzydła — zapewne po drodze wstąpisz pan do do-
ktora.

— Na rozkaz pani..

— Weźmiesz pan z sobą moją Pampe.

— Prześliczną Pampe?...

— Wyobraź pan sobie, jakie dziecko ze mnie.
Założyłam się z nim o Pampe, że wczoraj deszcz bę-
dzie!

— W której osobie i w jakim czasie kazałaś pa-
ni Pampie to fatalne słowo „kochać“ wymawiać?—za-
pytał żartobliwie hrabia Leon.

— W każdym czasie i w każdej osobie... ale tyl-
ko w trybie warunkowym!—odparła śmiejąc się piękna
Janina.

— *Voilà, elle est bien femme!*—rzekła margrabi-
na, podając margrabiemu rączkę do pożegnania.

Gdy hrabia odszedł, a Janina pobiegła na górę, aby Soroce dać mosiężną klatkę z papugą, patrzyła długo za nią margrabina i rzekła do siebie:

— Nińcia ma dobry spryt kobięcy. Za długą wydała się jęj obojętność hrabiego, chce go trochę z zdrością podrażnić. Na jego ręce posyła ulubioną swoją papugę doktorowi. Biedna Nińka! Gdyby stosunki na to pozwoliły, mogłaby za granicą zrobić znakomitą partyą. Umie się podobać i panuje nad sobą... Ah! pan Warner!—zawołała do wychodzącego z bramy negocyanta.

Negocyant był blady i jakoś strasznie pomięty. Na twarzy miał dziesięć razy więcej zmarszczek niż zwykle, oczy w głąb mu zapadły, zgarbił się i skurczył. Przez dwa dni najmniej o dziesięć lat się postarzał. Ujrzawszy margrabinę, pobiegł szybko drobnym krokiem, a całując ją w rękę, jak to zwykł był czynić w każdym polskim domu, rzekł z pokorą:

— Pani margrabina słyszała zapewnie o moim synu...

— O synu pana?—powtórzyła z pańskim kaprysem margrabina.

— Strzelał się, strzelał! — dodał szybko negocyant.

— Jakto, chciał się zabić?

— Nie, miał pojedynek, pojedynek!

— Pojedynek! Z kimże?

Negocyant przymrożył jedno oko i skrzywił się na znak milczenia. Do tego zaruszał głową i uśmiechał się, chcąc okazać, jak wiele byłoby o tém do opowiadania, gdyby milczyć nie potrzeba było.

— O cóż im poszło?—zapytała margrabina, szanując tajemnicę negocyanta.

— Ot, o bagatelę... jeden mówił, że tak, a drugi, że nie tak. Dzisiaj honor to rzecz bardzo delikatna.

— Ale zawsze pan jako ojciec...

— Krew, krew gorąca, krew dobra, wielmożna pani margrabino, i szlachciec...

— Pan zapewne w interesie do mego męża... właśnie jest w swoim gabinecie — przerwała margrabina.

— Tak jest, i to wielkiej wagi interes... inaczéj po tak wielkim wypadku...

Margrabia ukloniła się ręką i weszła do pawilonu, z kąd prowadziła galerya do zamku. Negocyant został się sam w ogrodzie. Nie czuł on bynajmniej tego upokorzenia, które go spotkało, bo wszystkie pretensye, jakie zazwyczaj miéwa człowiek bogaty, złał na swego syna i czuł się szczęśliwym w nadziei, że w drugiej generacyi imię jego przyjdzie do tego wzięcia, jakie nadaje bogactwo. Dla téj nadziei wszystko dzisiaj znosił chętnie i na żadną nie zważał obelgę.

Mimo to uderzyła go dziwna różnica, jaka zachodziła między jego domem i domem margrabiego. Zliczył każdą nitkę na téj damie wielkoświatowej, zliczył każdą cegłę w tym zamku starożytnym, i najprostszym rachunkiem przyszedł do tego przekonania, że ci ludzie już zgoła nic nie są warci, bo nic majątku nie mają. Gdyby on był w tém położeniu, byłby najskromniejszym na świecie człowiekiem, walałby się gdzieś w najciemniejszych kątach i niktby może nie spojrział na niego! A tu widzi jeszcze dumę i wyniosłość, widzi dobrą fantazyą, jakby kieszenie pełne były złota!

— To wszystko robi szlachectwo — pomyślał sobie negocyant.—Otton musi zostać szlachcicem. Szlachectwo zmienia krew i wzmacnia nerwy. Ja mam słabe, bardzo słabe nerwy.

A gdy ze szlachectwem zawsze Dąbczyn i zamek szły w parze, więc cheiwém okiem począł się oglądać po starém zamczysku, w którem miał już rezydować pierwszy jego potomek. Patrzył na te grube, kolosalne mury, zmierzył wieżę zamkową, policzył na dachu kaplicy stojące posągi, przebiegł oczyma długą, lipową aleję, a nawet odchylił drzwi zielonego pawilonu, aby tajemnicze jego wnętrze obaczyć.

— Jak to wszystko po pańsku będzie, gdy mój syn tu zamieszka!—szepnął z cicha do pawilonu.—Ale trzeba mu przygotować ścieżkę, trzeba prędko wziąć się do dzieła, aby ten młody, bogaty hrabia...

Rzekłszy to, zamknął pawilon i szybko wybiegł na schody, prowadzące do gabinetu margrabiego.

Margrabia miał dzisiaj jak zawsze twarz rumianą, gładko ogoloną, białą chustkę na szyi, ciemno-bronzoowy frak i popielate pantalone. Siedział w dużym fotelu, założył na krzyż popielate nogi swoje i zdawał się im z zadowoleniem przypatrywać. Koło niego leżały jakieś listy i gazety.

— Pan margrabia pozwoli, że złożę moje uszanowanie...—rzekł negocyant pokornie przy drzwiach.

— Ah! Warner! panie Warner, proszę... co za gość miły i rzadki!...—mówił margrabia, przekładając nogę na nogę.

— Słyszałem, że margrabia powrócił...

— Siadajno, mości panie Warner, dobrze żeś

przyjechał; opowiesz mi, jak tam właściwie stoją nasze interesa...

— O tém mówić nie warto, tak drobne rzeczy!— mówił negocyant, siadając na krawędzi krzeselka.

— Jakto drobne rzeczy, jeżeli ci procentów nie płacę—odparł z uśmiechem margrabia.

— Gdyby wszyscy moi dłużnicy byli tacy jak pan margrabia, czegobym chciał!

— A jednak daję gardło, że tam w zanadrzu masz subhastę! — rzekł żartobliwie margrabia, zapalając cygaro.

— Jak pan margrabia widzi, że ja mam coś w zanadrzu! Co ja bym dał za takie oczy!—ozwał się negocyant ze złośliwym uśmiechem.

— No! cóż tam, okaż!—rzekł margrabia, niekontent z swego planu, którym wilka z lasu wywołał.

— Pan margrabia słyszał zapewne o moim synu — mówił niby od niechcienia negocyant, rozwijając jakieś twarde papiéry.

— Strzelał się?

— Strzelał się, strzelał!

— Niepotrzebnie to zrobił.

— Krew, panie margrabio, krew dobra.

— Lepiej, gdyby się zaprawiał do kantoru.

Negocyant spojrzął z ukosa na margrabiego i rzekł po chwili z udaną skromnością:

— Zapewne, żeby to lepiej było. Ale cóż robić, gdy się komu dobrze dzieje, to zaraz patrzy wyżej.

— Powinieneś mu przecież wytłómaczyć, że kto w kantorze wekslarskim zrobił pieniądze, ten niepowinien nigdy z kantoru wychodzić.

Negocyant przygryzł usta, błysnął złośliwem okiem na popielate nogi margrabiego i rzekł:

— Przystąpmy do interesu.

— Słucham cię, mości Warner.

— Pan margrabia zamyśla trochę zająć się gospodarstwem.

— Chciałbym wejrzyć w moje interesa.

— Dzisiaj gospodarstwo nie rentuje się.

— Dowody tego masz w swoich rachunkach.

— A szkoda by było pozbywać się tak pięknego majątku.

— O tém jeszcze dotąd nie myślę.

— I bardzo dobrze robi pan margrabia... Ale myśleć potrzeba zawsze coś.

— Na przykład?

— Ja bym tu miał mały planik — rzekł negocyant rozkładając przed margrabią duży papier — jak się to panu margrabiemu podoba?

Margrabia wziął papier do ręki i począł się mu przypatrywać. Był to plan jakiegoś okazałego budynku, który coś na młyn zakrawał. Dołem płynęła woda z szumem i obracała ogromne koła; górą, długim, wysokim kominem waliła się biała para jak z paszczy piekielnéj!... Cały rysunek był tak ślicznie wykonany, tak regularne były linie! Różowy kolor karminu tak chwytął za serce, a błękitny upajał oko jakąś dziwną rozkoszą!...

— Cóż to jest? — zapytał margrabia.

— To jest przędzalnia i fabryka płótna!... A to olejarnia.

— A to? — mówił margrabia, wskazując na drugi papier.

— To jest plan kopalni węgla i założenia kolei drewnianej z Mogił do...

— Jaki procent może nieść to przedsiębiorstwo?

— Cztérdzieści!

— Cztérdzieści!—zawołał margrabia i spojrzał smutno na swoje popielate nogi.

— Nie zły interes.

— Dla tych, co mają pieniądze—odparł potomek Jarosta z westchnieniem.

— Pan margrabia może być do spółki...

— Do spółki? A pieniądze?

— Mniejsza o pieniądze... można pożyczyć. Pan margrabia zrobi tylko kontrakt o siew lnu i konopi... a ja wystaram się pieniędzy.

— U mnie gospodarstwo podupadło.

— Ja dam ludzi naszych.

— Ale ja nie mógłbym tego przedsiębiorstwa wziąć na moje imię?

— I ja także nie, bo jestem w spółce. Ale myśmy już tę rzecz ułożyli. Najlepsze miejsce dla wody i węgla jest w Mogiłach. Mury starego dworu bardzo się przydadzą, a nawet już tam zacząłem przed rokiem coś budować. Firma tego przedsiębiorstwa będzie: „Pifke et Compagnie“. Pifke ma pieniądze i ma głowę do tego.

— Pifke et Compagnie!—powtórzył potomek kasztelana grodzkiego i skrzywił się.

— Pan margrabia weźmiesz tylko dwakroć sto tysięcy.

— A procent?

— Procent opłacać się będzie tylko przez pół roku—potém wydadzą się akcye.

— Pifke et Compagnie—szumiało w uszach margrabiemu.

— A tym sposobem możesz margrabia oczyścić swój majątek.

Margrabia wyrzwał oknem, a tam na rozwalonéj baszcie zamkowej usiadła wrona i strąciła kawał cegły z muru, rozsypującego się w gruzy!... Spojrzał na kaplicę zamkową, a tam na krużganku rozwijają kamienne posągi szaty swoje, aby odlecieć z domu, który się w gruzy rozpadał... „Pifke et Compagnie!“ brzmiało mu w uszach jakimś fałszywym akordem, stało mu przed oczyma wypisane jakimiś krzywemi literami... A tam w dali czerniała stara brama Dąbczyna z wyrytym na kamieniu napisem: „*Ad tuendum populum aedificavit Jarost*“... Było to jakieś dziwne, straszne zetknięcie się tych dwóch napisów, litery walczyły z sobą, wiązały się i plątały wzajemnie...

Margrabia wstał i począł się przechadzać. Negocyant z ukosa patrzył na niego i śledził wszystkie jego ruchy.

„Pifke et Compagnie“, „Goliat et Compagnie“, to bohaterowie dnia dzisiejszego. To duchy pobitych Krzyżaków, to potęga niezłomna, to nowe możnowładztwo dzisiejszój społeczności.

Zrzućcie wasze tarcze herbowe z nad bram walcących się zamków, wy bohaterowie miecza... Spełniły się czasy bohaterstwa, w których krew była monetą... Nie straszcie nas dzisiaj waszą zbroją żelazną, męzo-

wie przeszłości naszój... dziś pieniądz, lichy pieniądz walczy i zwycięża wasze grody i zamki, budowane niegdys *ad tuendum populum*... Dzisiaj nowe grody i nowe zamki powstają na was, a nad bramą kładą napis: „Pifke et Compagnie“, „Goliat et Compagnie!“ Te zamki i zastępy walczą i zwyciężają!...

Musiał dobry interes zrobić poczciwy negocyant, bo po kilku godzinach wychodził z zamku z twarzą rozpromienioną i serdecznie zacięrał ręce. Został mu jeszcze jeden interes do załatwienia, ale miał już dobrą otuchę, że i ten dobrze się skończy.

Przebiegłszy ulicę Podzamczą, stanął przed mieszkaniem Jerzego. Jakoś niesmaczno mu było wejść do człowieka, do którego wczoraj jakby do tarczy strzelał jego Otton. Lecz przezwyciężył się, otworzył zwolna drzwi i oglądając się z wielką ostrożnością na wszystkie strony, wszedł do pokoju.

Jerzy leżał na łóżku, blady jak chusta. Kula przeszła mu przez ramię i nadwerżyła pierś. Do tego szalona jazda hrabiego Leona wyczerpała jego siły. Ale na twarzy miał spokój nadzwyczajny. Słodki jakiś uśmiech igrał na jego bladych ustach.

Na oknie stała przesłiczna Pampa i szczebiotła mu całą konjugacją słowa „kochać“. Zdawało się Jerzemu, że nigdy słodszej nie słyszał wymowy, nigdy czuliej nie wypowiedziano tego słowa!

Tak go zastał stary negocyant. Patrząc na młodego, tak łagodnie uśmiechającego się człowieka, prze-

klął w duchu wynalazek pojedynków i ozwał się z widoczną trwogą:

— Zapewnie niemiłym jestem gościem...

Jerzy uśmiechnął się, podał lewą rękę negocjantowi, który drżał na całym ciele, i rzekł:

— Nieprzyjaźń wszelka kończy się wraz ze strzałem... taki jest zwyczaj przy pojedynkach.

— Może być, ale ja prosty negocjant nie pojmuję tego... jabym takiego człowieka, co do mnie strzelał, koniecznie zabił.

— Nie lękaj się pan, ja syna nie zabiję.

— Ja wiem, pan masz ładny, delikatny honor... I mój syn Otton ma taki sam; otóż dla tego, jak dwóch takich ludzi się zeszło, jak stal i krzemień, to zaraz ogień łysk!

— Pan masz zapewne interes do mnie?

— Interes?... prawie żaden... ot tak, chciałem się dowiedzieć, jak się pan ma.

— Mam się nie najlepiej, ale w Bogu nadzieja.

Negocjant słuchał z wielkim napięciem. Na zwiędłej jego twarzy malowało się uczucie trwogi.

— W Bogu nadzieja—poderwał szybko—w Bogu nadzieja, ja będę Boga prosił... Otton i Matylda będą go także prosili...

— Oświadczyć im pan moje podziękowanie za współczucie.

— Otton i Matylda bardzo cieszyć się będą... ale pan nie umrzesz? — dodał negocjant z wyrazem największej trwogi.

— Nie umrę, nie -- odparł z uśmiechem Jerzy, patrząc na zatrwożonego negocjanta.

— No, proszę pana, nie umieraj pan! — zawołał negocyant, załamując ręce na znak zaklęcia.

Jerzy spojrział na negocyanta. Na jego twarzy był wyraz jakiegoś konwulsyjnego rozdrażnienia. Nie mógł pojąć, coby to była za przyczyna tak gwałtownego uczucia.

— A gdybym umarł?—rzekł z uśmiechem i spojrział głęboko w oczy negocyanta.

— Ja dam panu tysiąc talarów... nie umieraj pan!—krzyknął prawie w konwulsi negocyant.

— Tysiąc talarów, abym nie umarł?—powtórzył Jerzy, zadziwiony tak szczególną propozycją.

— Dam dwa tysiące!—zawołał negocyant w myśli, że Jerzy chce się targować.

— Dwa tysiące!... — powtórzył z niedowierzaniem Jerzy.

— No, dwa tysiące, czy nie dosyć?—rzekł negocyant, któremu mimo wszelkiej gorączki, jaka nim w téj chwili miotła, wydała się ta suma dostateczną, aby biednego człowieka przy życiu utrzymać.—Dodam jeszcze pięćset—rzekł po chwili.

— Ale co pan mówisz?—zawołał Jerzy —pan jesteś w roztargnieniu, może jaki interes masz pan na myśli?

— Nie, nie, żaden inny interes, tylko żebyś pan nie umarł!—powtórzył stanowczo negocyant.

— Ale zważ pan, co pan mówisz!

— Ja wiem, co ja mówię... dla mego syna wszystko to zrobię.

— Chcesz pan kupić mi życie... życie, które nie jest w naszych rękach...

— Prawda, prawda!—zawołał negocyant i z wyrazem rozpaczy uderzył się w czoło.—Ja życia nie kupię!.. Ja głupi, prosty negocyant! Biędny Otton!

Jerzy uczuł, że mu serce żywiej uderzyło. Świat ten tak brzydki, tak samolubny, okazał mu téj chwili piękne oblicze swoje, które tylko niekiedy odsłania na pocieszenie strapionych. Widział w téj chwili sympatyą obcych mu ludzi, widział jak uległszy na chwilę przesądom towarzyskim, podnosi się człowiek w całym blasku pięknej swojej natury i przywiązuje się do swego nieprzyjaciela — wypełnia najwyższą chrześcijańską cnotę!

Z wielkiém wzruszeniem wyciągnął lewą rękę, i podając ją negocyantowi, rzekł szczerze i serdecznie:

— Powiedz pan Ottonowi, że mu wdzięczny jestem za jego przywiązanie i że go szacuję i kocham. Ja żyć będę i pragnę życia. Ofiarowane mi pieniądze możesz pan na intencją moją i syna dać ubogim, którzy w nędzy i ubóstwie pragną śmierci, a umrzeć nie mogą!

— Dobrze, zgoda... ale te pieniądze będą u mnie do dyspozycyi. Ja prosty negocyant, ja nie wiem, kto tam chce umierać, a nie może — rzekł uradowany negocyant.—A Ottonowi tymczasem przyniosę wieść radosną, że pan nie umrze.

— Nie umrę, nie.

— Bo to widzisz pan, jego sprawa jest w sądzie!

— W sądzie!

— Ale on dotąd nie wydał pana... zresztą i ja zrobiłem swoje. A w sądzie mówiono mi, że to wszyst-

ko jest niewielkiej wagi, wyjąwszy jeżeli ten, do którego Otton strzelał, umrze... wtedy będzie to jako zabójstwo podług kodeksu sądzone...

Jerzy uczuł ból w ranie, wyjął gorącą swoją rękę z zimnej ręki negocyanta i oparł głowę o poduszki.

Jakże brzydkim wydał mu się teraz ten świat cały! Zamiast uczucia, zamiast gorącego serca, był to tylko interes, czysty interes! Negocyantowi i jego synowi zależało na jego życiu, aby sąd w swoim wyroku nie oparł się na paragrafie o zabójstwie!... I w napadzie trwogi myślał negocyant tysiącem talarów kupić to życie jego...

Jerzy odwrócił się od negocyanta.

W tym turkot powozu odbił się o jego uszy. Był to dobrze znany mu turkot—to Janina jechała na przejażdżkę po mieście.

Im bliżej okien jego był ten turkot, tym wolniejszym zdawał się być bieg koni — wreszcie słyszał wyraźnie, że powóz zaledwie się toczy, że konie stępa idą.

Spojrzał w okno — a przed oknem zwolna sunął się otwarty koczyc z amarantowem obiciem. Janina siedziała po lewej ręce bliżej okna, koło niej była Terenia.

— Patrz Tereniu, Parpa, moja Pampa kochana — rzekła Janina, wskazując na okno, w które Jerzy patrzył. — *Comme sta mia cara!*—zawołała do białej, trzepiącej się do niej papugi i białą, drobną rączką posłała jój kilka serdecznych pocałunków.

Konie ruszyły rażniej, a koczyc z amarantowem obiciem zniknął z przed okna.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Jerzego — on zrozumiał, komu te pocałunki przesłane były.

— Ale pan na seryo nie umrze?—pytał negocyant, który téj sceny wcale nie widział.

Jerzy wyciągnął gorącą rękę, chwycił za rękę negocyanta, która mu się także gorącą być zdawała, i rzekł z twarzą rozpromienioną:

— Nie umrę, nie umrę!

Ach, jakże to umiérać, kiedy ten świat tak powabny! A to serce, to biędne, kapryśne serce, które tak często nas zwodzi i bałamuci, to serce woła dziś jak najwyraźniej: życia! życia! bo życie takie piękne, tyle w niem szczęścia i rozkoszy!...

Negocyant wyszedł na ulicę i wyprostował się jak człowiek, który doskonale zrobił interesa. W tém ktoś go potracił tak silnie, że aż się zatoczył. Spojrzał siebie—był to Mietlica, stary ekonom.

— Czekał ptaszku — szepnął do siebie negocyant — nie długo będziesz tak brykał. Radziejewo i Czarnowody jakbym miał już w kieszeni!

Nie słyszał tego stary ekonom, bo jakoś strasznie był zajęty. Siwe wąsy jego sterczały do góry jak kły odyńca, twarz miał czerwoną jak piwonia, a jeden róg czapki wysunął się naprzód aż na samo czoło, jak groźna reduta. Biegł szybko i machał rękoma w jakimś dziwnym ferworze. Szedł prostą drogą od burmistrza, a oglądając się co kilka kroków, miał pięście i strasznie komuś groził. Nikomu nie ustąpił się z drogi, rozpychał, rozbijał, co mu w drogę wlało. Nawet

owego kupca z tłustym brzuchem i aksamitną myką na głowie nie spostrzegł dzisiaj, chociaż ten tak widocznie uśmiechał się do niego.

Wreszcie stanął przed małym domkiem zegarmistrza. Odsapnął i marsowym wzrokiem spojrzął na wiszącą nad drzwiami Opatrzność boską. Zdawało się mu, że ta Opatrzność musi w tej chwili do niego przemówić, a przynajmniej górną powieką mrugnąć. Stał chwilę, wpatrywał się uważnie w rozchodzące się od tego oka promienie, czy który prawdziwém światłem nie zajaśnieje... bo jużci według przekonania starego ekonomy musiał się teraz jakiś cud stać...

Ale Opatrzność boska nie przemówiła do niego; czarne, duże oko nie mrugnęło ani razu, ani żaden z siedmiu promieni nie rozświecił się w gwiazdę opiekuńczą nad domkiem nieszczęśliwego mieszczanina!...

Stary żołnierz już miał jakieś bluźnierstwo pod wąsami, już chciał zakląć... ale zawczasu opamiętał się, uderzył ręką w usta i jednym tchem połknął na powrót kilka kroć tysięcy dyabłów.

— Grzanka, otwieraj! — krzyknął niecierpliwie.

Grzanka otworzył drzwi. W sieni przyrządził już sobie Kaszub jakiś warsztat, na którym leżało mnóstwo małych klocków, zakończonych u góry w szpic trójgraniasty.

Ekonom chwycił jeden taki klocek i zapytał się Kaszuba, co to z tego będzie.

Kaszub uśmiechnął się z zarozumiałością artysty i odpowiedział, że to będzie Fryc stary w trójgraniastym kapelu.

— Fryc stary z tego nieforemnego klocka, który

jak kociuba wygląda?—mruknął zadąsany ekonom.—
A tak, tak, będzie z tego Fryc. Ale mógłby być i Na-
poleon!

Grzanka ruszył głową, że to wszystko jeszcze
być może.

— No, to niechże będzie Napoleon! — zawołał
ekonom—ale z Mietlicy już Napoleona nie będzie, nie-
prawdaż! Ej! Grzanka, gdyby to być mogło! Dałbym
się w znaki tym szołdrom... najprzód burmistrzowi
z Dąbczyna kazałbym wlepić sto bizunów... Grzanka
ty nie wiesz, co się stało?

— A cóż *miłościwy panje!*—zapytał Kaszub, go-
tując nóż, aby z Fryca zrobić Napoleona.

— Wojna siedzi w kozie, jako złodziej, urwisz
i rabuś. Wojna najpocześniejszy człowiek w całym
mieście!

— Dla Boga!

— Doktorowi wystrzelili żebro, aż płakać musia-
łem, patrząc na biedaka!

— Mój Boże!

— Szołdry! Jeszcze ten burmistrz mówi mi, że
dom Wojny rozwalić każe, bo jest ubogi!

Grzanka westchnął. Ekonomowi zakręciła się
łza w oku, spadła i uwiła na siwym wąsie wiarusa.
Otarł ją kułakiem, tupnął nogą dla odpędzenia smut-
nych myśli i wszedł do izdebki zégarmistrza.

W izdebce zégarmistrza było wszystko w da-
wnym porządku. Burmistrz stukał regularnie, Basia
odzywała się chrypliwym głosem, a Paliwoda od czasu
bił sobie dla fantazyi, nie zważając weale na burmi-
strza regulatora. I tak jakoś spokojna była ta cała

gromadka, taka jakaś pogoda odbijała się w tych białych, świecących cyferblatach, tyle cichego szczęścia było w tych długich, rzymskich liczbach, że patrząc na nie stary wiarus, pokiwał głową i rzekł z cicha, aby go żaden z zegarów nie słyszał:

— One takie spokojne, jakby o niczém nie wiedziały! Nie wiedzą biedne, że ich gospodarz gdzieś jęczy w kałauzie, że ta izdebka, że te ściany, na których wiszą, runą wkrótce pod ciosem ręki bezbożnej, a biedny zegarmistrz wróciwszy do domu, nie znajdzie miejsca, gdzie się urodził!...

A w tój chwili leciał duży, czarny kruk po nad zamek dąbczyński i krakał długo i głośno. Nikt go nie rozumiał, nikt go nie słuchał—tylko Widu podniósł pysk do góry i zawył przeraźliwie...

— Słyszysz Grzanka, jak psisko wyje?—zawołał Mietlica—a wyje pod samą Opatrznością. Są rzeczy, które zwierzęta prędkiej widzą od człowieka... Grzanka, ten dom wkrótce rozwałą!

Grzanka przeżegnał się, bo żałosne wycie psiska jakoś wskrós go przeniknęło.

Stary wiarus wybiegł na ulicę i jeszcze raz spojrział na Opatrzność boską. Tak mu żal było przyjaciela i tych kilku łokci ziemi polskiej.

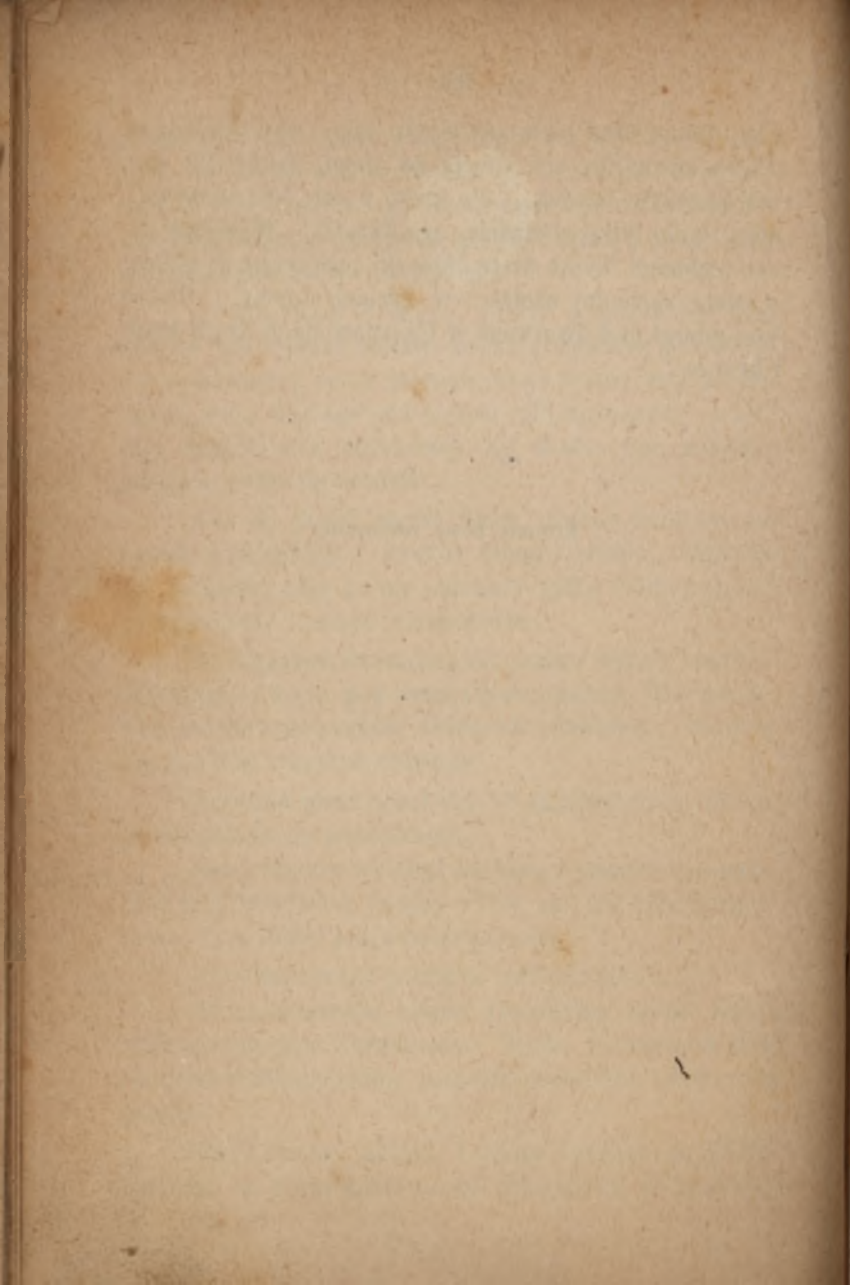
Ale Opatrzność patrzyła suchém okiem...

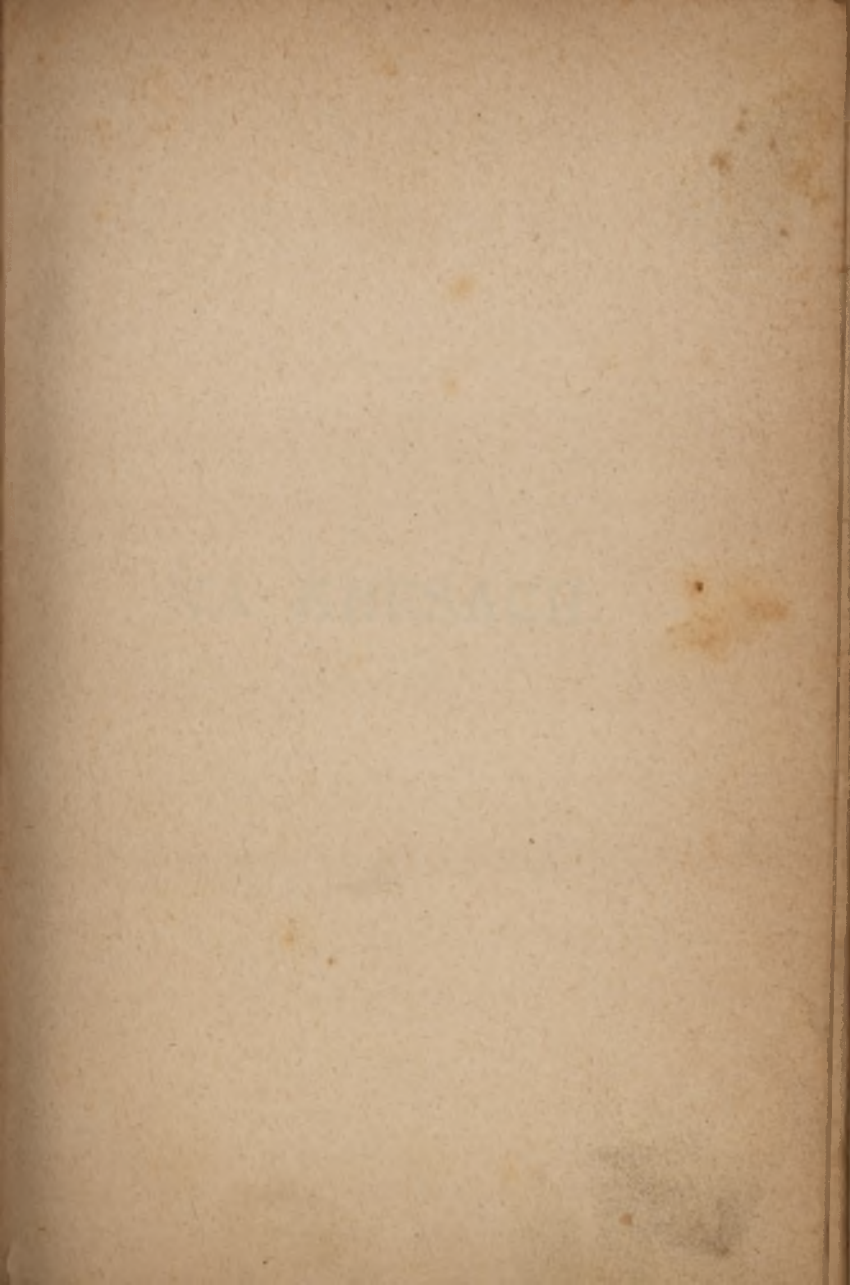
Na granicznym kopcu Dąbczyna stała figura z ukrzyżowanym Chrystusem. Była to ostatnia figura ziemi wielkopolskiej, ostatnia katolicka część syna bożego.

Stary wiarus ukląkł i długo i gorąco się modlił. Patrząc w rozkrzyżowanego Chrystusa, zdawało mu

się, że te sine usta poruszyły się... że ocierniona
głowa pochyliła się więcej ku ziemi, jakby jój no-
wój przybyło boleści... że krew z ran cięc zaczyna...
ale to było tylko złudzenie, gra światła! Wszędzie ci-
cho i głucho! Tylko białe obłoczki pomykają po niebie,
a wiatr zachodni szeleści w liściach topoli.... Tylko
tam gdzieś nad dworkiem w Czarnowodach krąży kruk
i kracze...

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





Biblioteka UJK Kielce

UJK



0472169